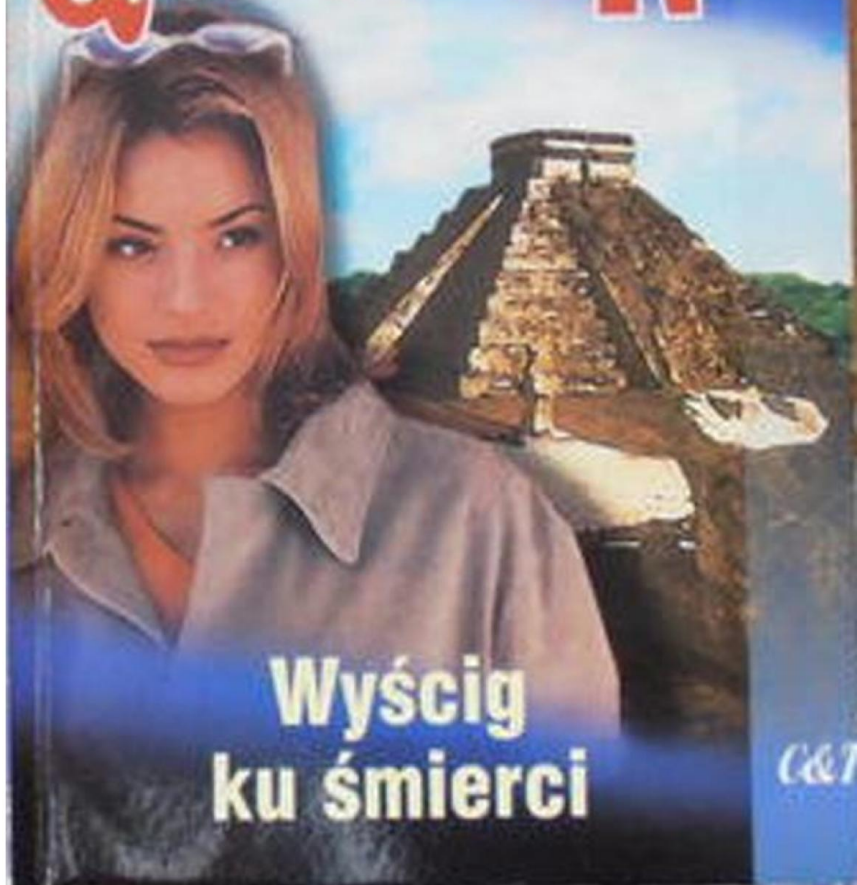


# PATRICK QUENTIN



**Wyścig  
ku śmierci**

C&T

**PATRICK QUENTIN**

# **Wyścig ku śmierci**

Przekład:  
Izabela Kulczycka-Dąmbska

**C&T**

Toruń

Tytuł oryginału:  
RUN TO DEATH

Copyright © 1948 by Patrick Quentin  
For Polish edition © copyright by „C&T”, Toruń 1997  
For Polish translation © copyright by Izabela Kulczycka-Dąmbska

Opracowanie graficzne:  
BARTŁOMIEJ BIESIEKIRSKI

Redaktor wydania:  
PAWEŁ MARSZAŁEK

Korekta:  
MAGDALENA MARSZAŁEK

ISBN 83-85318-89-5

Wydawnictwo „C&T” ul. Św. Józefa 79, 87-100 Toruń, tel. (0-56) 652-90-17  
Toruń 1997. Wydanie I. Ark, wyd. 10, ark, druk. 11,5.

Druk: Drukarnia Księży Werbistów  
86-133 Górna Grupa 60, tel. (0-532) 25-794, fax 0-90 63-50-54

# KSIĘGA I

## JUKATAN

### I

Najpierw zobaczyłem jej rękę. Pojawiła się tuż przy moim ramieniu, w opuszczonej szybie wozu. Była długa, smukła, raczej piękna – nieoczekiwanie biała w tym kraju ciemnoskórych ludzi i tropikalnego słońca. Poza tym była to ręka zdecydowana. Trzymała się mocno ramy okna, jak gdybyśmy ja i mój wóz stanowili jakiś cel, któremu zdecydowanie nie chciała dać się wymknąć.

– Bardzo pana przepraszam – odezwała się.

Cofnąłem się nieco, żeby lepiej się jej przyjrzeć. Stała na zalanym słońcem trotuarze, a za jej plecami otwarte drzwi hotelu Jukatan odsłaniały widok na bładoniebieskie kafelki wiodące do obszernego patio, w którym kręciło się kilku kelnerów. Była typem blondynki często spotykanym na szlaku Hollywood – Broadway, ale tutaj, w Meksyku, mogącym wywołać nie lada awanturę. Takie przynajmniej było moje pierwsze wrażenie. Ubrana z jakąś bezosobową elegancją modelki – w srebrnoszarym kostiumie, trzymała pod pachą dużą, płaską, czerwoną torbę kopertówkę.

– Słyszałam, jak pan mówił do boya hotelowego, że wybiera się do ruin w Chichén-Itzâ... – powiedziała.

– Tak.

Ręka jej nadal spoczywała zdecydowanym gestem na ramie okna.

– Przegapiłam turystyczny bus hotelowy. Zdaje się, że jest jeszcze jakiś zwykły autobus komunikacyjny, ale pełno w nim indyków i prosiąt.

- Proszę, niech pani wskakuje.
- Doprawdy, zabierze mnie pan?
- Cóż mam robić? Oczywiście, że zabiorę.

Obeszła wóz naokoło, rzuciła swoją walizkę na tylne siedzenie obok mojej gabardynowej i usiadła przy mnie. Założyła nogę na nogę – były to także nogi modelki. Jej srebrnoblond włosy, puszyste i starannie wyszczotkowane, opadające na plecy, były również włosami modelki. Wszystkie zewnętrzne oznaki były tak standardowe, że dopiero po paru minutach stwierdziłem indywidualność jej profilu. Bo nie był to profil zwykły, z nieco wystającymi kośćmi policzkowymi i prostym nosem. Była piękna tą jedynie w Ameryce spotykaną pięknnością, można by powiedzieć – międzynarodową – trochę z jednej rasy, trochę z innej. A efekt był zaskakujący. Pomyślałem tylko, że jest zbyt młoda, aby wałęsać się samotnie po dzikim Jukatanie – o ile była samotna!

- Interesują panią ruiny kultury Majów? – spytałem.

- W każdym razie jest to coś, co należy zobaczyć – wzruszyła ramionami. Odwróciła się twarzą ku mnie, oczy miała także srebrnoszare, i dodała: – Co by pan powiedział na to, żebyśmy już ruszyli, jeżeli nie chcemy roztopić się w tym skwarze...

Merida, nawet późnym popołudniem, bywa niesamowicie gorąca. Mimo, że zirytował mnie trochę dyktatorski sposób bycia tej dziewczyny, ruszyłem, kierując wóz w szeroką ulicę. Mijaliśmy tynkowane, białe, czerwone i niebieskie domy, z ich ślepyimi, drewnianymi drzwiami, broniącymi intymności znajdujących się za nimi wykładanych kafelkami patio.

Opadła na rozgrzane oparcie, patrząc obojętnie przed siebie. Po chwili wyjęła z czerwonej torebki papierosa i zapaliła go srebrną zapalniczką. Traktowała mnie jak kierowcę. Nie byłem pewien, czy to z powodu bezczelnej świadomości własnej urody, czy też z charakterystycznego dla bardzo młodej osóbkki pragnienia, aby wydać się zrównoważoną i pewną siebie.

W zasadzie było mi to zresztą dość obojętne. Byłem w tym okresie

życia, gdy najwspanialsza nawet dziewczyna robi niewielkie wrażenie.

Po sześciu najcięższych chyba miesiącach zakończył się właśnie okres mego kryzysu małżeńskiego. W Meksyku oboje – to znaczy moja żona Iris i ja – byliśmy przekonani, że zakochaliśmy się w kimś innym. Nasze pojednanie było jeszcze bardzo nowe i wrażliwe, jak świeżo zagojona rana. Te kilka tygodni spędzone razem po tym kryzysie były dziwnie niezręczne i krępujące dla nas. Tak więc, kiedy Iris otrzymała propozycję zagrania w filmie, doszliśmy do przekonania, że lepiej będzie na jakiś czas się rozstać – i Iris pojechała do Hollywood sama.

Eksperyment zdawał się być bardzo udany. Pozostawiony sam sobie w Meksyku napisałem sztukę teatralną – i chociaż uważam się raczej za producenta niż dramaturga, szczerze muszę przyznać, że byłem zadowolony z wyniku. Iris wyrażała się o mojej sztuce z entuzjazmem i postanowiła, że zimą zagra w niej główną rolę kobiecą w teatrze na Broadwayu. Wywiązała się między nami ożywiona korespondencja na ten temat i znowu poczuliśmy się swobodnie i naturalnie jak dawniej. Obecnie kontrakt jej już dobiegał końca i za dziesięć dni mieliśmy się spotkać w Nowym Jorku. Myśl, że ją znowu wkrótce zobaczę, była równie podniecająca jak za dawnych, dobrych czasów.

Przyleciałem do Jukatana tydzień temu, ponieważ uważałem, iż nierozsądne byłoby z mojej strony pominąć okazję zobaczenia najwspanialszych ruin na świecie. W Meridzie wynająłem wóz, obejrzałem sobie wszystko, co w tym stanie było do zobaczenia, a przy tej okazji fatalnie oparzyłem sobie ciało pod tropikalnym słońcem plaży. Oswoiłem się także z przyjaznym towarzystwem drobnych, ciemnoskórych jukatańskich Indian. Modna, światowa dziewczyna siedząca przy mnie, bynajmniej mnie nie pociągała. Szczerze mówiąc, wolałbym, żeby mi się w ogóle „nie przytrafiła”.

Wyrzuciła przez okno niedopałek papierosa i obserwowała mijane pola sizalowe, zasiane w geometryczne linie roślinami, które

przysiadają na czerwonej ziemi jak olbrzymie karczochy. Nagle powiedziała: – Nazywam się Debora Brand.

– A ja Peter Duluth.

Nie zareagowała na moje nazwisko, co przyjąłem raczej z ulgą. Znaczyło to bowiem, iż nie jest poszukującą kariery aktorką znającą wszystkie numery agencji i impresariów lepiej, aniżeli alfabet.

– Bawi pani tutaj na wakacjach? Przyjechała pani ze Stanów?

– Przyleciałam właśnie z Balboa. Przegapiłam połączenie z Mexico City. Dlatego właśnie jadę obejrzeć te ruiny. Trzeba jakoś zabić wolny czas.

Była za młoda na to, aby być tak zblazowaną i zabijać czas. Spojrzałem na nią zaciekawiony.

– Amerykanka?

– Coś w tym rodzaju. A pan?

– Oczywiście...

– Och...

Szukała w torebce drugiego papierosa.

Jej absolutny brak zaciekawienia moją osobą zaczynał mnie trochę denerwować. Oznajmiłem więc:

– Zajmuję się teatrem, jestem producentem, wystawiam sztuki.

Zerknęła na mnie obojętnie i znowu powiedziała tym samym tonem:

– Och.

Zapaliła papierosa. Na drodze przed nami czarny, meksykański sęp wzbił się niechętnie w niebo, zmuszony porzucić resztki zdechłego psa.

– Mieszka pani w Ameryce Środkowej? – spytałem.

– Nie. W Peru. Przynajmniej w tej chwili. Stale zmieniamy miejsce pobytu. Ojciec zajmuje się wykopaliskami.

– Archeolog?

– Tak przynajmniej sami się nazywają. Przeprowadził mnóstwo wykopalisk w tych stronach.

– W Chichén?

- Uhm...
- To znaczy, że zna pani te okolice?
- W owych czasach przebywałam z mamą i ssałam butelkę ze smoczkiem w Kansas City.

- Jak na tak młodą osobkę zwiedziła pani kawał świata?
- Ja nie jestem młoda.
- A więc ile ma pani lat?
- Dwadzieścia.

Roześmiałam się.

- Czy to takie zabawne?
- Przypuszczam, że nie. Tyle tylko, że ja z moimi trzydziestoma sześcioma latami czuję się przy pani zgrzybiałym starcem. I to wszystko.

– Naprawdę jest pan taki stary? – przyglądała mi się bez uśmiechu. – Bardzo dobrze się pan trzyma.

To połączenie naiwności z powagą było całkiem autentyczne. Debora Brand zaczęła mi się wydawać kimś nowym. Chciałem zapytać, czemu taki dzieciak odbywa samotnie lot z Balboa do Mexico City, ale uważałem to za zbyt osobiste pytanie. Zamiast tego spytałem:

- I urodziła się pani w Stanach?
- Tak. Moja matka była Amerykanką. Już nie żyje.
- A ojciec?
- Fin. To bardzo zabawna narodowość, ale nic na to nie poradzę.
- Mówi pani po fińsku?
- Oczywiście.
- A po hiszpańsku?
- Przeważnie tym właśnie językiem posługuję się obecnie.
- Widzę więc, że jest pani bardzo utalentowana, prawda?

Strąciła popiół z papierosa na dywanik w wozie.

- A pan jest bardzo ciekawy, prawda?
- Przepraszam. Po prostu jestem dobrze wychowany, to towarzyska, banalna ciekawość.



Popatrzyła na chmurę żółtych motyli, przelatującą w poprzek drogi przed nami.

– Och – westchnęła znowu.

Jakiś czas wcale się mną nie interesowała, a potem rzuciła spojrzenie spod oka na moją rozpiętą pod szyją koszulę.

– Ale się pan porządnie poparzył.

– Właśnie.

– Powinien pan coś z tym zrobić.

– Zapomniałem kupić coś na to...

Niespodziewanie macierzyńskim tonem powiedziała:

– Ja mam coś. Jak dojedziemy na miejsce, to panu dam.

Po czym znów zamilkła.

Tymczasem wyjechaliśmy już za miasto. W Jukatanie nie ma żadnych rzek. Woda płynie głęboko pod ziemią, ukazując się od czasu do czasu w dziwnych, podobnych do krateru zagłębieniach. Krajobraz usiany jest wiatrakami. Obracające się, błyszczące w wieczornym słońcu koła otaczały nas z różnych stron. Mały chłopiec, dźwigający na plecach dwa razy większy od siebie pęk drzewa szedł wolno pustą drogą. Za naszymi plecami rozległ się dźwięk klaksonu. Debora odwróciła się gwałtownie i spojrzała przez tylne okno, by za moment wrócić do poprzedniej pozycji. A po chwili autobus przepelniony pasażerami minął nas z wielkim hukiem.

– Autobus – zauważyłem. – Zadowolona pani, że nie siedzi w środku?

– Bardzo. Dziękuję panu.

Niebawem zbliżyliśmy się do wioski. Ładne domki, podobne do prostokątnych pudełek do butów, pokryte strzechą jak pokrywką dzbanka, drzemiące w swoich cichych podwórkach, w cieniu tropikalnych drzew zrzucających żółte i jasnofioletowe kwiaty pomiędzy szukające pożywienia kurczaki i indyki, składały się na całość.

W środku rynku zobaczyłem stację benzynową.

– Skorzystam z okazji i zatankuję tu benzynę. Nie mam jej już za

wiele w baku.

Zatrzymałem wóz i wysiadłem. Podobnie zrobiła i ona. Po drugiej stronie uliczki, przed szkołą, indiańscy chłopcy z nagimi, opalonymi na brąz torsami, grali spokojnie w koszykówkę. Dla mnie był to widok tak dziwny, jak gdybym zobaczył grupę amerykańskich chłopców ze szkoły podstawowej, walczących z bykiem.

Wskazałem głową w kierunku sklepika i powiedziałem:

– Mają tam na pewno coca-colę albo jakieś inne chłodzące napoje. Napije się pani?

Potrząsnęła przecząco głową. Całkowicie ignorowała otoczenie, jak gdyby ta meksykańska wieś nie była godna jej uwagi.

Łamaną hiszpańszczyzną wytłumaczyłem właścicielowi stacji, o co mi chodzi. Kiedy pompował benzynę, zauważyłem jadące od strony Meridy auto. Powiodłem za nim wzrokiem i zobaczyłem, że wóz zatrzymał się po drugiej stronie uliczki. Za kierownicą siedział tęgi, przystojny Meksykanin w samej koszuli, bez marynarki, prawdopodobnie jakiś wynajęty kierowca. Tyłne siedzenie zajmowała jakaś kobieta z kamerą filmową.

Była na pewno Amerykanką, drobna, około pięćdziesiątki, miała na sobie jaskrawozielony kostium podróżny, a przy klapie żakietu widać było nieco przywiedły pęk purpurowych orchidei. Skojarzyła mi się z mostami w New Jersey, lunchem u Schraffitsa i paczką od Altmana uderzającą o czyjeś kolana w zatłoczonym autobusie.

– Rodaczka – zwróciłem się do Debory Brand, ale jej nie było przy mnie. Uznałem, że jednak namyśliła się i poszła wypić coca-colę.

Tymczasem kobietka wyszła z wozu i wycelowała swoją kamerę na chłopców. Rozległ się szum aparatu. Następnie z powrotem wetknęła kamerę pod pachę i wróciła do samochodu. Kierowca wskazywał jej właśnie duży, ciemny gmach kościelny.

– Mam już przeróżnych kościołów do diabła – nowojorski akcent małej kobietki obudził w moim sercu nostalgię. Tymczasem ona rozmawiając z kierowcą zauważyła mnie i właśnie przeszła przez ulicę w moim kierunku. Ledwie sięgała mi do ramienia.

– Halo – zawołała – czy pan także jedzie do Chichén?

Potwierdziłem, że tak. Była lekko spocona, okrągłe czarne oczy w opalonej twarzy przypominały czujne oczy małego chłopca. Raczej mi się podobała. Była z gatunku tych osób, które robią na człowieku od razu sympatyczne wrażenie.

– Zatrzyma się pan w zajeździe? – dopytywała się dalej.

– Taki przynajmniej mam zamiar.

– Ciekawe, ile też z pana zedrą? Bo ode mnie zaśpiewali 75 peso za jedną noc. Nie chodzi mi o pieniądze, ale nie cierpię, jak mnie naciągają... – Przyglądała mi się podejrzliwie, jak gdybym i ja chciał ją naciągnąć.

– Obawiam się, że ze mną pójdzie im łatwo, bo nie bardzo znam się na cenach... – przyznałem.

– Och – spojrzała na mój wóz – podróżuje pan sam?

Nie uważałem za konieczne tłumaczyć jej o Deborze.

– Coś w tym rodzaju – powiedziałem.

– Sam pan prowadzi?

– Tak. To wynajęte auto.

– Panu to dobrze – westchnęła. – Ten wielki, przystojny facet – wskazała kierowcę – to znowu 50 peso. Wszyscy od początku do końca naciągają człowieka – tu uśmiechnęła się zaraźliwie i dodała:

– Ale jak tu im się dziwić? Jesteśmy dla nich po prostu tylko bandą głupców.

– Ma pani słuszość.

Wyciągnęła do mnie rękę.

– Cieszę się, że pana poznałam. Nazywam się Lena Snood, jestem z Newark. Zwariowane nazwisko, ale nazywałam się Hagenhofer nim wyszłam za mąż, tak że nie mogę się skarżyć. Zobaczymy się jeszcze w zajeździe.

– Postawię pani wtedy drinka.

– To ja panu postawię. Nie potrzebuje pan wydawać pieniędzy na takie stare pudło.

Jakaś mała dziewczynka w wystrzępionej, białej sukience podeszła

do nas w milczeniu i przyglądała się nam uważnie, trzymając kurczowo w ręce bukiet dzikich kwiatów. Pani Snood spostrzegła ją i powiedziała:

– Nie, żadnych *flores*. Mam *flores*. Orchidee. – Następnie z miną osoby zrezygnowanej otworzyła portfel i wcisnęła w rękę dziewczynki banknot jednopensowy. – Masz. A teraz uciekaj i baw się. – Wzruszyła ramionami i spojrzała na mnie. – Widział pan? Tylko naciągają Amerykanów.

Po chwili wsiadła do swojego samochodu, a kiedy ruszył, pomachała mi ręką na pożegnanie.

Pracownik stacji napełnił tymczasem mój bak. Zapłaciłem i wszedłem do środka, żeby się rozejrzeć za Deborą. Stała w najciemniejszym miejscu małego, ciasnego pomieszczenia. Pod pachą miała wetkniętą czerwoną torebkę. W ręce trzymała butelkę coca-coli, ale z niej nie piła. Strach jest najłatwiej wyczuwalnym z ludzkich uczuć. Chociaż zewnętrznie nic nie mąciło jej pozornego spokoju, od pierwszego rzutu oka zorientowałem się, że się boi. Świadomość ta bardzo mnie zaskoczyła. Małeńki sklepik wiejski, przepelniony zwykłymi, wiejskimi produktami – serkiem owczym, bananami, piwem – zdawał się być oazą spokoju. Wydało mi się niemożliwe, aby tu, w tym zapadłym kącie Jukatany mogło znaleźć się coś, co ją przestraszyło. Potem przypomniałem sobie, jakie wrażenie zrobił na niej klakson wymijającego nas autobusu i jak raptownie zniknęła na widok zbliżającego się wozu pani Snood.

A więc boi się kogoś, kto ją ścigał, albo mógł ścigać. Ale kogo? Pani Snood? Czy mogło być coś przerażającego w pani Snood, razem z jej nieodpowiednim kolorem kostiumu i zwiędłymi kwiatami?

Moje zainteresowanie osobą Debory pogłębiło się. Podeszedłem do niej. Im bardziej zbliżałem się, tym wyraźniej widziałem, że strach jej znika. Zwalczyła go na mój benefit. W oprawie srebrnoblond włosów podbródek jej dumnie podniesiony był do góry. Nie miałem najmniejszego pojęcia, jakie kłopoty ją dręczą, ale wzruszyło mnie, że ktoś tak młody mógł być tak zatrzwożony.

Bardzo chciałem zapytać, o co tu chodzi. Jakiś zatarg z ojcem? Albo zbyt uprzykrzony amant? Ale nie należała do tych dziewcząt, którym można by zadawać intymne pytania.

Spytałem więc zamiast tego, czy jest gotowa do dalszej jazdy. Skinęła głową i odstawiła nie napoczętą butelkę na kontuar. Przypatrywała mi się spod półprzymkniętych powiek, z manierą znużonej światem, uwodzicielskiej aktorki filmowej.

– Czy mi się zdawało, czy rzeczywiście rozmawiał pan po angielsku z jakąś kobietą.

– Owszem. Jakaś turystka w drodze do ruin, tak jak my.

– Była sama?

– Tak. Z kierowcą. Już odjechała.

Chociaż mówiła z absolutną obojętnością, nie oszukała mnie. Ominęła śpiącego na podłodze psa i skierowała się do drzwi. Rzuciła tylko przez ramię:

– Co to za kobieta?

– Ot, po prostu śmieszna, mała paniusia z orchideami.

Debora znalazła się już na zewnątrz, w pełnym słońcu. Twarz jej była teraz bez wyrazu. Przypominała mi twarze widziane podczas wojny, twarze jeńców, którzy wiedzieli, że ich życie może zależeć właśnie od wyrazu twarzy.

Niezgrabnie wsunęła się do samochodu. Kiedy wsiadłem za nią, zauważyłem, że spoglądała na tylne siedzenie, na którym leżała jej walizka. Właściwie to była rzecz całkiem naturalna, że ktoś sprawdza, czy jego bagaż jest w porządku, tyle tylko, że to spojrzenie Debory było troszeczkę zbyt niespokojne.

Bała się, że ktoś ją śledzi. Bała się, że ktoś mógł skraść jej walizkę.

Co to wszystko mogło znaczyć? Kim mogła być?

Bo na pewno nie zwyczajną turystką, która jechała zwiedzać ciekawe ruiny.

## II

Jechaliśmy ciągle przed siebie, chociaż dzień chylił się już ku końcowi. Mijaliśmy najróżniejsze wioski, a droga stawała się stopniowo coraz gorsza. Pod wpływem owego niezidentyfikowanego lęku mojej pasażerki, nastrój mój uległ kompletnej zmianie. U kogoś, kto wyrósł wśród świateł i neonów wielkiego miasta – Jukatan w nocy budzi niemal przerażenie. Tutaj nic do nikogo nie należy. Drzewa rosną, liany czepiają się, olbrzymie kwiaty lśnią tajemniczo w ciemnej dżungli i nie widać absolutnie żadnych bocznych dróg. Od czasu do czasu jakiś pagórek wznosi się nad rozległą płaszczyzną – ale dalej okazuje się, że to nie jest właściwie pagórek, a ruiny jakiejś świątyni, od dawna zapomnianej, nigdy prawdopodobnie nie odgrzebywanej z tych ruin, gdyż kraj jest zbyt ubogi na luksus badania starych tajemnic.

Robiło się coraz ciemniej. Debora prawie nie mówiła, ja jednak bezustannie zdawałem sobie sprawę z jej obecności – niepokoiło mnie to. Zastanawiałem się nad powodami jej widocznego lęku i kiedy tak sobie wyobrażałem najróżniejsze krążące dokoła niej niebezpieczeństwa – sama jej osoba nabrała dla mnie jakiegoś specyficznego blasku i uroku, czego nigdy nie mogłaby osiągnąć w normalnych okolicznościach. Jej jasne włosy lśniły jak egzotyczny, bładny kwiat, gdzieś poza nicością. Zapach perfum, jaki ją otaczał, wydawałby się czymś całkiem normalnym w jakimś eleganckim nocnym lokalu w Nowym Jorku albo w *Reformie* w Mexico City – tutaj jednak był integralną częścią tego, co nas otaczało. W pewnej chwili przestałem spekulować i zastanawiać się, czego właściwie się bała, i zacząłem myśleć o czymś absolutnie innym, a mianowicie, jakby się zachowała, gdybym ją pocałował. Nie było to właściwe uczucie dla człowieka, który ma się niebawem pogodzić z żoną, toteż odpędzałem te drożne myśli.

Przed nami, na pełnej kurzu drodze, zabłysła para czerwonych ślepiów – jakieś duże ptaszysko siedzące widocznie na drodze

załopotało skrzydłami i odleciało w ciemność.

– Ach, te ptaki na drogach – odezwała się nagle Debora. – Ojciec opowiadał mi o nich. Indianie wierzą, że to dusza księżniczki z plemienia Majów. Indianie powiedzieli jej, że jej kochanek nie żyje, ale ona im nie wierzy. Siedzi tu na drodze i czeka.

– Dlaczego powiedzieli jej, że on nie żyje?

– Bo tu wszystko wokół wymarło. Obcinano głowy zwierzętom, wrywano serca mężczyznom z ich żywego ciała. Zawsze, ciągle krew... Ojciec mówi, że to dlatego, że nie było tu wody. Dawali więc bogom krew, w zamian za zesłanie deszczu.

Zapaliła papierosa z głośnym trzaskiem zapalniczki. Płomyk oświetlił na krótką chwilę jej profil. Przypatrywała mi się z jakimś dziwnym, jakby pełnym spekulacji zainteresowaniem.

– Chce pan zapalić?

– Z chęcią.

Pochyliła się w moją stronę i włożyła mi papierosa między wargi. Palce jej miękko otarły mi się o policzek. Odchyliła się z powrotem na swoje miejsce i zapaliła drugiego papierosa. Jeszcze dwa ptaki czekające na swoich kochanków zabłysły czerwonymi ślepiami i odfrunęły, łopocząc skrzydłami. Wąski sierp księżycy wisiał na granatowym niebie. Nagle po naszej lewej stronie wyłoniła się ciemna, tępo zakończona piramida. Wywołało to we mnie lekki dreszcz. Za piramidą wisiał półksiężyc jak czarodziejski emblemat. Odróżniłem szerokie, masywne schody. Pomyślałem o krwi, jaka musiała po nich spływać.

Raptem błysnęło w oddali elektryczne światło, a po prawej stronie drogi zaczął się druczany płot. Wjechaliśmy w jakąś prywatną posiadłość. Pod elektryczną latarnią widać było fikuśnie rzeźbioną, drewnianą bramę krytą strzechą. Przyjechaliśmy do zajazdu.

Widocznie słyszeli warkot samochodu, gdyż z bramy wybiegł kelner w białej marynarce i zabrał nasze bagaże. Objął mi, że mogę zostawić zaparkowany wóz na drodze. Poszliśmy za nim dróżką wydeptaną w tropikalnym lesie, gdzie dżungla została przekształcona

w palmowy gaj. Doszliśmy do szerokiego tarasu. Jak widać, był to luksusowy hotel – pani Snood mogła być spokojna, że za swoje pieniądze dostąpi wszelkich wygód i luksusów.

Osobiście jednak nie byłem zachwycony.

Jakimś dziwnym zgrzytem była dla mnie ta elegancja, komfort i kanalizacja w tak bliskim sąsiedztwie tego przyczajonego bazyliuszka – piramidy.

Zarejestrowaliśmy się u portiera, gdzie leżało mnóstwo kart pocztowych i amerykańskich magazynów ilustrowanych. Większość pomieszczeń to były przeważnie pojedyncze domki – rozrzucone po całym wielkim ogrodzie. W rejestracji przypuszczano, że podróżujemy wspólnie, wobec czego umieszczono nas w tym samym domku. Służący zaprowadził nas inną ścieżką do naszego domku, który się okazał ładną imitacją dawnych, lekkich budynków w stylu Majów.

Kiedy żegnaliśmy się przed drzwiami naszych pokoi, powiedziałem do Debory:

- Zje pani ze mną kolację, dobrze? I zapraszam panią na drinka.
- Bardzo dziękuję, chętnie. Tylko się przebiorę, to nie potrwa długo.

Pokój miał wysoki, sklepiony sufit, dwa łóżka otulone balonami moskitier i bardzo ładne, malowane, drewniane umeblowanie. Ściągnąłem koszulę i ostrożnie myłem w wyłożonej kafelkami łazience moje poparzone od słońca ramiona i piersi, kiedy usłyszałem pukanie do drzwi. Poszedłem otworzyć i zobaczyłem stojącą na progu Deborahę. W ręce trzymała słoik z maścią od oparzenia słonecznego.

- O, widzi pan? Pamiętałam o panu!

Spoglądała na mój tors zagadkowymi, szarymi oczami. Wzięła mnie lekko za ramiona i odwróciła, żeby obejrzeć plecy. Widać było, że absolutnie nie krępuje jej widok półnagiego, nieznanomego mężczyzny.

– No no, niezłe poparzone – zauważyła. – Może lepiej ja sama to zrobię? – Zamknęła za mną drzwi i powiedziała: – Niech pan



podejdzie do okna.

Przeszliśmy przez cały pokój do okna – słyszałem, jak odkręcała słoik z kremem – i za chwilę jej ręce zaczęły wolno, rytmicznie poruszać się po moich plecach. Włosy jej, chłodne i miękkie, muskały od czasu do czasu moje ramiona. Robiło to na mnie dziwne wrażenie – niby intymne, a równocześnie bezosobowe.

Za plecami usłyszałem jej głos:

– Żonaty pan jest?

– Owszem – odparłem.

– A pańska żona nie interesuje się ruinami? Czy może nie interesuje się panem?

– Moja żona pracuje teraz, w Hollywood. Jest aktorką.

Po tych słowach nastąpiło to jej charakterystyczne: „Och”, ale jej dłonie w dalszym ciągu pracowały nad moimi plecami.

– Proszę się odwrócić – powiedziała nagle.

Kiedy to zrobiłem, stwierdziłem, że jej twarz jest równie bez wyrazu jak przedtem. Tkwiący między zębami koniuszek języka nadawał jej wyraz skupienia i powagi. Teraz zaczęła wcierać krem w moje piersi. Następnie podniosła mi jedno ramię, potem drugie – wcierając krem od barku po przegub ręki. Kiedy skończyła, pozostawiła obie dłonie na moim lewym nadgarstku. Popatrzyła na mnie uważnie, badawczo, wyzywająco. A potem, ku memu najwyższemu zdumieniu zapytała:

– Czy producenci sztuk teatralnych wdają się w romantyczne przygody w najczarniejszych zakątkach Jukatana?

Ten obrót rozmowy trochę mnie zaskoczył. Odpowiedziałem ostrożnie:

– Niewykluczone... przy pewnej prowokacji...

Wzięła mój drugi nadgarstek, nachyliła się do mnie i pocałowała w usta. Był to długi, przeciągły pocałunek, upozorowany na namiętny, ale brak mu było przekonania. Takim pocałunkiem gwiazdy filmowe obdarzają zwycięzcę konkursu strzelania, zorganizowanego na cele dobroczynne. Po dłuższej chwili odsunęła się i spytała:

- Czy to wystarczająca prowokacja?
- Wystarczająca.

Moje ramię otoczyło jej talię. Wsunęła się jednak, mówiąc:

- Tylko proszę, nie z tym kremem na oparzenia.

Podeszła do łóżka, zakręciła słoik i postawiła go na stoliku.

- Jeszcze się panu przyda jutro – powiedziała. – Zobaczymy się za parę minut na tarasie.

Zdumiony, zaintrygowany i lekko podejrzliwy, zacząłem się ubierać. Włożyłem świeżą koszulę, zawiązałem krawat, narzuciłem na to marynarkę i poszedłem przez ogród do głównego budynku. Krem bardzo ulżył mojej poparzonej skórze. Czulem się przyjemnie odświeżony i myślałem o Deborze.

Taras był pusty, tylko w jednym rogu zgrupowało się kilku kelnerów. Miałem wrażenie, iż nie jest to jeszcze pełny turystyczny sezon.

Zamówiłem rum Collins i siedziałem popijając go, obserwując fruujące olbrzymie ćmy w ciemnym ogrodzie i dziwiąc się dziewczynie, która przez chwilę jest wystraszona, to znów nieprzekonująco udaje zakochaną. Nie obawiałem się, że mógłbym się zbyt poważnie zaangażować – za młoda była na to.

Na odgłos kroków za moimi plecami odwróciłem się i zobaczyłem zbliżającą się panią Snood, w uroczystej, krzycząco czerwonej wieczorowej sukni. Poprawiła sobie trochę zaniedbany makijaż, ale pomimo całej wspaniałości pozostawało ciągle to samo wrażenie pośpiesznie załatanego nieporządku. W jej czarnych, bystrych oczach widać było uczucie zadowolenia i przyjemność, że mnie znowu widzi.

Usiadła obok mnie na wolnym krześle i powiedziała tonem oskarżycielskim:

- Pan oszukuje, mój panie. To ja miałam postawić tego drinka – a potem dodała szybko: – Ile też panu naliczyli?

– Jeszcze nic nie powiedzieli – mówiąc to pomyślałem o Deborze, która ukryła się w cieniu stacji benzynowej. Jeżeli było to z powodu pani Snood, niebawem się dowiem.

Kiedy podszedł kelner, pani Snood zamówiła szkocką z wodą sodową, tłumacząc mu w groteskowej hiszpańszczyźnie, że płaci również za mojego drinka. Po jego odejściu spojrzała powątpiewająco na mnie.

– Jak się panu podoba moja suknia? W Stanach mówiono mi, że będzie odpowiednia w Meksyku. Wie pan, ten odcień bugenwilli. Siedemdziesiąt dziewięć dolarów i pięćdziesiąt centów. Uważa pan, że mnie naciągnęli? No, ale to nieważne.

Kelner przyniósł zamówionego drinka. Pani Snood ani na chwilę nie przestawała narzekać, jak wszystko było okropnie drogie w Gwatemali, skąd właśnie przyjechała do Jukatana, i ile też będzie kosztował hotel w Acapulco, gdzie się zatrzyma jeszcze przed powrotem do Newark. Zastanawiałem się, jak ktoś może być tak na wskroś turystycznie nastawiony. Wydała mi się prawie nierealna. Robiła wrażenie pierwszorzędnej cudzoziemskiej aktorki, parodiującej Amerykankę na podstawie własnych obserwacji i komiksów.

Debora się nie zjawiała. Za naszymi plecami, w ciemnej pustce, usłyszałem nadjeżdżający samochód. Kelnerzy również go usłyszeli. Jeden wybiegł przed bramę, by przywitać przybywających. Niebawem ukazali się oni na dróżce. Gości było troje: jakiś samotny Amerykanin i wyglądająca na małżeństwo para. Mężczyzna od tej pary, raczej też Amerykanin, był wysoki, postawny, dobrze po czterdziestce, o różowej, zdrowej cerze, włosach rudych jak marchewka i długich rękach. Towarzysząca mu kobieta tworzyła z nim dziwny kontrast. Najwidoczniej Latynoska, drobna i ładna, w typie indiańskim, o pięknych, dużych oczach i trochę za grubych łydkach.

W mężczyźnie, który przywiózł tych gości, od razu rozpoznałem kierowcę busa turystycznego spod hotelu Jukatan. Kiedy cała trójka zatrzymała się przy rejestracji, przypomniałem sobie, iż Debora powiedziała mi, że spóźniła się na tego właśnie busa. To była wymówka, jaką mi zaaplikowała, prosząc, abym zabrał ją z sobą.

Fakt, że skłamała – fakt sam w sobie dość zwykły – raptem zmienił i jakby naelektryzował całą atmosferę tarasu. Ogarnęło mnie nagle to uczucie, kiedy wydaje nam się, że nic nie jest takie, jak wygląda na pozór. Głosy ludzi przy biurku portiera zdawały się nic nie znaczyć. Gawędzenie pani Snood mogło być równie dobrze głosem papugi, czy jakiegoś innego ptaka lub zwierzęcia. Nawet sam ogród wydał mi się płócienną dekoracją – czymś sztucznym, postawionym tu dla ukrycia rzeczywistości.

Nastrój mój został przerwany typowo amerykańskim akcentem:

– Czy nie będą państwo mieli nic przeciwko temu, żeby rodak przysiadł się do ich stolika?

Podniosłem oczy w górę. Pani Snood uczyniła to samo, przerywając sobie w połowie zdania. Przy naszym stoliku stał Amerykanin, który przyjechał właśnie z ową parą małżeńską. Ubrany był dość szmatlawo – w płaszcz sportowy, wypchane na kolanach spodnie z flaneli i żółtą koszulę, rozpiętą przy szyi. Włosy miał ani blond, ani siwe, wrażenie jakie wywierał było także jakieś nienormalne. Można by mu było dać równie dobrze 45 jak i 55 lat. Jego twarz, z oczami osłoniętymi ciężkimi grubymi okularami w rogowej oprawie, także nie miała specjalnie wyraźnych rysów. Kiedy się uśmiechał, oczy jego prawie się chowały, a na policzkach, po obu stronach wąskich warg, ukazywały się niespodziewanie dziewczęce dołeczki.

– Ależ oczywiście, niechże pan siada – pani Snood obserwowała go z wielkim zainteresowaniem, jak zresztą wszystko, co ją otaczało. Z trudem opanowywana gościnność skłoniła ją jeszcze do dodania zaproszenia na drinka.

– No, no, to także nie najgorszy pomysł – przytaknął nieznajomy i usiadł ciężko na krześle, ale natychmiast, uniósłszy się lekko, wyciągnął do pani Snood rękę i przedstawił się: – Nazywam się Bill Halliday, jestem z Cleveland w Ohio.

Z kolei my przedstawiliśmy się jemu, on zaś, rozejrzawszy się wokół okiem człowieka interesu, zauważył:

– Nieźle się tutaj urządzili, jak widzę...  
– A wszystko, żeby naciągać uczciwych ludzi – wtrąciła pani Snood.

– No cóż, pani wie, jak to jest. Robią z nami co chcą. My, Amerykanie, jesteśmy na tyle niemądrzy, że lubimy zwiedzać ruiny. A to jest jedyny zajazd, w którym można się zatrzymać, toteż mogą z nas zdzierać, ile tylko im się podoba.

Czułem się lekko zawiedziony zorientowawszy się, że natrafiłem na jeszcze jednego człowieka, dla którego najważniejszą rzeczą jest, ile co kosztuje. Równocześnie jednak odciążyło to nieco panią Snood. Widać było od razu, że przypadli sobie do serca. Halliday zamówił jeszcze rybę z wody i od razu wdali się w rozmowę o jakiejś siostrze pani Snood, która kiedyś mieszkała w Akron.

Konwersacja ich była banalna i powierzchowna, jak gdyby zabijali czas oczekiwaniem na coś, co miało nastąpić. Ponieważ myśli moje były mocno zaprzątnięte Deborahą, wbilem sobie do głowy dziki pomysł, że to właśnie na jej pojawienie się czekamy wszyscy.

I wtedy właśnie zjawiła się. Włożyła na siebie długą, wieczorową, białą suknię, w której wyglądała eterycznie i powiewnie jak duch. Bóg jeden wie, jak zdołała przechować w walizce tę suknię nie pogniecioną i jakby prosto spod igły.

Wahała się chwilę, stojąc na brzegu tarasu, a potem skierowała się do naszego stolika. Wyglądała teraz dokładnie jak modelka z Piątej Alei, albo jak kolorowa reklama nowego gatunku papierosów czy też lakieru do paznokci kusząca *Czy chcesz wyglądać olśniewająco dziś wieczorem?* – zastanawiałem się, jak potrafiła przyswoić sobie takie sztuczki wałęsając się między Środkową a Południową Ameryką, w towarzystwie ojca archeologa.

Oczekiwałem podświadomie, że stanie się coś złowieszczonego przy jej spotkaniu z panią Snood, tymczasem nie wydarzyło się nic podobnego. Debora usiadła na wolnym krześle obok mnie, spojrzała obojętnie na towarzystwo i rzuciła cicho: – Dzień dobry.

Jeśli czuła jakiś lęk, to nie można było tego po niej poznać. Nie

zauważyłem również żadnego ukrytego sensu w otwartym i szczerym spojrzeniu pani Snood. Zaś pan Halliday przyjął nową znajomą z szerokim uśmiechem z dołkami i powiedział:

– Czy mi się zdaje, czy widziałem panią dzisiaj na lotnisku?

Spojrzałem na Deborę. Zwrócona była profilem do mnie. Rzęsy jej zadrgały nad srebrnoszarymi oczami, ale poza tym nie zauważyłem w jej twarzy absolutnie żadnej zmiany.

– Bardzo możliwe – odparła. – Byłam na lotnisku.

Tymczasem już się nad nią pochylał kelner. Debora zamówiła *daiquiri* z tłuczonym lodem, taki właśnie drink, jaki niezawodnie zamówiłaby modelka.

– Zamierza pani lecieć do domu, do Stanów? – indagował dalej Halliday.

– Tak – wzruszyła ramionami Debora. – Coś w tym rodzaju.

Bez okazania się wyraźnie niegrzeczną, sparaliżowała dalsze chęci zadawania jej osobistych pytań. W tej chwili pojawił się znowu na tarasie rudowłosy mężczyzna, ze swoją małą, latynoską towarzyszką, skłonił się nam lekko w przejściu i skierował się do innego stolika, w drugim rogu tarasu.

Pani Snood, której wydawało się niedopuszczalne to, że ktoś z jej otoczenia może mieć swoje życie osobiste, zawołała w ich stronę:

– Proszę, przysiądźcie się państwo do nas na drinka!

Mężczyzna zawrócił w naszą stronę. Poruszał się z wdziękiem atlety, który ma już za sobą pierwszą młodość i sukcesy. Kiedy doszedł do naszego stolika, uśmiechnął się. Był to niezwykle rozbrajający, chłopięcy uśmiech, który odejmował z jego ciężkiej, poważnej twarzy przynajmniej dziesięć lat. Niebieskie oczy patrzyły szczerze.

– Bardzo to miłe z państwa strony – powiedział – ale skorzystam może później... – tu wskazał ruchem głowy na dziewczynę o pięknych, czarnych oczach, która tymczasem usiadła przy tamtym stoliku. – Dzisiaj właśnie pobraliśmy się – dodał – i ciągle jeszcze czujemy się trochę... trochę...

– Miodowy miesiąc? – rzuciła pani Snood. – Moje gratulacje!

Wszyscy złożyliśmy mu gratulacje, on zaś znowu się uśmiechnął i odszedł do swojej młodej małżonki.

Pani Snood spoglądając w ślad za nim, dodała ciszej:

– Chwała Bogu, że odmówił. Musiałabym postawić im szampana!

A kiedy znowu zagłębiła się w rozmowę z Hallidayem, ja nadal trwałem w swoim dziwnym nastroju. Nie mogłem pozbyć się myśli, że czegoś tu brakuje, że jakiś mały drobiazg sprawi niebawem, iż te wszystkie przypadkowo napotkane osoby w jakiś sposób połączą się, a słowa nabiorą całkiem odmiennego znaczenia. A kiedy uczucie to wzrastało, czułem, jak gdybym zaraził się atmosferą wytworzoną wokół Debory, siedzącej przy moim boku. Zacząłem sobie zdawać sprawę z tego, że może się pomyliłem. Pod opanowaniem i pozornym spokojem wyczuwałem jakieś napięcie, które mogło być lękiem. A jeśli tak, to był to specyficzny strach przed kimś, kto siedział w tej chwili z nami na tarasie.

Ale przed kim? Przed Hallidayem, który widział ją na lotnisku? Przed tą parą, spędzającą tutaj miodowy miesiąc? Czy też przed panią Snood?

Niebawem gong odezwał się wzywając na kolację i cała nasza grupa rozpięzchnęła się. Ja i Debora jedliśmy we dwoje przy narożnym stoliku, w rogu sali, nie rozmawiając prawie zupełnie ze sobą. Wielka sala jadalna, z tą małą garstką gości, była jakaś cicha i ponura. W pewnej chwili zjawił się na sali dyrektor zajazdu, wesoły, zażywny Meksykanin, z nabytym wigorem i swadą pilota wycieczek oświadczył, że jutro rano, o ósmej trzydzieści, będą do dyspozycji przewodnicy, by oprowadzać gości po ruinach.

Po kolacji Debora w moim towarzystwie piła kawę i brandy na tarasie. Nie czułem w niej teraz żadnego napięcia i zastanawiałem się, czy wszystko to przedtem nie przywidziało mi się. A może to, co brałem za lęk, było po prostu niewyrobieciem towarzyskim? Albo może nietrafnie interpretowałem powód jej częstego popadania w

milczenie?

Nim jednak doszedłem do jakiegoś konkretnego wniosku, moja towarzyszka wstała i powiedziała:

– Jestem piekielnie zmęczona. Nie pogniewa się pan, jeżeli opuszczę pana i pójdę się położyć?

Para nowożeńców właśnie wychodziła na taras z sali jadalnej. Debora zawołała do wszystkich „dobranoc”. Kiedy pani Snood i Halliday robili najazd na mój stolik, Debora właśnie wychodziła z tarasu. Patrzyłem, jak jej smukła postać przemykała przez ogród w kierunku domku.

Znosiłem cierpliwie, tak długo, jak tylko mogłem, dialog na linii: Halliday-Snood, a potem, wymawiając się zmęczeniem – zostawiłem ich samych. Właściwie nie byłem śpiący. Kiedy taras zniknął mi z oczu, skręciłem z dróżki do bramy i poszedłem wzdłuż ogrodzenia zajazdu w ciemną drogę dżungli.

Przed zajazdem stał mój wóz, zaparkowany za turystycznym busem z Meridy. Kiedy tak stałem odwrócony plecami do zajazdu, te dwa samochody były jedynymi symbolami XX wieku. W górze świecił wąski sierp księżyca. Przede mną wierzchołki drzew oplecione długimi, zwisającymi łańcuchami lian, rysowały się czarno na jaśniejszym niebie. A w tyle, wznosząc się majestatycznie w przezroczystym, baśniowym jakimś świetle, widniała sylwetka wieży.

Wywierała ona na mnie dziwne, magnetyczne niemal wrażenie. Teraz, kiedy oczy przywykły mi do ciemności, zobaczyłem przed sobą ogrodzenie z drucianej siatki i niewielką furtkę. Pchnąłem ją i poszedłem wzdłuż wydeptanej ścieżki w dżunglę. Wokół grały cykady, nad głową fruwały ćmy. Po chwili ścieżka skręciła na prawo i nagle roztoczyła się przede mną szeroka arena trawy, na której stały cieniste, tajemnicze świątynie.

Wkroczyłem na oświetloną księżycem trawę. Tu kończyło się wszelkie życie. Wkroczyłem w świat zmarłych, roztaczając swój własny, potężny czar. Nieliczne tylko szczegóły mogłem rozróżnić wyraźniej – długie, masywne fasady świątyń i smukłą, podobną do



latarni morskiej wieżę po prawej stronie. Przed nią unosiły się ómy i roje maleńkich muszek. Zapaliłem papierosa i usiadłem na suchej trawie. Po to właśnie tutaj przyjechałem. Nie do tego zajazdu i zagadki srebrnowłosej dziewczyny, która udawała zakochaną we mnie i była albo nie była czymś przestraszona. Choć nie byłem wtajemniczony i nie znałem kraju ani tradycji Majów, tkwiący we mnie człowiek teatru silnie zareagował na ten spektakularny nastrój i czar otoczenia i ruin, zaludniając je postaciami zapamiętanymi z książek czytanych w dzieciństwie – biało ubrani kapłani, nagie ludzkie ofiary na ołtarzach. Dłuższą chwilę siedziałem tak, dając się unosić fantazji i wyobraźni, aż stopniowo zaczął mnie ogarniać lęk. Wyłaniał się z głęboko ukrytych zakamarków mej jaźni. Pałace, uwodzicielsko lśniące w świetle księżyca, wydały mi się teraz pałacami przerażenia, z których lada chwila może wyfrunąć coś tajemniczego, niesłychanie starożytnego, przeraźliwie straszego.

Wstałem i wróciłem pośpiesznie tą samą drogą do uspokajającego widoku zaparkowanych samochodów.

Sam zajazd pogrążony był już w ciemności. Wszyscy poszli wcześniej spać, żeby dobrze wypocząć przed jutrzejszym zwiedzaniem.

W roztargnieniu zablądziłem i znalazłem się gdzieś głęboko w ogrodzie. Po prawej stronie odróżniłem mój domek i skierowałem w tę stronę kroki. Byłem jeszcze oddalony o kilkaset stóp od budynku w cieniu pomarańczowego drzewa, kiedy nagle stanąłem jak wryty.

W księżycowym świetle widziałem wyraźnie tył budynekczku. Najbliższe okno było oknem w pokoju Debory, następne – moje. Pod oknem Debory widniała skulona jakaś ciemna postać.

Okno było otwarte, a postać przykurczona pod nim robiła wrażenie, jak gdyby chciała przedostać się przez nie do środka. Poczulem dreszcze niepokoju. Wtem w oddali zaszczekał nagle pies i tajemnicza postać wpadła w cień nocy.

Cały ten epizod nie trwał dłużej niż kilka sekund i moje nienaturalne zaniepokojenie minęło równie szybko. W zajazdzie było

przecież kilku kelnerów. Prawdopodobnie owa postać to jeden z nich, śpieszący do pokoju dla służby w tyle ogrodu. Oczywiście mógł to być i skutek mojego zaabsorbowania ruinami, które wydały się takie złowróźbne.

Kiedy dobrnąłem do domku, niemal całkiem zapomniałem o tym drobnym wydarzeniu. Przyjemnie znużony rozebrałem się, włożyłem piżamę i wsunąłem się pod moskitierę do jednego z łóżek. Nie mając nic do czytania, leżałem sobie ćmiąc papierosa i rozmyślając o Iris. Kiedy zdusiłem niedopalonego papierosa i zgasilem lampkę przy łóżku, usłyszałem pukanie do drzwi.

Usiadłem. Pukanie powtórzyło się. Rozsunąłem tiulowe firanki i poszedłem otworzyć.

Na progu stała Debora Brand w białej piżamie. Włosy, jeszcze bardziej srebrne w świetle księżyca, opadały jej na ramiona. Wsunęła się głębiej do pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

– No... i przyszedł – powiedziała. – Czy już pan ze mnie zrezygnował?

### III

Zapaliłem światło. Debora usiadła na małej sofie w pobliżu łóżka i podwinęła nogi pod siebie. Zauważyłem, że zaaplikowała sobie więcej szminki na wargi i przyciemniła powieki, najwidoczniej w celu wywołania efektu *femme fatale*. Ale nic z tego nie wyszło – wyglądała po prostu bardzo ładnie i młodo.

- Nie przypuszczam, żebym dostała drinka?
- Niestety, nic nie mam.
- W takim razie może chociaż papierosa?

Znalazłem napoczętą paczkę i podałem jej, pstrykając równocześnie zapalniczką. Przy zapalaniu papierosa przytrzymała moją rękę i nie puszczała. Spojrzała na mnie, stosując znaną już sztuczkę z półprzymkniętymi powiekami.

I to także było mocno przesadzone.

– Dziewczęta zachowują się tak wobec producentów teatralnych jeżeli chcą, by je wylansowali na Broadwayu, prawda?

– W filmach...

– Wyłącznie w filmach?

Szarpnęła lekko moją rękę, a ja pozwoliłem zaciągnąć się na sofę, obok niej. Wówczas otoczyła mnie ramionami i pocałowała w usta. Mimo usilnych starań z jej strony, żeby wypadło to poważnie i wyrafinowanie, wargi jej miały dziewczęcą słodycz i świeżość, a całe ciało delikatnie pachniało. Wszystko to razem byłoby może nawet wzruszające, gdyby nie takie sztuczne. W dodatku lekko drżała – to również było mało przekonywujące.

Kiedy już skończyła, zapytałem:

– Proszę mi zdradzić, jakie ma pani problemy, co? Chce pani być wylansowana na Broadwayu?

– Nie – powiedziała ostro. – Nie. Oczywiście, że nie!

– W takim razie po co ta gra?

– Dlaczego nie, proszę pana?

– Z wielu względów. I proszę nie zapominać, że jestem szczęśliwym małżonkiem.

Twarz jej była tuż przy mojej.

– Czy bywa na świecie ktoś szczęśliwie żonaty?

– Obawiam się, że to zbyt kosmiczne, jak na mnie, pytanie...

– Przyszłam tu, bo mi się tak podobało. Bo mi się pan podoba...

– Czy ma pani zwyczaj odwiedzać każdego mężczyznę, który się pani podoba?

– A może ja mało kogo lubię, mało kto mi się podoba – wybuchnęła.

Wstałem. Ona leżała na sofie, srebrne włosy lśniły, wargi miała rozchylone, a oczy patrzyły na mnie trochę gniewnie, a trochę z zażenowaniem.

– Czemu pani nie przestanie grać roli Maty Hari i nie powie mi szczerze, o co właściwie chodzi? – zapytałem. – Czemu nie powie mi

pani prawdy?

– Prawdy? Jakiej, mianowicie?

– W co pani gra?

Zerwała się nagle z sofy i zawołała:

– Nie zostanę tu ani chwili dłużej, żeby mnie obrażano!

– Proszę w takim razie wrócić do swojego pokoju.

– Nie. – Znikła gdzieś poza olśniewającej dziewczyny, wampa.

Ramiona jej opadły, była po prostu młodą, wystraszoną dziewczyną, może trochę za bardzo wymalowaną. – Nie!

Położyłem jej ręce na ramionach i usiłowałem nadać głosowi ojcowskie brzmienie:

– Niech mnie pani posłucha. Nie jestem żadnym ludojadem... Jeżeli potrzebna jest pani pomoc, nie musi pani uciekać się aż do ostateczności. Chętnie pani pomogę, za darmo.

– Wcale nie potrzebuję pomocy. Skąd panu przyszło coś takiego do głowy? – upierała się.

– I chce pani, żebym w to uwierzył?

– Czemu nie miałby mi pan uwierzyć?

– Bo... nie urodziłem się wczoraj, droga pani.

– Niech pan nie plecie głupstw. Nikt z nas nie urodził się wczoraj, tylko maleńkie dzieci.

– Po pierwsze skłamała pani mówiąc mi, że przegapiła tego turystycznego busa...

Była widocznie na ten zarzut przygotowana, odpowiedziała bowiem bez wahania: – Tak, wiem. Przepraszam. Pomyliłam się. Byłam pewna, że już odjechał.

– Po drugie, bała się pani każdego samochodu, który za nami jechał. Nawet liniowego autokaru. A potem, kiedy przyjechała na stację benzynową pani Snood, schowała się pani w głębi sklepiku.

– Nic podobnego. Chciałam po prostu napić się coca-coli.

– I nawet nie umoczyła pani warg.

– Bo się rozmyśliłam...

– I jestem prawie przekonany, że boi się pani kogoś, kto jest tutaj.

Kogo?

– Absolutnie nikogo się nie boję.

– Nim wróciłem do domku, widziałem jakiegoś mężczyznę przyczajonego pod pani oknem... Czy tego właśnie pani się boi?

Tupnęła nogą, jak rozgniewana mała dziewczynka.

– Sto razy już panu mówiłam, że nikogo i niczego się nie boję. Dlaczego pan robi z każdego głupstwa jakieś dramaty? Czy to producent teatralny przez pana przemawia?

– Okay – powiedziałem. – A więc dobrze, nikogo pani się nie boi... zresztą, mało mnie to obchodzi. Mam jednak prawo wymagać jednego; żeby mi pani powiedziała, jaką ja w tym wszystkim gram rolę?

Spojrzała mi w oczy i bąknęła niewyraźnie:

– Proszę, bardzo pana proszę, żeby mi pan pozwolił... zostać tu na noc.

– Z jakiej racji?

– Ma pan przecież dwa łóżka. Będę się zachowywała bardzo spokojnie. Obiecuję panu, że będę grzeczna.

Śmieszne byłoby doszukiwać się w jej postępowaniu jakiejś pułapki. Byliśmy przecież w środku meksykańskiej dżungli, a nie na Times Square.

– Nie należy do zwyczajów normalnego mężczyzny proponować dziewczynie łóżko w swoim pokoju, jeżeli ta dziewczyna ma wygodne łóżko w swoim własnym pokoju – upierałem się.

– Czy wszystko musi być zawsze normalne i zwyczajne?

– Owszem, chyba że istnieje jakiś sensowny powód, żeby miało być inaczej.

Ciągle patrzyła na mnie w poważnym skupieniu, aż nagle wargi jej zaczęły drżeć.

– No więc powiem panu prawdę. Skłamałam... Boję się...

– No, teraz już lepiej.

– Tam, samiuteńka w pokoju, w ciemności i w środku dżungli... te dziwne dźwięki... to straszne. Sama nie wiem dlaczego, ale to mnie

przeraza. To... Nie chcę o tym mówić, bo to takie dziecinne. A nie cierpię, kiedy ktoś o mnie myśli, że jestem dziecinna.

Pomyślałem sobie w duchu, że dziewczyna podróżująca ze swoim ojcem archeologiem po Peru, powinna już dawno przywyknąć do dżungli. Szukanie przygodnej miłości z nieznanym mężczyzną, to dość dziwny sposób znajdowania towarzystwa. Ale może rzeczywiście mówi prawdę?

– Proszę... proszę – nalegała – niech mi pan pozwoli zostać. Proszę nie kazać mi wracać do mojego pokoju.

Wiedziałem, że prawdopodobnie napytam sobie biedy i będę gorzko żałował tej słabości, ale jakoś trudno mi było wygonić tę dziewczynę. Polubiłem ją dziwnie i tu właśnie tkwił cały kłopot.

– Zgoda – orzekłem, wskazując drugie łóżko. – Całe należy do pani.

W uśmiechu, jakim mnie obdarzyła, widać było przeogromną wdzięczność.

– Dziękuję – rzuciła tylko.

– Nie ma za co – odparłem krótko.

Zdjęła ranne pantofelki, znalazła otwór w moskitierze i wsunęła się do drugiego łóżka. Widziałem niewyraźny kontur jej twarzy leżącej na poduszce, z rozrzuconymi dookoła głowy włosami.

Za oknem, w dżungli, jakiś ptak, prawdopodobnie jeden z tych, co czekają na swego kochanka, wydał swój ponury jęk. Zgasilem światło.

Zapadła ciemność i cisza. Nagle Debora powiedziała:

– Nie cierpię przewodników. Wstańmy wcześniej i pójdźmy zwiedzić ruiny, zanim jeszcze cała wycieczka wyruszy.

– Kiedy ja jestem tuman – przyznałem. – Potrzebuję instrukcji.

– Wiem wszystko o tych ruinach. Będę pana przewodnikiem.

– Dobrze.

– Jest pan bardzo dobry.

– Prawda?

– Jestem panu strasznie wdzięczna...

– Bardzo się cieszę.

Przez kilka następnych minut żadne z nas nie odzywało się. Słyszałem, że Debora westchnęła i odwróciłem się na drugi bok. A potem słyszałem jeszcze, jak mówi cicho, prawie już przez sen:

– Ptaki na drodze... czekają na swoich kochanków.

– Uhum – przytaknąłem, już prawie zasypiając.

Jeszcze mówiła coś w rodzaju: Joanna d'Arc koronowała go w 1462 roku...”

– Kogo koronowała? – spytałem.

– Mojego wuja – znowu westchnęła.

– To musiało mu sprawić ogromną przyjemność.

– Oczywiście. Nowa Joanna d'Arc – szepnęła. – Ale niech pan tego nikomu nie mówi... Nigdy. To sekret...

– Dobrze.

– Przysięga pan?

– Przysięgam.

– Wspaniale. Dobranoc, słodki księżę, i niech skrzydła anielskie...

Słowa przeszły w jakieś pełne zadowolenia mruczenie. A potem zapanowała już cisza. Byłem pewien, że zasnęła. Była na tyle młoda, że potrafiła mimo wszystko zasnąć, jak małe zwierzątko.

W chwilę później i ja także zasnąłem.

## IV

Obudziłem się pod dotknięciem czyjejś ręki na ramieniu. Przez okno wpadało jaskrawe światło słoneczne. Moskitiera u mojego łóżka była zsunięta. Debora w swojej białej piżamie stała przy łóżku.

– Strasznie trudno było pana dobudzić – powiedziała. – Już prawie siódma.

Spojrzałem na nią i stopniowo zacząłem sobie przypominać wszystko, co się wczoraj działo.

– Te ruiny – mówiła dalej – obiecał pan wstać bardzo wcześnie, żebyśmy pojechali, zanim reszta się wyguzdrze.

– No dobra.

– Idę do siebie ubrać się. Będzie pan za chwilę gotów, dobrze?

– Chyba tak.

Przyglądała mi się w skupieniu, a w końcu spytała:

– Czy rano zawsze jest pan taki wściekły?

– Czyj to właściwie pokój? – odpowiedziałem pytaniem.

– Przepraszam, nie musi pan mi ciągle tego przypominać.

Wyszła zwyczajnie, jak gdyby absolutnie nie dbała o to, czy ją ktoś zobaczy, czy nie. Wstałem i umyłem się. Moje oparzenie znacznie zelzało, prawie nie czułem, że mnie boli. Właśnie kończyłem się ubierać, kiedy Debora wróciła. Miała na sobie ten sam srebrnoszary kostium, a pod pachą trzymała swoją dużą, czerwoną kopertówkę. Wyglądała świeżo, jak wiosenny poranek.

– Chodźmy! – zawołała. – Nie ma jeszcze nikogo na dworze.

Wyszliśmy do ogrodu, ja zaś zamknąłem za nami drzwi. Główny budynek lśnił w słońcu. Na tarasie nie widać było nikogo.

– Zaczniemy od wielkiej piramidy – zaproponowała. – Znam to miejsce, jak gdybym była już tu wiele razy. Ojciec ciągle wbijał mi to do głowy...

Wyszliśmy bramą prowadzącą do zajazdu na wąską drogę, gdzie stały zaparkowane auta. Debora była w wyśmienitym nastroju, ja zaś przestałem starać się jej w tym dorównywać. Jakies kilkaset stóp w głąb dżungli wznosiła się dumnie wysoka piramida, którą widzieliśmy wczoraj wieczorem. Groza, jakiej przydawała jej ciemność i noc, teraz zniknęła, ale pozostawała wielkość, szara, zimna, groźna. Niebawem znaleźliśmy się wśród domostw Majów. I tu również nie widać było śladów człowieka, a jedynym żywym stworzeniem był żółty pies, który spojrzął na nas spod oka, a potem zaczął iść za nami.

Przeszliśmy furtkę w drucianym ogrodzeniu. Najbliższy zakręt za kępą krzewów ukazał nam podstawę piramidy. Dokoła nas jakby to była wielka, okrągła arena, przysiadły ogromne, zburzone pałace.



Debora zaczęła pokazywać mi poszczególne budynki. Długie, masywne ściany Świętego Dworu i Sali Balowej, ze Świątynią Tygrysów w samym końcu. Dalej Świątynia Czaszek, grobowiec Chacmoola, wielkiego boga deszczów, w którego olbrzymich dłoniach, żądnych ofiar, spoczywały losy Majów. A z tyłu, za olbrzymią Świątynią Wojowników widać było powalone kamienne kolumny, między którymi ongiś odbywały się targi. Debora zaczęła mi wyjaśniać mityczny związek pomiędzy ilością platform i schodów olbrzymiej piramidy, a kalendarzem Majów. Słuchałem jednym uchem, ogarnięty uczuciem zdziwienia i jakby lęku, iż tak wspaniała cywilizacja została tak całkowicie połknięta przez dżunglę. Motyle przeróżnych kształtów i kolorów unosiły się nad naszymi głowami. Ogromna, biała czapla przeleciała majestatycznie na tle nieba i zniknęła w oddali.

Następnie przeszliśmy do sal balowych, a żółty pies wiernie nam towarzyszył. Wdrapaliśmy się po stromych schodach na platformę Świątyni Tygrysów i spojrzeliśmy w dół, na rozciągający się u naszych stóp dziedziniec. Jego ściany rzeźbione były w kunsztowne, rytualne sceny. A w środku każdej ściany, wysoko w górze, znajdował się wielki, kamienny pierścień.

Żółty pies nieśmiało wdrapał się także schodami na samą górę, gdzie dwa ogromne, kamienne węże z ogonami w powietrzu, a głowami z wysuniętymi językami przyciśniętymi do ziemi, trzymały straż przed posągiem boga Chacmoola: siedział w kucki na potężnych udach, z głową zwróconą w stronę piramidy, gotową na przyjęcie ludzkiego serca, składanego w ofierze.

Owo dziwne uczucie trwogi, jakie ogarnęło mnie wczorajszej nocy, nagle wróciło. Otaczające nas kamienne ściany pełne były wyrzeźbionych twarzy Chacmoola – z olbrzymim, stylizowanym nosem, który wydawał się kamienną trąbą, sterczącą jak jakaś azjatycka zjawa. Uderzyła mnie nagle świadomość monstrowej głupoty tej wymarłej religii, ponurej perwersji tego kultu, który propagował trzymanie tysięcy dzieci w klatkach i tuczenie ich, by

stały się ofiarami godnymi kamiennookiego boga, skleconego z wapienia i złych snów.

Żółty pies, który wyłonił się zza rogu, przypatrywał się nam ze stulonymi uszami, a potem podreptał obok węży, obwąchał kamienne pośladki Chacmoola i podniósł tylną nogę.

Od razu poczułem się lepiej.

Stojąca przy moim boku Debora spojrzała na zegarek.

– Pójdziemy teraz do *cenote*. Ojciec mój był ekspertem od *cenote* w tych stronach. Zamorduje mnie, jeżeli nie zdam mu dokładnego sprawozdania.

Ruszyliśmy w kierunku wielkiego, kamiennego ołtarza ofiarnego. Dokoła niego rosły kwitnące obficie drobne, żółte kwiatki. Zastanawiałem się, czy kwitły tak samo w czasach, kiedy z tego ołtarza spływała krew zabijanych ofiar. Może one lubią krew?

– Co to właściwie są te *cenote*? – spytałem.

– Są to naturalne, głębokie studnie, wszędzie dookoła. Ale ta tutaj była najważniejsza w całym Jukatanie. To studnia ofiarna. Książęta przybywali tu ze wszystkich stron, żeby wrzucać do niej klejnoty, ludzi i młode dziewczyny. Szczególnie właśnie – dziewczyny. Zawsze wrzucano tu młode dziewice.

Ostrożnie zeszliliśmy w dół, krążąc między powalonymi kolumnami dawnego targu, aż dalej, na arenę.

– To jest na północ od piramidy – powiedziała Debora. – Tam, za dżunglą. Tu musi być dróżka.

Przeszliliśmy krótki kawałek otwartej przestrzeni i skręciliśmy w wąską ścieżkę, wiodącą do samego serca dżungli. Splątane rośliny zdawały się być aktywne, jak gdyby przycupnęły tylko, żeby nabrać siły i impetu do ataku, w którym po raz drugi pochłonęłyby ruiny. Motyle, ogromne, z ostro zakończonymi, pomarańczowymi skrzydełkami, fruwały na wszystkie strony. Cała armia mrówek-wojowników maszerowała w ścisłym szeregu w poprzek ścieżki. Zagłębialiśmy się coraz dalej w dżunglę, a dokoła nas skrzeczały jakimś metalicznym skrzekiem przedziwne ptaki.

Wreszcie ścieżka przeszła w polankę, gdzie kupa gruzów i potłuczone kamienie markowały jakąś zniszczoną świątynię. Doszliśmy do *Cenote de Los Sacrificios*.

Dla mnie osobiście ofiarna studnia była chyba najstraszliwszym reliktem starożytnych okropieństw. Może było tak dlatego, iż ukształtowała ją sama natura, ale jednak w tym swoim dziele zdawała się naśladować brutalność i okrucieństwo architektury Majów.

Przed nami rozciągał się okrągły krater, mniej więcej 150 stóp średnicy – ziejąca dziura, jak gdyby w tym punkcie załamała się powierzchnia ziemi. Podeszedłem do skraju. Ściany studni, białe, rowkowane, gdzieniegdzie upstrzone rosnącymi w nich paprociami i krzaczkami, spadały pionowo jakieś 80 stóp ku zielonej, leniwej wodzie. Promienie słońca przedzierające się poprzez zwisające gałęzie tworzyły dziwaczne desenie i arabeski – złote i czarne – ale całość wionęła zimnem, nieruchomością i śmiercią. Pomyślałem o nieszczęsnych młodych dziewczętach, przerażonych, wyrwywających się, spychanych w głębinę. Wyobraziłem sobie chwilę śmiertelnej ciszy, a potem plusk...

Debora stała niebezpiecznie blisko skraju studni i pochylała się nad nią.

– Tam na dnie są setki szkieletów – powiedziała. – Archeolog Thomson kiedyś przeszukiwał studnię. Złoto, jaspis, ametysty i czaszki, czaszki, czaszki. – Urwała na chwilę, a potem dokończyła: – Nie można się stamtąd wydostać. Pod studnią płynie podziemna rzeka o silnym prądzie. Jeżeli ktoś wpadnie, a nie ma nikogo, kto by miał linę, zginie marnie...

– Nie ma co! Przyjemne widoki!

Żółty pies pojawił się na polanie, niespokojny, i ruszył w stronę cienia, usiadł ciężko i skontrolował swoje łapy. Debora odeszła od zrębu krateru i otworzyła swą torebkę.

– Masz ci los! – zawołała i spojrzała na mnie jak gdyby z rozczarowaniem. – Obiecałam ojcu, że zrobię dla niego zdjęcia. Dotknęłam z wierzchu torebki i byłam przekonana, że to mój aparat, a

tymczasem widzę, że to tylko książka!

Prawie jej nie słuchałem, lecz wpatrując się w niewielką kupkę kamieni, które ongiś były świątynią, zastanawiałem się, na jakim to sabacie tańczyły tutaj czarownice.

– Peter – powiedziała nagle Debora, biorąc mnie za rękę. Spojrzałem na nią i odniosłem dziwne wrażenie, że jej twarz stała się raptem jakaś fałszywa. – Peter, czy nie zechciałby pan pobiec do hotelu i przynieść mi aparat? Nie zajmie to panu więcej jak pięć minut... Obiecałam ojcu... – Zaczęła szperać w torebce: – Tu ma pan klucz od mojego pokoju i...

Po chwili wyciągnęła jeszcze powieść kryminalną w kieszonkowym wydaniu z bardzo kolorową okładką.

– Czytałam ten kryminał w samolocie. – Jeżeli już jest pan taki dobry, proszę zabrać i to. Obciąża niepotrzebnie torebkę.

Wsunąłem książkę do kieszeni i wziąłem klucz z jej rąk. Usiłowałem przeanalizować, co mogło wywołać we mnie to uczucie fałszu, kryjącego się za jej słowami. Wyglądało na to, że całe jej zachowanie od chwili wyjścia z zajazdu, widziane z retrospekcji, było grą – zmierzającą to tego, całkiem trywialnego zakończenia czy prośby.

Ale wyraz jej twarzy był bezbarwny, nic mi nie dał do myślenia.

– Strasznie mi przykro, że pana trudzę – mówiła dalej. – Ja przez ten czas zwiedzę sobie *cenote*, w każdym razie mam ten zamiar. A teraz niech pan już biegnie do zajazdu, a ja znajdę najładniejsze miejsce na zdjęcie.

– W porządku – powiedziałem i zawróciłem na ścieżkę.

– Tylko niech pan nie zasiedzi się zbyt długo – zawołała jeszcze za mną Debora.

– Dobrze, dobrze!

Zawróciłem na pięcie i odszedłem, pozostawiając ją wałęsającą się nad skrajem krateru, jasną i energiczną, z jej czerwoną torebką i niebezpiecznie wysokimi obcasami.

Gdy wyszedłem z dżungli na szeroką polanę i okrągłą arenę,

zauważyłem, że normalny dzień już rozpoczął się i tutaj. Na nieodrestaurowanej stronie piramidy dwaj Indianie w białych kurtkach ścinali wysokie zielska i zarośla. Jakaś mała dziewczynka bawiła się przy podstawie Świątyni Czaszek, a w środku kępy trawy tkwił mężczyzna w jasnoszarym garniturze.

Kiedy już się do siebie zbliżyliśmy, poznałem w nim kierownika zajazdu. Przy spotkaniu przywitaliśmy się wesoło.

- Ranny ptaszek z pana, panie Duluth!
- Właśnie oglądaliśmy *cenote*.
- Bardzo ciekawe, prawda?
- Ogromnie!

Mała dziewczynka rozpoczęła wdrapywanie się do Świątyni Czaszek. Jeden z koszących zarośla Indian zmęczył się widocznie i położył na trawie, nasunawszy kapelusz na oczy.

- Musiałem wrócić do hotelu po... – zacząłem się tłumaczyć.

Urwałem, gdyż za naszymi plecami w dżungli rozległ się jakiś rozpaczliwy, kobiecy krzyk.

Nagle zeszytniałem, a kierownik zajazdu odwrócił się wpatrując się bacznie w ścieżkę wiodącą do *cenote*.

Echo tego krzyku odbiło się stukrotnie w dżungli. Czuję na plecach przejmujący dreszcz. A po chwili może jeszcze straszniejszy odgłos, ponieważ w moim umyśle kojarzył się on z krwawymi obrządkami Majów. Był to długi, świszczący plusk.

Ogarnięty straszliwą paniką ruszyłem z powrotem dróżką w dżungli, rzuciwszy tylko krótko przez ramię w stronę kierownika zajazdu:

- Pani Brand została tam przy studni. Sama...

Kierownik ruszył za mną, skręciłem w dróżkę, a potem w dół, jak tylko mogłem najprędzej. Wyobrażałem sobie Deborahę kręcącą się nad brzegiem *cenote*, a potem chwiejącą się i spadającą...

Na polanie zobaczyłem żółtego psa siedzącego przy skale wapiennej, z nastawionymi uszami, patrzącego w dół krateru.

- Debora! – zawołałem.

Tuż za mną zjawił się zadyszany kierownik zajazdu. Obaj podbiegliśmy na skraj przepaści. Głęboko pod nami złowroga, zielona woda płynęła powoli ku swemu przeznaczeniu – podziemnej rzece.

– Debora! – zawołałem jeszcze raz.

Kierownik pochwycił moje ramię. Palce jego tak mocno wpiły się w moje ciało, że zdawały się dotykać kości. Ciężko dyszał. Ale ja nie potrzebowałem żadnych objaśnień, bo sam też ją zobaczyłem.

Osiemdziesiąt stóp w dole, widziałem lśniące i migotliwe pod wodą, jak jakiś niesamowity wodorost – srebrne włosy Debory... Mniej wyraźnie dojrzałem również jej twarz. Była blada, zimna, zielona, pod leniwą wodą studni.

I nie poruszała się. Leżała tam nieruchomo, podczas gdy wolno płynący strumień czesał jej rozpuszczone włosy...

## V

Moją pierwszą reakcją była złość. „Idiotka – pomyślałem. – Po jakie lichy szwenda się nad brzegiem studni. Czy zupełnie straciła zdrowy rozsądek?” Dopiero po chwili pojąłem całą grozę sytuacji. Leżała tam w dole, pod wodą, nie ruszając się. Spadając musiała uderzyć głową o kamienie. Albo siłą, z jaką uderzyła z tak dużej wysokości o powierzchnię wody, sprawiła, że straciła przytomność.

Uklęknałem i zacząłem schodzić w dół po wystających stopniach skał, kiedy kierownik zajazdu pochwycił mnie za ramiona. Silny, jak zawodowy atleta, szarpnął mnie do tyłu.

– Nie może pan zejść na dół – powiedział ostro. – Żaden człowiek tego nie potrafi.

– Ależ ona tonie!

– Jedyne, co uda się panu zrobić, to spaść w dół. Proszę pamiętać, że to 80 stóp... Będziemy musieli i pana ratować.

Tymczasem z polanki nadbiegł jeden z Indian – kierownik warknął do niego coś po hiszpańsku. Indianin szybko zawrócił i pobiegł w

stronę dróżki.

– Posłałem go po linę – wyjaśnił mi. – Na piramidzie zawsze leży lina, żeby łatwiej było ludziom wspinać się do góry. Za chwilę on wróci tu z liną.

Chociaż był niższy ode mnie, ale zbudowany atletycznie, same mięśnie, a chwyciwszy mnie przez zaskoczenie, trzymał mnie za ramiona w mocnym uścisku, jak w nelsonie. Borykaliśmy się ze sobą nad brzegiem krateru, a żółty pies nagle zaskowyczał. Pewnie któryś z nas nadepnął mu na ogon.

Kiedy wrywałem się z rąk kierownika nie myśląc o niczym, a jedynie wiedziony instynktem, cały czas widziałem tam na dole Deborah. Miałem wrażenie, że zapada się niżej. Twarz jej widziałem teraz mniej wyraźnie, rozfalowane włosy były mniej srebrne i powoli, powoli woda unosiła ją coraz bliżej do występu skały, pod którą płynęła podziemna rzeka.

Usłyszałem jak przez mgłę głos kierownika:

– To jest bezcelowe. Jestem pewien, że już nie żyje. Prąd zniesie ciało w dół rzeki...

Za naszymi plecami rozległ się tupot biegnącego człowieka. To wracał Indianin, trzymając w ręku niedbale zwiniętą linę, której koniec włókł się za nim jak olbrzymi wąż. Obok niego biegł drugi Indianin. Kierownik zaczął wykrzykiwać coś po hiszpańsku, po czym Indianie podbiegli nad studnię. Jeden z nich przywiązał linę do pnia drzewa rosnącego w pobliżu i zaczął się spuszczać w głąb krateru.

Ja przestałem się wrywać, a kierownik zwolnił ucisk. Wiedziałem, że już nic nie jestem w stanie zrobić. I od początku nie mogłem. To on miał rację – Debora najprawdopodobniej była już martwa. Próbowałem się oswoić z tym niewiarygodnym faktem. Tam, w dole, ciało już było prawie niewidoczne w gęstniejącej zieloności mętnej wody. Indianin, drobny i wygimnastykowany jak młody chłopiec, huśtał się na opuszczonej linie. Drugi klęczał na brzegu, patrząc w dół.

Nagle poczułem, że już nie jestem w stanie patrzeć dłużej –

odwróciłem się w drugą stronę. Żółty pies, przestraszony gwałtownością mojego ruchu, rzucił mi pełne wyrzutu spojrzenie i odszedł w głąb dżungli.

W głowie trochę mi się teraz rozjaśniło. Poszedłem skrajem krateru w poszukiwaniu czerwonej torebki Debory. Nigdzie jej nie było. Musiała spaść razem z Deborą. Wyobraziłem sobie, jak spada w dół, prosto do wody, elegancka amerykańska torebka przyłączająca się do starożytnych indiańskich bransoletek i świecidełek.

Usłyszałem zbliżające się z dżungli kroki. Po paru sekundach ukazała się chuda postać Bilia Hallidaya. Promień słońca padał na jego włosy, które wydały mi się ni to siwe, ni jasnoblonde. Podbiegł do mnie, a jego twarz była napięta i zmartwiona.

– Co się stało? Byłem przy ruinach, kiedy usłyszałem krzyk.

Kierownik zajazdu podszedł do Indianina, który stał na górze, i zaczął wykrzykiwać jakieś instrukcje w dół, do drugiego, wiszącego na linie. Halliday podszedł do nich.

– To Debora Brand – powiedziałem. – Wpadła do studni.

– Wpadła do studni?

– Chciała zrobić trochę zdjęć i posłała mnie do hotelu po swój aparat...

Halliday pośpieszył do kierownika. Widziałem, że spojrzał w dół, po czym wrócił do mnie. Wyglądał, jakby nagle zachorował. Powiedział cichym, przejętym głosem:

– Ona już nie żyje, prawda? Uderzyła widocznie głową o kamień. Utonęła...

– Chyba tak...

Na polance zjawił się teraz rudowłosy młody małżonek, a za nim, depcząc mu po piętach, biegła zdyszana pani Snood.

A więc wszyscy byli tutaj i zwiedzali ruiny przed oficjalną, wyznaczoną na ten cel godziną. Przyłączyli się do nas, zarzucając pytaniami. Dla mnie wszyscy stanowili jakiś zamazany, niewyraźny obraz.

W końcu przyłączył się do nas kierownik i powiedział:



– Radziłbym, żeby państwo wszyscy wrócili do hotelu. Nie mamy tu nic więcej do roboty.

Pomyślałem o Deborze i mojej odpowiedzialności za nią. Przecież to ja ją tu przyprowadziłem. Zaprotestowałem więc, ale kierownik nie ustępował i powtórzył nalegająco:

– Bardzo pana proszę, panie Duluth. Tylko jeszcze bardziej pan się zamartwi.

– W porządku, panie kierowniku – orzekł Halliday. – Weźmiemy pana Dulutha ze sobą.

Jego ręka mocno ujęła moje ramię. Skierował mnie w stronę drogi wiodącej do hotelu. W pewnym sensie poczułem ulgę, że idę i nie będę widział, co ten Indianin wyciągnie z krateru.

Przodem ruszył nowożeniec, za nim ja z Hallidayem, a pani Snood kręciła się koło nas. Przeszliśmy tak arenę świątyń, przedostaliśmy się na drogę, a wreszcie do zajazdu. Kelnerki ubrane w regionalne stroje kręciły się przy stolikach na tarasie.

– W każdym razie dobrze nam zrobi śniadanie – stwierdziła pani Snood. – Zaraz pocujemy się lepiej.

– Nie! – zaprotestowałem.

– Ależ błagam pana, panie Duluth. Z pewnością zrobi panu dobrze, jak pan coś zje.

– Nie. Dziękuję pani.

Zostawiłem ich i poszedłem przez ogród do zajmowanego przeze mnie domku. Kiedy wszedłem do pokoju, zobaczyłem, że jeszcze nie był sprzątnięty. Łóżko, w którym spała Debora, było jeszcze nie zasłane. Nagle doznałem całkiem niewłaściwego w tej sytuacji uczucia konwenansu, czy przyzwoitości. Pokojówka nie powinna wiedzieć, że Debora u mnie nocowała. W każdym razie nie teraz, kiedy nie żyje. Z ogromnym wysiłkiem zasłałem starannie to drugie łóżko, układając moskitierę w kształt balonu.

Sam położyłem się na drugim łóżku i sięgnąłem do kieszeni po papierosy, natrafiając przy tej okazji na książkę, jaką mi dała Debora. Był to 25-centowy kryminałek Craig Rice, pt. „Niewłaściwa

zbrodnia”. Spojrzałem na barwną okładkę i odłożyłem książkę na nocny stolik. Potem zapaliłem papierosa.

Ciągle miałam wrażenie, że Debora jest w tym pokoju, jak gdyby zostawiła za sobą swój cień. Przypomniałem sobie jej głos z ubiegłej nocy, powtarzający uparcie: „Czego miałabym się bać? Oczywiście, że niczego się nie boję”.

A jednak bała się. A teraz nie żyje.

I teraz po raz pierwszy zacząłem się dziwić. Mimo jej zaprzeczeń, było coś w Deborze Brand tajemniczego, niesamowitego. Ale czy i sama jej śmierć także nie była tajemnicza? Czy jest możliwe do przyjęcia, żeby normalna, inteligentna, rozsądna dziewczyna wpadła w przepaść w biały dzień po prostu dlatego, że szukała najodpowiedniejszego miejsca do zrobienia zdjęcia? Czyż to wszystko razem nie wydaje się dziwnym zbiegiem okoliczności?

Pomyślałem też o dziwnym wrażeniu, jakiego doznałem w momencie, gdy prosiła mnie o przyniesienie aparatu fotograficznego. Widziałem wówczas na jej twarzy fałsz i nieszczerłość. Przyszło mi teraz do głowy, że specjalnie wysłała mnie do hotelu, ponieważ była z kimś umówiona przy studni... Ale skoro tak, to czemu nalegała, żebyśmy zwiedzili ruiny tylko oboje, zanim wszyscy inni wstaną? I z pewnością, jeżeli był ktoś w hotelu, kogo znała, to właśnie nie bała się tej osoby. Na pewno nie umówiłaby się w tym niebezpiecznym miejscu z kimś, kogo się bała.

Cała teoria nie trzymała się kupy, a jednak pozostawało jakieś niejasne uczucie czegoś ponurego, groźnego, co wymykało się mojej świadomości. Prawie nie znałem Debory Brand, a jednak stała się dla mnie kimś tak bardzo realnym, młodą dziewczyną czującą przed kimś strach. Szukającą u mnie opieki.

Czyżbym ją zawiódł?

Raptem ktoś zapukał do drzwi. Wstałem, aby otworzyć, i zobaczyłem stojącą na progu panią Snood, z filiżanką kawy w ręce. Wyglądała na macierzyńsko zatroskaną. Do swego zielonego kompleciku przypięła pęk bugenwilli. Jeszcze mniej pasowały niż

poprzednio orchidee.

– Przyniosłam panu kawę, przecież płaci pan za śniadanie. Niech pan przynajmniej ma z tego filiżankę kawy.

Wpłynęła do środka rozglądając się uważnie wokoło. Prawdopodobnie zastanawiała się, czy zrobiłem na tym pokoju lepszy interes niż ona. Wdzięczny jej byłem za kawę, wdzięczny za jej troskę i serdeczny, ciepły impuls.

Usiadłem na sofie, na której wczoraj wieczorem Debora zainscenizowała swoją pensjonarską scenę uwodzenia. Pani Snood usiadła obok, położyła mi rękę na kolanie, przypatrując się mi z zaciekawieniem.

– Pan ją bardzo lubił, prawda?

– To była bardzo miła dziewczyna.

– Ale nic więcej? Chciałam powiedzieć, że nie znał jej pan chyba przedtem?

– Nie.

– Kierownik zajazdu już wrócił. Na nic się wszystko zdało. Nie sądzi, aby byli w stanie wy dostać stamtąd jej ciało.

Przelknąłem łyk kawy. Wydała mi się bardzo gorzka.

– Nie?

– Prąd, proszę pana. Wciągnął ją pod skałę...

Odstawiłem filiżankę.

Ręka jej ciągle jeszcze spoczywała na moim kolanie.

– Proszę się za bardzo nie przejmować. Nic pan nie był w stanie pomóc. Mnóstwo ludzi tam umarło...

– Oczywiście – warknąłem. – Już i tak setki dziewcząt leżą na dnie w *cenote*! Cóż znaczy jedna więcej?

– Nie chciałam być gruboskórna – poczuła się dotknięta. – Wiem, że to okropne... Chciałam tylko panu pomóc.

– Wiem – powiedziałem łagodnie. – I przepraszam.

– Kierownik mówi, że tu nie ma policji. Będzie pan musiał pojechać do Meridy i złożyć odpowiedni meldunek na posterunku policyjnym. Trzeba tam meldować o każdym wypadku.

- Rozumiem.
- Napiłby się pan jeszcze trochę kawy? – spytała, wstając.
- Nie. Dziękuję. Była doskonała.

– No cóż, mam wrażenie, że jednak będziemy musieli pójść zwiedzać te ruiny z przewodnikiem. Przyznam, że to dość okropne iść tam po tym, co się stało. Ale skoro już tak daleko się wybrałam i wydałam tyle forsy...

- Oczywiście...

Po chwili zjawił się kierownik skruszony i przepaszający, jak gdyby wszystko stało się z jego winy. Powtórzył wszystko, co już usłyszałam od pani Snood, i umówił się ze mną, że dopiero po lunchu pojedziemy razem do Meridy. Jukatańskie metody meldowania o wypadkach nie są tak drobiazgowo i drakońskie jak gdzie indziej. Policja w Mendzie uwzględni fakt, że obowiązki wobec turystów uniemożliwiły kierownikowi zgłoszenie się na posterunek wcześniej.

Pani Snood krzątała się po pokoju, strzelając dokoła bystrymi, czarnymi oczkami. Po wyjściu kierownika powiedziała:

– Mam tej miejscowości po dziurki w nosie. Mój samolot odlatuje do Mexico City już jutro. Pan Halliday i para nowożeńców także wracają, tak że bus hotelowy będzie miał komplet. A jeżeli zamówię sobie jeszcze raz tego faceta z Meridy, to pęknie kolejne 50 pesos. Czy nie zechciałby mnie pan podwieźć swoim wozem?

- Ależ oczywiście! Będę bardzo wdzięczny za pani towarzystwo.
- Dziękuję panu.

Pani Snood podeszła do nocnego stolika i wzięła do ręki „Niewłaściwą zbrodnię”.

- Czy to dobry kryminał?
- Nie mam pojęcia. To własność Debory.
- Czyta pan?
- Nie.

– Pożycz mi pan? Nie mogę zasnąć nie przeczytawszy chociażby kilku stron. Nie natknęłam się na żadną angielską książkę w tym całym Jukatanie.

– Proszę bardzo, może ją pani wziąć.

Pani Snood wsunęła książkę pod pachę i spojrzała na mnie zaniepokojona.

– Pan jest bardzo miłym, młodym człowiekiem. Bardzo pana polubiłam. Nie chciałabym, żeby czuł się pan nieszczęśliwy.

Uśmiechnąłem się do niej i powiedziałem:

– Dziękuję, nic mi nie będzie.

– Nie sądzę, żeby znał pan jakichś jej krewnych... Czy wie pan o kimś, kogo należałoby zawiadomić?

– Wiem, że jej ojciec przebywa teraz w Peru. Jest archeologiem.

– Gdzie w Peru?

– Nie mam pojęcia.

– I nikogo więcej pan nie zna?

– Nie.

– Nie powiedziała panu, dokąd zamierzała stąd jechać?

– Do Mexico City. Ale nie wiem, czy kogoś tam znała.

Pani Snood wruszyła ramionami i zauważyła:

– No cóż, my nie jesteśmy za nią odpowiedzialni. Prawdopodobnie zajmie się tym policja. Biedne dziecko! Co za koniec! – westchnęła, ale szybko jej wrodzona żywotność wzięła górę nad smutkiem i dodała: – No, to ja będę już uciekać. Zwiedzanie zaraz się zacznie, a nie chciałabym niczego stracić. – Po tych słowach wybiegła z pokoju z małą kolorową książką pod pachą.

Gdy zostałem sam, przypomniałem sobie, że Debora dała mi klucz do swojego pokoju. Moje podejrzania, że coś jest nie tak, jak być powinno, zaostrzyły jeszcze ciekawość. Wyszedłem na niewielki taras przed naszym domkiem. W pobliskim hotelu nikogo nie było widać, wszedłem więc do pokoju Debory.

Panujący tu nieład wruszył mnie. W nieładzie jest coś młodego i optymistycznego. Sugeruje on, że później będzie jeszcze dużo czasu, aby doprowadzić wszystko do porządku. Przerzucona niedbale przez krzesło leżała biała wieczorowa suknia, którą Debora miała na sobie poprzedniego wieczoru. Reszta ubrania – niewiele tego było – leżała

byle jak w jednej z szuflad komody. Szuflada była otwarta. Na toalecie zauważyłem perfumy, krem, szczotkę do włosów, a obok nich – aparat fotograficzny. Przy nie zasłanym łóżku stała płócienna torba lotnicza, z której wysunęły się pończochy i kilka sztuk bielizny osobistej.

I to było wszystko, co po niej zostało: trochę porzrzuconych ubrań i ta torba.

Przeszukałem dokładnie cały pokój. Nie było w nim nic szczególnego, nawet nic takiego, co by mówiło, skąd tutaj przyjechała, albo co zamierzała robić w Mexico City. Kiedy przeszukiwałem jej skromne bagaże, nagle przyszło mi do głowy pytanie, czy to Debora sama zostawiła taki nieład, czy też ktoś czegoś tutaj szukał. Jasne, że nie mogłem co do tego mieć żadnej pewności, ale podejrzenia moje raczej wzrastały, aniżeli gasły. Czuję je przez cały ranek, kiedy nie mając nic lepszego do roboty, wałęsałem się pomiędzy ruinami, usilnie starając się uniknąć grupy zwiedzających. Nie opuściły mnie nawet wtedy, kiedy nadszedł już termin powrotnej drogi do Meridy.

Siedziałem przy kierownicy z panią Snood obok, a przed nami jechał wóz kierownika i bus turystyczny. Spodziewałem się, że jej paplanina będzie mnie drażniła, ale okazało się, że mnie uspokajała. Wykazała subtelność, o jaką jej nie posądzałem – ani słowem nie wspomniała o Deborze. Zagłębiła się za to w wyczerpujące opowiadanie o swoim własnym życiu, wspominając nieboszczyka męża, który był pośrednikiem w agencji nieruchomości w Newark, i o swoich dwóch córkach. Jedna była żoną urzędnika państwowego z Alabamy, a druga, ładna i inteligentna, studiowała na ostatnim roku uniwersytetu w Barnard i miała chłopaka, również bardzo inteligentnego, który opublikował już jakąś nowelkę. To było jak balsam. Pozwalało chociaż zapomnieć o tropikalnym, oślepiającym słońcu Jukatanu.

Tak dojechaliśmy do Meridy. Wszystkie trzy samochody spotkały się przed hotelem Jukatan. Młoda para udała się do hotelu, ale pan

Halliday i pani Snood ofiarowali się pójść z nami na posterunek policji w charakterze dodatkowych świadków. Wszyscy razem wpakowaliśmy się do auta kierownika i pojechaliśmy do dużego, wyposażonego w tarasy i patio kolonialnego budynku, który zapewne dawniej był pałacem, obecnie zaś stanowił siedzibę policji w Meridzie.

Stanęliśmy przed bardzo ważnie wyglądającym osobnikiem siedzącym za ogromnym biurkiem, na którym stało kilka kałamarzy. Halliday, pani Snood i ja nie mówiliśmy po hiszpańsku. Pierwszy zeznawał kierownik zajazdu, któremu chodziło przede wszystkim o reputację swojego ośrodka, w tym też duchu utrzymywał z pewnością swoją wersję. Następnie przetłumaczył moje mało wyczerpujące zeznania o tym, co się działo w *cenote*, gdzie byłem z Deborą. Zeznania nasze zaprotokołowano, a potem wystukano na maszynie i dano nam do podpisu. Halliday i pani Snood potwierdzili to, co my obaj już powiedzieliśmy.

Następnie kierownik poinformował nas, że przedstawiciele policji natychmiast udadzą się na miejsce wypadku i że zostanie uczynione wszystko, żeby wydobyć ciało. Powtórzył, że jest mu strasznie przykro, że nasza wycieczka zakończyła się tak tragicznie i że podobnego rodzaju wypadek nigdy się tutaj nie zdarzył. Jeżeli policja uzna to za wskazane, cała *cenote* zostanie ogrodzona. Dodał w końcu, że władze doskonale oceniają nasze stanowisko jako przypadkowych świadków tragedii i że nie uważają za konieczne, abyśmy przebywali w Meridzie tak długo, aż wszelkie formalności zostaną załatwione.

Nic nie powinno zakłócić programów amerykańskich wycieczek turystycznych. I w ten sposób mieliśmy już wszystko z głowy.

Mnie osobiście wydało się to wszystko żenująco niedbałym sposobem załatwienia historii Debory. Czułem potrzebę wyjaśnienia moich niewyraźnych podejrzeń i zażądania w związku z nimi dalszych dochodzeń. Ale policjant obojętnie dłuwał w zębach, pani Snood i Halliday byli niespokojni, najwidoczniej spieszyli się, a ja nie miałem nic, absolutnie nic na poparcie moich podejrzeń. Nawet sama

Debora kategorycznie zaprzeczała, iż boi się i że może, grozić jej jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. W tych warunkach nie miałem prawa zatrzymywać kogokolwiek w Jukatanie na nie wiadomo jak długo. A poza tym chciałem załatwić własne sprawy w Mexico City i wrócić możliwie szybko do Nowego Jorku, do Iris. Toteż kiedy Halliday spytał: – Co by państwo powiedzieli na to, żebyśmy wrócili do hotelu i wypili po małym drinku? – odpowiedziałem, że jeżeli chodzi o mnie, to nie mam nic przeciwko temu.

Kiedy wsiadaliśmy do auta, wmawiałem sobie, że zrobiłem wszystko, co zrobiłby każdy inny uczciwy człowiek na moim miejscu. Nie byłem jednak tego taki całkiem pewien.

Jakiś wewnętrzny głos ciągle jeszcze wyrzucał mi, że umygam ręce od sprawy Debory Brand.

## VI

Przed hotelem Jukatan kierownik zajazdu pożegnał się z nami z widoczną ulgą i odjechał. Pani Snood i Halliday poszli do siebie, żeby się przebrać, a ja zatrzymałem się przy recepcji, żeby sprawdzić, czy nie ma listu od mojej żony. Żadnej poczty nie było, ale kiedy urzędnik podawał mi klucz, powiedział:

- Jak widzę, pański przyjaciel spotkał się z panem...
- Jaki przyjaciel?

Wskazał głową w kierunku schodów, na których znikali właśnie pani Snood i Halliday.

- Ten amerykański dzentelmen, pan Halliday.
- Halliday? – starałem się nadać mojemu głosowi obojętny ton. –

A czy pytał wczoraj o mnie?

– Przyjechał z lotniska w chwilę potem, jak pan z tą młodą panią odjechali do Chichén. Widział, jak pan odjeżdżał, i chciał się upewnić, dokąd się pan wybiera. Powiedział, że jesteście starymi przyjaciółmi. Wskazałem mu więc kierunek.



– Tak, tak, oczywiście. Dziękuję.

Odszedłem od recepcji wzdłuż luksusowego patio. Halliday dopytywał się wczoraj o moje plany i twierdził, że jestem jego dawnym przyjacielem, chociaż nie miał pojęcia, że w ogóle istnieję na świecie. Nareszcie moje podejrzenia znalazły jakiś punkt oparcia. Halliday był na lotnisku w chwili, kiedy Debora przyleciała z Balboa. Przybył do hotelu w parę minut po niej i widział nas odjeżdżających moim autem. Jasne, że śledził ją od samego lotniska i użył jedynie mojej osoby w portierni dla zamydlenia oczu.

Znaczyłoby to, że Debora prosiła mnie o podwiezienie jej tylko w tym celu, żeby uciec od niego. A jeżeli istotnie tak było, to cała reszta nabierała zupełnie innego znaczenia. Debora bała się każdego pokazującego się za naszymi plecami auta, ponieważ myślała, że śledzi ją Halliday. I wreszcie na tarasie lęk jej osiągnął szczyt, ponieważ spotkała się rzeczywiście twarzą w twarz z Hallidayem.

Usiadłem przy stoliku na trzciniowym fotelu. Jeden z kelnerów włączył radio i zabrzmiała taneczna muzyka. Gdyby lęk Debory przed Hallidayem był takim sobie zwyczajnym strachem, jeżeli na przykład uciekła z domu, a Halliday wysłany został przez jej ojca, aby ją sprowadzić z powrotem – wszystko rozegrałoby się tam, na tarasie hotelu. Ale fakt, że oboje udawali, iż się nie znają, wskazywał na to, że sytuacja była bardziej skomplikowana i prawdopodobnie bardziej niebezpieczna. Przypomniałem sobie postać przyczajoną w ogrodzie, pod oknem Debory. Czy to był Halliday? I czy Debora dlatego tak bardzo chciała spędzić noc w moim pokoju, iż obawiała się zostać sama? Jeżeli tak, to mimo iż nie zaufała mi na tyle, żeby powiedzieć prawdę, Ignęła do mnie po prostu, szukając opieki i bezpieczeństwa. I w chwili, kiedy pozostała sama, beze mnie – umarła. Cała sytuacja wyglądała teraz całkiem inaczej.

Usłyszałem za sobą znajome głosy. Kiedy się odwróciłem, ujrzałem zbliżających się do mojego stolika panią Snood i Hallidaya. A gdy się już wygodnie rozsiedli, pani Snood skinęła na kelnera i zamówiła dla wszystkich drinki. Potem zaczęła kołysać się w takt

płynącej z głośnika muzyki.

– Szaleję po prostu za rumbą – powiedziała. – Kiedyś nawet chodziłam na kurs rumbly. Pięć dolarów za godzinę. Wiedzieli, kogo mają naciągać. Ale jakoś nigdy nie mogłam nauczyć się tych rytmicznych ruchów.

Halliday siedział naprzeciwko mnie. W dalszym ciągu ubrany był w nieokreślonego koloru i fasonu sportowy płaszcz i rozpiętą pod szyją koszulę. Oczy za grubymi okularami w rogowej oprawie były pozbawione wszelkiego wyrazu. Uśmiechał się swoim trochę dziecinnym uśmiechem, tworzącym dołeczki w policzkach. Mimo moich podejrzeń, raczej trudno było wyobrazić go sobie jako osobę ponurą i mogącą mieć złe zamiary.

– To prawda, że oni tutaj wariują za rumbą – przytaknął. – Kiedy tylko włączy się radio, zaraz lecą rumbly, rumbly i tylko rumbly.

– W recepcji powiedziano mi, że dopytywał się pan wczoraj o mnie – rzuciłem, patrząc mu prosto w oczy.

Reakcja Hallidaya nie zaskoczyła mnie. Twarz jego rozpromieniła się nagle, jak gdyby spotkała go niezwykła przyjemność.

– Ależ tak, oczywiście. A skąd pan wie? Kompletnie wyleciało mi to z pamięci. To całkiem zwariowana historia! – pochylił się do przodu i poklepał panią Snood po kolanie. – To panią zainteresuje, Leno. Wczoraj, jak tylko przyjechałem do hotelu tym samochodem, jaki zawsze wysyłają po gości na lotnisko, zobaczyłem Petera odjeżdżającego sprzed hotelu niebieskim wozem. Rzuciłem tylko okiem na jego profil i mógłbym dać sobie uciąć rękę, że to mój stary kumpel, Johnny Ross. Pracuje w biurze ogłoszeniowym w Cleveland. Równy chłop ten Johnny. Znam go od wielu lat. Zapytałem, dokąd ten niebieski samochód odjechał, a kiedy dowiedziałem się, że do Chichén, byłem przygotowany na niespodziewane i radosne spotkanie ze starym kumplem. A może pan go zna? – odwrócił się do mnie. – Johnny Ross, wspólnik Pierce'a, Dolana i Stylesa?

– Nie. Nie kojarzę – odpowiedziałem.

Przypatrywał mi się uważnie, a potem oświadczył:

– Nie... jeżeli się uważniej przyjrzeć, to nie jest pan tak bardzo do niego podobny. Ale kiedy nagle zobaczyłem pański profil, mógłbym przysiąc...

– To dziwne – wtrąciła się do rozmowy pani Snood. – Ja także stale sobie wyobrażam, że widzę ludzi, których kiedyś znałam. I tak na przykład w stolicy Gwatemali na targu, a musicie panowie wiedzieć, że mają tam wspaniały targ, natykam się na pewną Amerykankę. Blondynka, około trzydziestki. Dopóki się nie obejrzała, przysięgłabym, że...

Pani Snood była w swoim gawędziarskim żywiole. Kelner przyniósł zamówione drinki. Zaczęliśmy popijać i cała sprawa została w ten sposób zagajona.

Wyjaśnienie Hallidaya było tak przemyślnie, że niemal w nie uwierzyłem. Niemal, bo jednak przestałem go uważać za prostego biznesmena, za jakiego się podawał. Było to robione nieco za dobrze. I teraz, kiedy zacząłem doszukiwać się w nim czegoś innego, stwierdziłem, że w pozornie mało myślących oczach czai się głęboka inteligencja, którą nie zawsze udaje mu się ukryć. Upewniłem się wówczas, że bez względu na to, czy było to w związku z Deborą Brand, czy nie, Bill Halliday pozował na kogoś innego, niż był w rzeczywistości. Następnie, kiedy popijał drinki i nie przestawał gawędzić, zacząłem mieć nieprzyjemne wrażenie, że ten człowiek stale mnie obserwuje. Wyglądało to tak, jak gdyby w związku z moją krótką uwagą nasze wzajemne stosunki całkiem się odmieniły. Rozpoczęliśmy drugą rundę – jak można by to wyrazić, posługując się sportowym terminem. Jaka miała być ta druga runda, nie miałem zielonego pojęcia.

Na drugi dzień wszyscy wyjeżdżaliśmy do Mexico City.

Pani Snood i Halliday pojechali ze mną, kiedy zwracałem wynajęty wóz, a potem wszyscy położyliśmy się wcześniej spać.

Pierwszą osobą, jaką ujrzałem nazajutrz, był Halliday. Obudziło mnie jego pukanie do drzwi. Ubrany był w szary garnitur, a w ręce trzymał podobną do mojej, gabardynową, brązową torbę.

– Niech się pan pospieszy, Peter – powiedział. – Pani Snood jest już na dole, na śniadaniu. Para nowożeńców także. – Rozejrzył się pobieżnie po pokoju. – Może pomóc panu się spakować?

– Nie, bardzo dziękuję. Proszę zejść na dół. Zaraz tam będę.

Ubrałem się, spakowałem torbę i zszedłem do jadalni. Rudowłosy nowożeńiec skinął mi głową na dzień dobry. Przysiadłem się do Hallidaya i pani Snood. Zanim skończyliśmy śniadanie i uregulowaliśmy rachunki, nadjechał autokar mający zawieźć nas na lotnisko.

Jak dotychczas żadna droga nie łączy bezpośrednio Jukatanu z resztą Meksyku. Lotnisko jest więc centrum całej komunikacji. Dzisiaj jednak było wyjątkowo puste. W dużym samolocie do Mexico City znajdowała się jedynie niewielka grupka pasażerów. Pani Snood nalegała, żebyśmy dalej trzymali się razem, zajęliśmy więc trzyosobową kanapkę.

Sen nie rozwiał moich smutnych myśli o śmierci Debory. Nie zmienił również mojego przekonania, że Halliday miał jakiś związek, jeżeli nie ze śmiercią, to przynajmniej z jej lękiem, i że teraz jest w jakiś niezdrowy sposób zainteresowany moją osobą. Kiedy samolot warczał nad dżunglą, a pani Snood mówiła bez przerwy, bliskie sąsiedztwo jego kolana przy moim zaczęło mnie dziwnie drażnić. Wolałbym mieć coś konkretnego, co by przemawiało przeciwko niemu, a nie tylko moje urojone podejrzenia. W takim przypadku mógłbym zrobić jakiś zdecydowany krok. A tak – nie miałem o co zahaczyć prócz tego jednego, nic nie znaczącego faktu, że dopytywał się o mnie u portiera.

Jego zachowanie było absolutnie normalne. Rozglądał się, palił, żartował z pani Snood, która czytała kryminał Debory, opowiadał długie, nieciekawe historie o swoich znajomych w Ohio.

Bez względu jednak na to, czy sobie wyimaginałem otaczającą go tajemnicę czy nie – miałem już go dosyć. Przyznam, że miałem nawet dosyć biednego bladego ducha Debory Brand. Czemu mam się ciągle martwić z jej powodu? Nie okazała mi dość zaufania. Byłem

jedynie kimś, kto miał samochód, żeby ją zawieźć do Chichén, i kto miał wolne łóżko w swoim pokoju, które ją ratowało – przed kim? Jedynym moim pragnieniem było to, żeby już jak najprędzej znaleźć się w Mexico City i pozbyć się moich współtowarzyszy, a szczególnie Hallidaya.

Ale kiedy wylądowaliśmy, dziwnym zrządzeniem losu właśnie Halliday był tym, który chciał jak najprędzej odłączyć się od nas. Jak tylko wylądowano nasze torby, porwał swoją i znikł w tłumie ludzi.

Pani Snood, krzując się wokół swoich bagaży, szepnęła:

– Przyjemny facet, ale trochę dziwny. Zauważył pan? Ani razu nie wspomniał, czym się naprawdę zajmuje. A jak się zastanowić, to nie dał nam też adresu tutaj w mieście. A może dał go panu?

– Też nie – odparłem.

Zebrała swoje bagaże i rozglądała się za bagażowym.

– Ale, ale – uśmiechnęła się swoim ujmującym, serdecznym uśmiechem – chyba nie stracimy kontaktu ze sobą, prawda? Mam na myśli, że w Stanach nie okaże się pan zbyt wielki i sławny, żeby mnie odwiedzić w Newark?

– Zrobię to z pewnością.

Para nowożeńców przeszła obok nas, machając rękami na pożegnanie. Pani Snood odwzajemniła im ten gest.

– Dopóki pamiętam, podam panu mój adres – powiedziała i zaczęła szperać w torbie. – Do licha, zawsze zapominam długopisu!

– Proszę zaczekać, mam coś do pisania w walizce.

Schyliłem się i odsunąłem błyskawiczny zamek mojej brązowej torby. Kiedy się otworzyła, ukazała nieporządnie zwinięty sportowy płaszcz. Odsunąłem go i zobaczyłem jeszcze szare flanelowe spodnie, brudną żółtą koszulę i nieznaną mi parę butów. Od razu zorientowałem się, że to nie jest moja torba. To była torba Hallidaya.

Nie zasuważając nawet błyskawicznego zamka, chwyciłem ją otwartą tak, jak była, i rzuciwszy tylko pani Snood „zaraz wracam”, zacząłem biec w stronę wyjścia z lotniska. Zaraz za wyjściem stał rząd taksówek. Ledwie zdążyłem dopaść Hallidaya, który wsiadał do

jednej z nich.

Podbiegłem do taksówki i wsunąłem głowę przez okno.

– Halo, panie Halliday, pan zabrał moją torbę!

Uśmiechnął się jakoś bezbarwnie.

– Co pan mówi? – zdziwił się. – Na pewno?

Otworzyłem drzwi i wsunąłem jego torbę. Rzucił okiem na jej zawartość.

– Chłopie, ma pan rację – powiedział. – Całe szczęście, że się pan w porę zorientował. – Wziął stojącą obok niego na siedzeniu torbę i podsunął ku mnie. – Zauważyłem dzisiaj rano, że nasze torby są identyczne. Cholernie niedbali są ci portierzy!

– Na to by wyglądało...

Żadną miarą nie mogłem mu dowieść, że umyślnie odszedł tak szybko z moją torbą. Nie miałem również pojęcia, dlaczego zależało mu na takiej zamianie. Stałem przed otwartymi drzwiami samochodu i patrzyłem na niego. W końcu uśmiechnął się tym swoim charakterystycznym uśmiechem.

– No więc do widzenia panu, Peter. Zobaczymy się jeszcze?

– Gdzieś pewnie tak – odparłem.

On powiedział coś do kierowcy i taksówka ruszyła, ja zaś stałem patrząc, jak się oddala, i dziwiłem się... zastanawiałem...

# KSIĘGA II

## MEXICO CITY

### VII

Pojechałem taksówką do apartamentu przy Calle Londres, gdzie oboje z Iris spędzaliśmy jesień. Ta spokojna dzielnica imponujących gmachów położonych w cieniu drzew robiła na mnie przyjemne wrażenie. Znalazłem list od żony, w którym donosiła, że Hollywood działa na nią przygnębiająco, że film, który na szczęście kończą, jest przenudny i że bardzo jest jej brak mnie. Pisała, że moja nowa sztuka jest znakomita i pytała, czy mogę się z nią spotkać w Nowym Jorku za trzy dni. Jej list i myśl o tym, że zobaczę ją o trzy dni wcześniej niż planowałem, wywołały jakieś dziwne ciepło w moim sercu i przeświadczenie, że jednak moje miejsce jest w Stanach. Debora zaczynała blednąć w mojej pamięci, podobnie jak pani Snood i Halliday.

Udałem się do biura na lotnisku i zmieniłem rezerwację miejsca do Nowego Jorku na poniedziałek. Wynikało z tego, że zostaje mi zaledwie dwa i pół dnia na Mexico City – co było aż nadto wystarczające jak na moje obecne samopoczucie.

Wysłałem do Iris entuzjastyczny telegram. Po powrocie do domu zatelefonowałem do biura administracji, w którego gestii znajdował się apartament i poleciłem, żeby podnajęli go na pozostałe dwa miesiące.

Resztę dnia spędziłem rozkosznie sam. Dopiero przy rozpakowywaniu torby przypomniał mi się Halliday. Przypatrując się niewinnej zawartości doszedłem do wniosku, że chyba tylko dlatego,

że moje ubrania podobały mu się bardziej niż jego własne, wpadł na pomysł, aby zamienić nasze torby.

Teraz, kiedy go nie widziałem, niesamowita atmosfera, jaka w mojej wyobraźni go otaczała – rozwiąła się. Był po prostu zwykłym nudziarzem, a Debora nowoczesną dziewczyną rozmiłowaną w dramatycznych sytuacjach, która zginęła na skutek nieszczęśliwego wypadku. Położyłem się wcześniej do łóżka, a kiedy obudziłem się nazajutrz rano – Jukatan należał do przeszłości.

Bez Iris nie chciało mi się jadać w domu. Około dziesiątej wyszedłem na śniadanie. Chodniki zalane były górskim słońcem. W dole ulicy zaparkowany był elegancki, błyszczący samochód. Jakaś kobieta wracała z targu, niosąc olbrzymi pęk kalii. Dwa żółte motyle fruwały za nią, dotknęły kwiatów i znów zostały w tyle, starając się znaleźć przy kwiatkach na nowo. Bosonogi Indianin chodził od domu do domu, oferując szczytki z ptasich piórek, osadzone na długich kijach. Ot, zwyczajny sobie, meksykański poranek.

Po przeciwnej stronie ulicy jakiś drobny, spokojny chłopiec w dżinsach stał oparty o pień drzewa i palił papierosa. Przez ramię przerzucony miał płócienny worek, a pod pachą trzymał gazetę. Kiedy go mijiałem, spojrzał na mnie obojętnie ogromnymi, brązowymi jak roztopiona czekolada oczami. Chociaż nigdy w życiu go nie widziałem, twarz jego wydała mi się jakaś znajoma. Znałem te oczy i pełną, górną wargę, i tę spokojną urodę. Ładny – jak świeży kwiat.

Starłem się przypomnieć sobie, gdzie go widziałem. Prawdopodobnie była to tylko typowo indiańska uroda, zagadkowa, wyczekująca. A może kojarzyło mi się to z jakimś widzianym niedawno obrazem? Jakiś Covarrubias? Problem ten frapował mnie jeszcze jakiś czas, ale szybko zacząłem myśleć o jedzeniu.

Przyjąłem meksykański zwyczaj jadać na śniadanie słodkie pieczywo i pić kawę. Kilka domów dalej znajdowała się kafejka, w której byliśmy z Iris. Kiedy doszedłem do niej, zobaczyłem, że na szybach wymalowane były żółtą farbą stylizowane szkielety, a pod kościstym ramieniem jednego z nich widniał napis: *Hay pan de los*



*muertos*. Chleb zmarłych.

W oknie wystawowym leżały bochenki chleba zmarłych, a wzdłuż szyby wznosiły się piramidki małych, karmelkowych czaszek, z czerwonymi, błyszczącymi oczodołami z papier-mâché. Różowe pasma cukru ozdabiały te czaszki jak loki. Były też ogromne czaszki. Miały swoje imiona, wypisane na piszczelach z cukru: Carlos, Arturo, Gwadelupa, Carmen.

Dopiero ten obraz przypomniał mi, że jest to dzień, w którym Meksykanie urządzą doroczną fetę ku czci zmarłych. Zanim jeszcze wszedłem do kafejki, zobaczyłem małego chłopca liżącego kość szczękową czaszki. Za nim szła kobieta niosąca w koszyku „chleb zmarłych”. Był on okrągły i ozdobiony skryształizowanym cukrem.

Amerykanie świętują swoje święto zmarłych w dniu 1 listopada, lubią się upijać i urządzać hałaśliwe przyjęcia, podczas gdy ich dzieci odbywają pochody z wydrążonymi dyniami, w których umieszczają świece. Meksykanie natomiast spędzają ten dzień jedząc czaszki i figurki z cukru umieszczone w cukrowych trumienkach oraz odwiedzają na cmentarzach swoich bliskich, którym zanoszą w darze „chleb zmarłych”. Ich obyczaje, mimo że może trochę makabryczne, pobudzają jednak wyobraźnię.

Niemniej dzisiaj ta mieszanina sardonicznego humoru i beznadziejnego zaprzeczenia życia, jakiego symbolem były cukrowe czaszki – wydała mi się jakaś przygnębiająca. Ogarnęła mnie lekka depresja. Zacząłem zastanawiać się, czy moja sztuka jest rzeczywiście tak dobra, jak mówiła Iris.

Spojrzałem za siebie w dół ulicy. Chłopiec z płóciennym workiem na ramieniu i pięknymi oczami szedł powoli za mną.

Wszedłem do kafejki, zamówiłem szklankę kawy z gorącym mlekiem i kilka kromek „chleba zmarłych”. Były bardzo smaczne, słodkie. Pomyślałem o Meksykanach w całym kraju oferujących „chleb zmarłych” swoim bliskim na ukwieconych grobach. Ten zwyczaj ukazuje wzruszającą pamięć o zmarłych krewnych i przyjaciółach.

Jakaś dziewczyna weszła do kawiarenki, zajęła taboret obok mnie i zamówiła coś w szybkiej, niewyraźnej hiszpańszczyźnie. Rzuciłem na nią okiem, a następnie szybko jeszcze uważniej na nią spojrzałem, ponieważ pojawienie się tego typu dziewczyny w małej, meksykańskiej kafejce całkiem mnie zaskoczyło. Miała wystające kości policzkowe, mlecznobiałą cerę i ogromne, fiołkowo-błękitne oczy o długich rzęsach. Na czarną, elegancką suknię miała narzuconą srebrną pelerynę ze wspaniale dobranych srebrnych lisów, wokół nadgarstka jakieś puszyste fru-fru z futra, zbyt wiele też miała na sobie pereł.

Ogólnie, efekt był nieco teatralny. Na błyszczących czarnych włosach trzymał się nawet futrzany, kozacki komin, a uperfumowana była tak mocno, iż miałem wrażenie, że spadnę za chwilę na podłogę. Nogi natomiast w cieniutkich nylonach były piękne – długie i smukłe – jak nogi baletnicy.

Właściwie wyglądała w ogóle jak baletnica. Dobrze znałem ten typ z Nowego Jorku – egzotyczne istoty z mózdzkiem orchidei, które zbierały się od czasu do czasu w herbaciarniach, popijały słodkie, ciężkie kordiały, opowiadając o swoich wyczynach baletowych.

Jak większość baletnic miała również niesłychany apetyt. Kiedy płaciłem rachunek, ona kończyła trzecią porcję ciasta. Spojrzała na mnie jeden raz kącikiem dużych, błyszczących oczu. Było to typowo kobiece spojrzenie, zdające się mówić: „To ja jestem kobietą, a ty jesteś mężczyzną”.

Jadła jeszcze, kiedy wychodziłem.

Gdy znalazłem się już na ulicy, chłopiec z płóciennym workiem stał na przeciwległym rogu zapatrzony obojętnie w nic. To zaczęło mnie zastanawiać. Owego ranka nie miałem nic specjalnego do roboty, ruszyłem więc spacerowym krokiem w boczną ulicę w kierunku Avenida Chapultepec. Skręciłem w prawo, następnie w lewo i czekałem na rogu. Po kilku minutach chłopiec znowu ukazał się na horyzoncie, idąc powoli po drugiej stronie ulicy.

Jeżeli jesteś Amerykaninem, a zatem automatycznie milionerem

(w oczach miejscowej ludności), często się zdarza, iż chodzą za tobą w Meksyku lokalni handlarze, proponujący kupno srebrnego łańcuszka, czy też damskiej torebki z przyczepionym maleńkim aligatorem. Ten chłopiec jednak nie proponował mi nic do sprzedania. To obudziło we mnie podejrzenie. Przystanął na środku chodnika.

Zawróciłem i podszedłem do niego. Nie poruszył się nawet.

– Ty czegoś chcesz? – spytałem.

Ledwie sięgał mi do ramienia. Jego czyste dżinsy były wyblakłe od częstego prania. Nie wyglądał na więcej jak 15-16 lat, chociaż mógł też być starszy. Był piękny, tak jak często piękni potrafią być Indianie, podobny do dziewczyny, ale równocześnie i zawzięty.

Wzruszył ramionami.

– Czegoś chcesz ode mnie? – powtórzyłem.

Nie przestając przyglądać mi się ciemnymi, błędzącymi gdzieś oczami, wyciągnął spod pachy jakąś gazetę i rozłożył ją. W środku zobaczyłem kilka ordynarnych pocztówek, przedstawiających opasłe kobiety, których jedynym strojem były czarne pończochy i szerokie, ozdobione riuszkami podwiązki. Roześmiałem się i powiedziałem:

– *No quiero* brzydkich fotografii.

Złożył gazetę z powrotem i wsunął pod pachę. Spojrzał w inną stronę, ale nie ruszył się z miejsca. Jakaś rodzinna grupka, ubrana na czarno, z bukietem nagietków, które są tradycyjnym kwiatem umarłych, minęła nas z ponurymi minami, kierując się do odjeżdżającego na cmentarz trolejbusu.

Pomyślałem, że ciekawie byłoby pojechać także na cmentarz i zobaczyć, jak tam wygląda uroczystość Dnia Zmarłych. Kiedy się odwróciłem od chłopca, zmienił postawę w taki sposób, że jego prawe biodro znalazło się tuż pod zarzuconym na ramię workiem. Promień słońca odbił się na małym, metalowym przedmiocie, wystającym z kieszeni jego portek. Poznałem kolbę rewolweru.

I znowu bardzo się zdziwiłem. Młodzi Meksykanie w znoszonych dżinsach nie noszą broni. Rewolwery – to u nich luksus. Nawet nóż stanowi już poważną inwestycję. Jakieś niewyraźne wspomnienia

sprawiły, że przyszedł mi do głowy Halliday. W każdym razie nie miałem zamiaru przebywać w pobliżu chłopaka posiadającego rewolwer. Toteż zostawiłem go na ulicy i pośpieszyłem w kierunku Avenida Chapultepec. Kilka domów przede mną był przystanek trolejbusowy. Spora grupa tubylców z pomarańczowymi kwiatami i kobiałkami wypchanymi żywnością czekała na kurs. Kiedy się do nich przyłączyłem, zerknąłem przez ramię. Chłopiec z pustym workiem skręcał właśnie za róg, idąc uparcie moim śladem. W tej samej chwili stary, rozklekotany trolejbus żółtego koloru zatrzymał się przed naszą grupą ze zgrzytem hamulców. Był już dwukrotnie pełniejszy od nowojorskiego autobusu w godzinach szczytu. Poddałem się prądowi i wcisnąłem się wraz z tłumem w sam środek ludzkiego kłębowiska. Dobrze to sobie obliczyłem – chłopiec był jeszcze o kilkanaście metrów dalej, kiedy trolejbus ruszył. Przyciśnięty do okna widziałem go: stał, rozglądając się niespokojnie po ulicy.

Upewniłem się wówczas, że te sprośne fotografie stanowiły jedynie alibi. Chodził za mną z jakiś innych powodów, prawdopodobnie dlatego, że wynajęto go, by mnie śledził. Coraz intensywniej myślałem o Hallidayu. Czy istotnie jest on ponurym typem, jak podejrzewałem? Czy chciał celowo ukraść moją torbę? Czy teraz wynajął chłopca z bronią, żeby mnie śledził?

Ale mniejsza o to. Zlikwidowałem już w swoim sumieniu sprawę Debory Brand i miałem pozostać zaledwie parę dni w Meksyku. Jak długo nie używają broni, mogą ją nosić ile chcą i ile chcą mnie śledzić. Byłem jednak zaintrygowany, ale równocześnie trochę zły. Nie podobała mi się sytuacja, że musiałem ukrywać się w zatłoczonym trolejbusie przed młodym, pięknym chłopcem z rewolwerem w kieszeni.

Mimo że go zgubiłem i że wmawiałem sobie, iż mnie to nic nie obchodzi, coś z przykrych przeżyć w Jukatanie znowu jakby odżyło. A niezwykle otoczenie w trolejbusie pogłębiało jeszcze to uczucie. Pomarańczowe, o cierpkim zapachu kwiaty umarłych, przyciskały się

do mojej twarzy. Jakaś staruszka, na oko wyglądająca na osiemdziesiątkę, w czarnym *rebozo* na głowie, trzymała się kurczowo poręczy tuż obok mnie, nie przestając mamrotać *Zdrowasiek*. Gdzieś w głębi, w tłumie ciał, ktoś zaczął stroić gitarę i śpiewać wesołą piosenkę z rancho. Religijna ponurość i wesołe songi fiesty były równomiernie podzielone. Powietrze było przesiąknięte zapachem piwa, czosnku, kwiatów i potu.

Trolejbusem straszliwie rzucało podczas jazdy i popychaliśmy się wzajemnie: stara kobieta szepcząca *Zdrowaśki*, młoda dziewczyna wymalowana jak nieboskie stworzenie i w amerykańskim swetrze, młody mężczyzna, który próbował czytać medyczną książkę ilustrowaną rysunkami wątroby i nerek.

Od czasu do czasu rozlegał się okrzyk *bajando*, a wtedy trolejbus zatrzymywał się z ostrym szarpnięciem. Ktoś jakimś cudem próbował wysiąść. Ja jednak postanowiłem dotrzeć tak do końca trasy. Wreszcie zostałem wyrzucony jak z katapulty razem ze wszystkimi innymi. Wsiadając nie sprawdziłem, dokąd jedzie trolejbus, ale jak podejrzewałem, przyjechałem do Pantheon Dolores, największego cmentarza Mexico City.

Całe miasto zdawało się być zgromadzone na schodzących tarasami schodach za główną bramą. Indianie przykucnęli na chodniku, obok olbrzymich piramid pomarańcz i purpurowych kwiatów. Zaimprovizowane drewniane kramiki za ich plecami oferowały owoce, tacos, wielkie porcje mięsa z różną, różnokolorową galaretką i kurczaki. Bezpańskie psy biegały dookoła. W pobliskiej piwiarni ryczało radio. A dalej, obracając się powoli na tle nieba, kręcił się diabelski młyn. Jak zwykle Meksyk łączył życie ze śmiercią tak dokładnie, że trudno było odróżnić jedno od drugiego.

Zapomniałem o prześladowającym mnie chłopcu i zacząłem się doskonale bawić. Przyłączyłem się do tłumu zmierzającego do wysokich żelaznych wrót cmentarnych. Dotarliśmy do niewielkiego stoiska, gdzie sprzedawano dewocjonia i cukierki. Za stoiskiem, na ulicy, przykucnęła grupa ubranych w dzinsy Meksykanów,

sprzedających ptaki w klatce. Kiedy ich mijałem, coś z zarysie policzka jednego z nich zwróciło moją uwagę. Kiedy odwrócił głowę nieco w bok, zobaczyłem znajomy profil. Mimo że sprzeciwiało się to zdrowemu rozsądkowi – było jednak prawdą.

Mój przyjaciel z Avenida Chapultepec siedział w kucki na ulicy pomiędzy klatkami.

Jeden z ptaków zaczął śpiewać jakiś słodki wiosenny trel. Chłopiec obejrzał się i spojrzał wprost na mnie. Długie, czarne rzęsy opadły skromnie w dół. Powróciło uczucie lekkiej irytacji, ale równocześnie i ciekawości.

Ptaszek nie przestawał śpiewać.

Chłopiec wsunął rękę do kieszeni spodni.

## VIII

Jedynym sposobem prześcignięcia przez chłopca trolejbusu do Pantheonu było złapanie samochodu. A żaden meksykański chłopiec w dzinsach nie jest właścicielem samochodu. Czuje się szczęśliwy, jeżeli ma jeszcze jedną parę dzinsów. O ile nie został wynajęty przez kogoś, to mowy nie ma, aby miał pieniądze na taksówkę. Tajemniczy cień Bilia Hallidaya był niebezpiecznie blisko.

Zastanawiałem się, czy nie pójść między te klatki i nie przyłożyć chłopakowi porządnego klapsa i nie odesłać go do domu. Nie przejmowałem się rewolwerem w tym tak zaludnionym miejscu. A chłopiec był tak drobny, że mógłbym jedną ręką przerzucić go sobie przez kolano. To byłoby na pewno najładniejsze wyjście.

Ale świadomość, że już tak krótko będę w Meksyku, nastrajała mnie do całej sprawy raczej obojętnie. Poza tym byłem tym wszystkim zaciekawiony. Jeżeli podobało mu się mnie śledzić – to bardzo proszę. Byłem tylko ciekaw, co się za tym wszystkim kryje.

Chłopiec udawał, że mnie całkowicie ignoruje, widocznie był to w jego przekonaniu idealny system śledzenia. „Nie patrz na faceta, a on

się nie domyśli, że jesteś w pobliżu.” Pozwoliłem mu myśleć, że go nie zauważyłem i ruszyłem razem z tłumem zwiedzających cmentarz ku bramom. Mimo woli zacząłem znów myśleć o Deborze Brand jako o wystraszonej dziecku, uciekającym przed jakimś niebezpieczeństwem po to tylko, żeby wpaść w pułapkę... Jeżeli faktycznie istniał jakiś ukryty powód śledzenia mnie przez tego chłopaka, to z pewnością miało to związek z Deborą. Debora była uciekinierką. Czyżby chcieli i ze mnie uczynić uciekiniera?

W bramie policja konfiskowała wszystkie produkty przyniesione dla zmarłych i badała je w osobnym pomieszczeniu. Widocznie Departament Zdrowia wydał jakieś specjalne zarządzenia w tej kwestii. Wszedłem głębiej na cmentarz. Od razu przy wejściu wznosiły się pompatyczne pomniki i grobowce bohaterów narodowych. Za owymi frontowymi pomnikami cmentarz ciągnął się tak daleko, jak można było sięgnąć wzrokiem. W cieniu drzew i kwitnących krzewów oleandrów tysiące skromnych mogił drzemało spokojnie w przedpołudniowym słońcu. Łagodne powietrze pachniało zwiędłymi liśćmi i smutkiem. Nie było tu jednak nic z klasztornej ciszy i spokoju cmentarzy Nowej Anglii. Wszędzie roilo się od hałasujących ludzi, wymachujących różnobarwnymi kwiatami.

Wszedłem w pierwszą lepszą szeroką aleję. Doskonale wiedziałem, że chłopiec ciągle idzie za mną. Nie oglądałem się za siebie, ale nie mogłem odpędzić od siebie myśli – dlaczego? Jeżeli krył się za rym Halliday, to czego chciał ode mnie? Jeżeli to on zamordował Deborę, to najwidoczniej chciał mieć coś, co ona miała, jakiś konkretny przedmiot albo informację. A kiedy już ją zabili, zorientowali się, że nie miała ona tego przy sobie. Ponieważ widzieli mnie w jej towarzystwie, przypuszczają, że jestem jej współnikiem. A może nawet przypuszczają, że wręczyła mi ów intrygujący obiekt?

Przecież nie byłem jej współnikiem i nie dała mi nic oprócz brukowego kryminałku za 25 centów. Ale Halliday o tym nie wiedział, nie wiedział nawet, że jej czerwona torebka utonęła razem z nią w *cenote*. Może myślał, że ja mam tę torebkę i znajdujący się w

niej przedmiot? Pomyślałem o kluczu do pokoju Debory. Sama mi go dała. Jeżeli Halliday o tym wie, to ma bardzo dobry powód, żeby uważać mnie za zamieszanego w tę sprawę.

Ciekawość moja ustawicznie wzrastała.

Rzuciłem okiem przez ramię. Chłopiec w dżinsach włókł się leniwym krokiem za mną. Ciągle jeszcze miał przewieszony przez ramię płócienny worek, natomiast gazeta ze sprośnymi zdjęciami w środku gdzieś zniknęła. Zamiast niej trzymał w ręce pustą klatkę. Zastanawiałem się, czy ta klatka ma być jeszcze jednym objawem jego pojęcia o maskowaniu prawdziwych zamiarów, czy też może po prostu potrzebował klatki na ptaka i skorzystał z okazji jej nabycia. Chłopak zaczął mi wyraźnie działać na nerwy. Ta pogoń była tak bezczelna. Zacząłem myśleć o rewolwerze, a równocześnie i o worku. I ten worek jakoś mi się nie podobał.

Doszedłem do małego skwerku, na którym stał kamienny budynek ze spiralnymi schodkami wijącymi się na jego froncie. Wąska ścieżka pomiędzy grobami prowadziła do wąskich drzwi budynekzku. W drzwiach brakowało jednego drewnianego elementu i jakaś dziewczyna stała pochylona, zaglądając przez ten otwór do środka.

Wzrok mój zatrzymał się na dziewczynie i ze zdziwieniem poznałem w niej dziewczynę z kafejki. Nawet z tyłu trudno było nie poznać smukłych, doskonale zbudowanych nóg baletnicy, peleryny ze srebrnych lisów i kozackiej czapki.

Gdy podszedłem bliżej, skończyła właśnie oglądać wnętrze i zaczęła schodzić kamiennymi schodkami w moją stronę. Zderzyliśmy się prawie. Czarne, mocno wytusowane rzęsy zatrzepotały nad oczami. Spojrzała na mnie jeszcze raz i szeroki, ciepły uśmiech pojawił się na jej twarzy.

– Ach, ja już pana raz widziałam – powiedziała po angielsku z wyraźnym obcym akcentem. Głos miała niski i zachrypnięty, jak od rosyjskich papierosów. – Pan jest człowiekiem z tamtej ciastkarni. Pan jadł dziś rano chleb umarłych, prawda?



– Zgadza się – potwierdziłem. – Ja także panią od razu poznałem.

Była tak sympatyczna, że tylko można było sobie wymarzyć spotkanie kogoś takiego na cmentarzu. Poza tym mogła mi się przydać – przynajmniej zbije to z tropu mojego małego prześladowcę.

Wyciągnęła rękę ozdobioną futrzaną bransoletką i wskazała okrągłym ruchem cmentarz.

– Podoba się panu? – spytała. – Te groby, kwiaty, zwłoki... Malownicze, prawda?

– Bardzo.

Wskazała otwór w drzwiach, przez który zaglądała do środka.

– Patrę do środka, a tam stoi duży kamienny stół i są drzwi z zawiasami. Myślę, że to jest krematorium. Wsuwa się nieboszczyka i puff, smaży się go – westchnęła. – Patrzysz i myślisz sobie: któregoś dnia ona przyjdzie także do mnie. Śmierć. Jakie to smutne.

– Wychodzi z pani rosyjska dusza... – zauważyłem.

Zamrugnęła wielkimi oczami.

– Pan mówi, że jestem Rosjanką? Dlaczego?

– Mógłbym powiedzieć, że Rosjanką z Kremla...

Zaśmiała się, a jej śmiech brzmiał jak dzwon z opery Rimskiego-Korsakowa.

– Tak pan o mnie myśli? Że jestem dużym, starym i umęczonym rosyjskim monumentem...

Trudno było sobie wyobrazić sobie coś bardziej żywego. Była młoda i pełna, i wiedziała o tym. Przyjemnie jest być młodą i piękną, i udawać, że się piekielnie boi śmierci.

Nie potrzebowałem jej namawiać, żeby została ze mną.

Wsunęła bowiem dłoń pod moje ramię i zaproponowała:

– Pójdziemy razem, dobrze? Nienawidzę być sama. Jestem tym już naprawdę znudzona, okropnie znudzona. Razem więc obejrzymy sobie, jak ci mili ludzie upiększają mogiły swoich bliskich.

Peleryna ze srebrnych lisów musnęła moje ramię. Pachniała tuberozami. Obejrzałem się – chłopiec z workiem i kłatką uparcie za mną szedł.

Liczna rodzina w żałobie zebrała się wokół maleńkiej mogiły. W ich sąsiedztwie samotna kobieta klęczała przed grobem, na którym paliły się cztery białe świeczki.

Moja towarzyszka przytuliła się do mojego boku, a jej czerwone wargi rozchyliły się w uśmiechu.

– Zdradzi mi pan swoje nazwisko? – spytała. – To szalone spacerować z mężczyzną i nie wiedzieć, jak on się nazywa.

– Nazywam się Peter Duluth.

– A ja jestem Vera Garcia.

– To hiszpańskie nazwisko?

– To tylko mój małżonek. – Zaczęła gestykulować futrzanym ramieniem. – Jestem baletnicą, artystką. Krytycy powiadają, że ja pracuję, pracuję i staję się coraz lepsza, lepsza niż Markowa i Danilowa. Jestem znacznie młodsza niż te stare kobiety.

A więc moje domysły co do jej profesji okazały się słuszne. I była z pewnością o tysiąc razy lepszą młodą baleriną, niż wszystkie wielkie gwiazdy zebrane razem!

– Przypuszczam, że tutejsze władze po prostu zasypują panią depeszami – powiedziałem.

– Mnie? Zasypują? – oczy jej rozbłyły jak gwiazdy. – Niech lepiej nie próbują! Balet... dla mnie on śmierdzi. Cały czas noga w górę, noga w dół. Zmęczona, stale zmęczona. To żadna zabawa. – Nagle jej twarz się rozjaśniła. – Dwa lata temu przyjechaliśmy tutaj, do Meksyku, nasz balet. I tu spotkałam tego człowieka, tego *politico*. On jest stary, stary i bogaty. Taki bogaty! I on chce wziąć mnie za żonę. On da mi wszystko, powiada. Jeden dom tu, inny w Acapulco – wzruszyła ramionami. – Taniec? Jakież krytyki? Ja sobie gwizdzę na krytykę, ja wychodzę za mąż!

– I jest pani szczęśliwa ze swoim starym mężem?

– Szczęśliwa? Cały czas jestem szczęśliwa, szczęśliwa!

– Dobry jest dla pani?

– On umarł. Trzy miesiące po ślubie on umarł. Puff! Ze starości – przytuliła się znowu bliżej. – I teraz ja jestem wdową. Bogatą, bogatą

wdówką!

- To bardzo wygodna sytuacja – zauważyłem.
- Wygodna? Co to znaczy „wygodna”? – zastanowiła się.
- No... bardzo miła.

Skinęła z zapalem głową.

- Tak, bardzo miła.

Wskazała kciukiem spod lisiej peleryny na najelegantsze groby.

– Dzisiaj ja przynoszę kwiaty na grób biednego staruszka. Ooo, tam jest jego grób. Ten wielki, marmurowy monument z aniołem. Dużo, dużo tuberoz i lili. Ładnie? Prawda, że bardzo ładnie? Jak się panu zdaje? Czy ten biedaczek czuje zapach tych kwiatów? Zawsze ich nie cierpiał. Tuberozy i lilie.

Niepohamowana radość życia emanowała z niej jak żar z ognia. Ale nie rozwiązywała bynajmniej problemu tego Juniora w niebieskich dzinsach. Choć teraz miałem coś lepszego do roboty i on zaczynał w moich oczach blednąć. Od czasu do czasu oglądałem się tylko nieznacznie za siebie. Ciągłe szedł za nami. Kiedy spojrzałem kolejny raz, Vera obejrzała się także. A po chwili, gdy zatrzymałem się ostentacyjnie pod pozorem oglądania jakiejś mogiły, powiedziała nagle:

– Pan ma zmartwienia, prawda? Cały czas on za nami idzie, ten chłopak z kłatką na ptaki.

Zdumiała mnie jej bystrość. Nie miałem zamiaru zwierzać się jej, ale nie mogłem przeczyć tak wyraźnemu faktowi.

- Tak mi się zdaje – przyznałem.

– Ach, ci Meksykanie! – szaroczarne oczy groźnie rozbłyły. – Ja to zaraz załatwię.

Zawróciła na pięcie i poszła w stronę chłopca. Kiedy stanęła przy nim, zasypała go potokiem gwałtownych, szybkich słów po hiszpańsku, przed którymi najwidoczniej uchylał się i kurczył. Raz pomachał bez przekonania kłatką, ale Vera Garcia pogroziła mu pięścią z takim zapalem, że szybko wycofał się między groby.

Wróciła do mnie, a jej piersi falowały z oburzenia i podniecenia.

– Klatkę na ptaki! – wykrzyknęła. – On mówi, że idzie za nami, bo chce nam sprzedać klatkę na ptaki! – Znowu wsunęła mi rękę pod ramię i obdarzyła najbardziej czarującym z uśmiechów. – Klatkę na ptaki! – powtórzyła. – A kim my jesteśmy, pytam go. Dwoma papugami, żeby nam była potrzebna klatka na ptaki? Kiedy jestem wściekła, to jestem straszna. Przestraszyłam go!

Bardzo się przejąłem jej gniewem, ale ani przez chwilę nie łudziłem się, że nie zobaczę już więcej Juniora.

Pochodziliśmy jeszcze trochę między grobami, gdy nagle powiedziała:

– Już jestem bardzo znudzona tymi trupami. Stąd jadę do Los Remedios, do przybytku Matki Boskiej od Cudów. Jadę tam prosić za duszę biednego, starego człowieka, mojego małżonka. Na zewnątrz mam wóz. Pojedzie pan ze mną, dobrze?

Wydało mi się to znakomitym pomysłem. Znowu zabijałem dwa ptaki jednym strzałem. Dłużej będę w towarzystwie Very i jeżeli uda mi się zrećnie wyjść z cmentarza, spławię raz na zawsze Juniora.

Zaprowadziłem Verę wąską, obrośniętą z obu stron żywopłotem dróżką, do głównej bramy cmentarza. Mówiła chyba nawet więcej niż pani Snood. Kiedy szliśmy, zalewała mnie potokiem swej malowniczej angielszczyzny. Tuż przy bramie rozejrzałem się uważnie na wszystkie strony, ale nigdzie nie było nawet śladu Juniora.

Nigdzie nie było go widać, kiedy wyprowadziłem Verę przed cmentarz, w gęsty, anonimowy tłum. Wśród kwiatów, świnek i kiosków z piwem utworowaliśmy sobie drogę do samochodu Very. Był to wspaniały, długi, błyszczący wóz i przypomniałem sobie, iż widziałem go dzisiaj zaparkowany przy Calle Londres. Kiedy wsiadała, popatrzyła na diabelski młyn w pobliskim wesołym miasteczku.

– O, diabelski młyn. Uwielbiam diabelski młyn... Pobujać się w powietrzu... Wejdziemy? I razem... – Opuściła pobożnie długie rzęsy.

– Nie. Ważniejszy jest biedny, stary człowiek, mój mąż.

Vera siadła za kierownicą i wycofała zrećnie, ale dość

ryzykownie wóz pomiędzy tłumem dzieci i psów. Opadłem nisko na siedzeniu, ale nim ruszyliśmy przed siebie, jeszcze raz rozejrzałem się uważnie.

Nigdzie śladu Juniora.

Doznałem niezwyklej ulgi i poczułem przesadną czułość do mojej nowej przyjaciółki. Była właśnie taką, jaką sobie wyobraziłem – piórkowo lekką baleriną, ale nie miała przewrócone w głowie. Mimo pozornego fiu bzdziu w głowie cechowała ją zdrowa, wiejska solidność. Była świeża i apetyczna jak szklanka surowego mleka wyproszona na jakiejś farmie.

Kiedy znaleźliśmy się na szosie, prowadziła wóz z samobójczą szybkością przez pustą, niezaludnioną okolicę, gdzie szare, zakurzone góry zasłaniały horyzont. Słuchałem zadowolony jej bezustannego szczebiotu, aż wreszcie dojechaliśmy do wielkiego, dość ponurego kościoła stojącego na wzgórzu. Przed nim, na wysokiej kamiennej kolumnie znajdowała się korona.

– To jest właśnie korona Matki Boskiej z Los Remedios – objaśniła Vera. – Już jesteśmy na miejscu. Ale dobrze jechałam, co?

Prawda, że ja bardzo dobrze prowadzę?

– Jak samolot odrzutowy – przyznałem.

– Co to jest „odrzutowy” – zapytała.

– Bardzo szybki – wyjaśniłem.

Chociaż nigdy nie byłem w Los Remedios, wiele o tym przybytku słyszałem. Jest to jedna z najczęściej nawiedzanych świątyń w Meksyku.

Vera zaparkowała wóz na skraju placu targowego i weszliśmy na obszerny dziedziniec świątyni. Tłumy Indian napływały do katedry ze wszystkich stron. Słychać było dźwięk organów kościelnych rywalizujący z katarynkami i szafami grającymi.

Weszliśmy do kościoła, który był bardzo wysoki i mroczny, z całą górą kwiatów przy ołtarzu. Chociaż aktualnie nie odprawiało się żadne nabożeństwo, świątynia była przepelniona. Wszystkie ławki były zajęte. Grupy mężczyzn, kobiet i dzieci klęczały we wszystkich

nawach, zatopione w modlitwie, albo wpatrzone w bogate stroje figur świętych, stojących w oświetlonych świecami niszach.

– Przybytek Matki Boskiej jest w tyle – powiedziała Vera.

Przeszliśmy przez główną nawę, a potem przez arkadowe wejścia do kaplicy za nią. Tłumy Indian tłoczyły się, czekając na swoją kolej u stóp kamiennych schodów, prowadzących do przybytku z małą figurą Matki Boskiej. Tradycja głosi, iż figurę tę przywiózł ze sobą z Hiszpanii Cortez, a następne jej dzieje przypisują jej wielką potęgę i moc czynienia cudów.

Ściany obwieszane były naiwnymi, prymitywnymi malowidłami, wykonanymi przez tych, którzy doświadczyli cudu. Przedstawiały przypadki albo choroby, które Matka Boska szczęśliwie uleczyła: krwawe wypadki samochodowe, małe dzieci, chorowite dzieci w łóżeczkach, wymizerowane kaleki o kulach.

– Pójdę pomodlić się za biednego staruszka – szepnęła Vera. Uśmiechnęła się do mnie swoim czarującym uśmiechem i zajęła pokornie miejsce w kolejce na dole, wśród czekających pielgrzymów.

Za drzwiami w górze widać było balkon wychodzący na zalane słońcem patio. Wiedziałem, że na tyłach kościoła znajduje się klasztor Franciszkanów. Zostawiając Verę jej pobożnym modlitwom, wyszedłem na balkon – prowadził stąd do klasztoru wąski pasaż. Nikogo w nim nie było. Ruszyłem wolno wzdłuż pasażu. Zakręcał dwukrotnie, mając po obu stronach puste, podobne do cel pokoiki. Znalazłem się wreszcie przed wybitymi wielkimi gwoździami drewnianymi drzwiami, w stylu mauretańskim. Były tylko przymknięte, wszedłem więc do środka.

Znalazłem się w obszernym składzie, pełnym przedmiotów kultu, albo przeznaczonych do konserwacji, albo do wyrzucenia. Stare konfesjonały, ławki, ciemne obrazy olejne, potłuczone figury gipsowe świętych leżały bezładnie jedne na drugich. Słońce wdzierало się przez zakratowane okno. Jakaś mucha brzęczała leniwie na oknie.

Zatrzymałem się, aby bliżej przyjrzeć się niewielkiej gipsowej figurze jakiegoś mnicha, stojącej na starym stole refektarzowym przy

drzwiach. Nie wiem, kogo miała przedstawiać figura. Mnich miał jednak prawdziwe włosy i prawdziwe okrycie z surowego płótna. Jedno ramię było obtłuczone, a drugie wyciągnięte w moją stronę jak gdyby w geście błogosławieństwa. Pochyliłem się, żeby lepiej obejrzeć rękę mnicha i w tym momencie usłyszałem za sobą jakiś niewyraźny odgłos. Odwróciłem się. W jednej chwili mignął mi w słońcu blask metalu i nim zdążyłem się wyprostować, otrzymałem gwałtowny cios w skroń.

Zachwiałem się, ale jeszcze wszystko widziałem wyraźnie. Przez ułamek sekundy ujrzałem postać młodego, ładnego chłopca w wypłowiałych, niebieskich dzinsach. Oczy jego, wpatrzone we mnie, były nieruchome, jak oczy na portrecie.

W jednej ręce trzymał rewolwer. W drugiej zaś trzymał coś innego. Co to było?

Worek? Płócienny worek?

Spróbowałem zbliżyć się do niego, ale wszystko nagle zamigotało mi przed oczami. Wycofałem się, chcąc się przytrzymać stołu refektarzowego. Ręka moja jednak nie trafiła i obsunęła się. Poczulem, że upadam.

A potem wszystko stało się ciemnością.

## IX

Czułem pieczenie powiek, ból w głowie i zimno. Otworzyłem oczy. Zobaczyłem stojącą nade mną gipsową figurę. Powoli wszystko sobie przypomniałem. Tępe, obojętne spojrzenie chłopca, błyszczący rewolwer i... Podniosłem rękę do obolałej skroni i stwierdziłem duży guz. Nie wydawało mi się, żeby stało się coś gorszego niż siniak. Ale ramię, w które wpatrywałem się głupio, zasłaniało mi pole widzenia.

Było nagie.

Kiedy rozejrzałem się przytomniej dokoła, kompletnie zgłupiałem. Byłem zupełnie goły. Uniosłem trochę głowę i spojrzałem na swoje

ciało. Zrozumiałem wówczas, dlaczego odczuwam zimno.

Nie miałem na sobie nic z wyjątkiem spodenek.

Wstałem niepewnie na nogi z kamiennej, zimnej posadzki i zacząłem zbierać myśli. Przypomniałem sobie płócienny worek. A więc chłopak po to go przez cały czas nosił. Chodził za mną od samego rana, żeby ukraść mi ubranie. I on widocznie, tak jak Halliday, uważał mnie za super modnego i eleganckiego. „Facet ma fajny garnitur. Zaprawmy go porządnie, a garniturek będzie nasz...”

Ogarnęła mnie wściekłość. Przede wszystkim byłem zły na siebie za to, że nie doceniałem szpiegowskich talentów Juniora. A do tego jeszcze byłem wściekły z powodu upokorzenia. Pozostawiono mnie nagiego prawie jak noworodka w klasztorze Franciszkanów.

Obejrzałem się rozpaczliwie dokoła, szukając czegokolwiek, czym mógłbym się okryć. Nic godnego uwagi nie zobaczyłem. Tylko ławki, rzeźbione konfesjonały, obojętne gipsowe figury. Nagle przypomniałem sobie mój bilet lotniczy, kartę turystyczną i około 800 pesos, które miałem w portfelu. Zakląłem siarczyście pod nosem. A po chwili, kiedy odsunąłem się krok od refektarza, poczułem coś pod bosą stopą. Spojrzałem w dół i ujrzałem leżący tam mój portfel.

Schyliłem się i wziąłem go do ręki. Kiedy przejrzałem zawartość, stwierdziłem, że nic nie brakuje. Karta turystyczna, bilet na samolot i pieniądze – wszystko było na swoim miejscu.

Przez moment odczułem jedynie ulgę, nic więcej. Ale już po chwili zrodziło się podejrzenie. Portfel trzymałem w zapiętej kieszeni spodni. Tego byłem pewien. Żeby Junior był nie wiem jak niezręczny, ściągając ze mnie garderobę nie mógł upuścić portfela ot tak, przypadkiem. Musiał więc zostawić mi go rozmyślnie. Osiemset pesos i bilet lotniczy do Stanów stanowiły dla chłopca takiego jak Junior pokusę większą, aniżeli jabłko dla Ewy. Musiał działać pod czymś bardzo wyraźnym nakazem. Ktoś – Halliday? – powiedział mu, żeby zabrał mi ubranie, ale zostawił portfel. Dlaczego?

Z uprzejmości? Roześmiałem się na głos. Zostawili mi portfel, bo z jakiejś nie znanej mi przyczyny chcieli zostawić mi pieniądze i bilet.



To była jedyna sensowna odpowiedź. Ale dlaczego zabrali ubranie? Ponieważ owa rzecz, którą – jak podejrzewali – dała mi Debora, była tak niewielka, że mogła zmieścić się w kieszeni ubrania.

Byłem zbyt wścickły, żeby się dłużej nad tym zastanawiać. Zabili Deborę i ogłuszyli mnie ciosem, żeby zdobyć pożądany przedmiot. Nie mogę przecież iść do nich i powiedzieć: „Słuchajcie no, panowie. Pomyliliście facetów”. Są przekonani, że to ja jestem tym człowiekiem, który ich interesuje i nadal będą tak myśleć. Chcę czy nie chcę, siedzę w tej awanturze po same uszy.

Jedno nie ulega kwestii: za dwa dni wyjeżdżam. Ważniejsze jest raczej pytanie, czy zostanę przy życiu tak długo, żeby wsiąść do samolotu. Zacząłem chodzić po wąskiej komnacie tam i z powrotem, wścickły, zziębnięty i zmartwiony.

Nagle drzwi zaskrzypiały. Obejrzałem się.

Do środka weszła szybko Vera Garcia z rozwianą peleryną z lisów. Zrobiła krok naprzód i wydała najbardziej przeraźliwy okrzyk, jaki udało mi się słyszeć na scenie.

– Na Boga! – wykrzyknęła. – Co się z panem stało? Brał pan kąpiele słoneczne?

– Tak – powiedziałem. – Nie ma lepszego miejsca na opalanie jak klasztor!

– Naprawdę? – spytała z niedowierzaniem.

– Nie – odparłem. – Nasz przyjaciel Junior szedł za mną tutaj, rąbnął mnie w głowę i skradł ubranie.

– Ten ładny chłopiec z klatką na ptaki?

– Ten ładny chłopak z klatką na ptaki!

Vera zachichotała. Wydało się jej to bardzo zabawne.

– Ja wracałam z kaplicy. Czekam. Cały czas czekam na pana i nie mogę się nadziwić...

– I nie widziała go pani, jak szedł z tym workiem?

– Ja nikogo nie zauważyłam. Tyle ludzi ciągle tam i z powrotem spaceruje...

Podeszła bliżej i położyła ręce na moich nagich ramionach.

Przyglądała mi się z uznaniem. Szczery, „kobiecy” uśmiech rozchyłał jej wargi.

– Ma pan bardzo dobre ciało. Męskie ciało. Silne. – Zauważyła nagle spuchnięcie koło ucha i uśmiech zniknął z jej twarzy, ustępując miejsca oburzeniu. – O Boże, jaki pan biedny. On pana uderzył!

– A pani myśli, że co? Że mnie może prosił, abym mu pozował do zdjęcia?

– Złodziej! – krzyknęła. – Morderca! My złapiemy go!

– Ale może na razie wykombinuje mi pani coś do ubrania – poprosiłem.

– Tak, tak! – zerwała z ramion pelerynkę z lisów i zarzuciła na mnie. – Niech pan bierze mojego zwierzaka.

– Peleryna ze srebrnych lisów i slipy – zauważyłem. – Cóż to właściwie za strój?

– Nie. To naprawdę nie jest ładne dla mężczyzny. Niech pan poczeka, znajdę coś.

Wybiegła szybko, a po krótkiej chwili usłyszałem na korytarzu głosy, tupot nóg, okrzyki. Głos Very dominował nad wszystkimi innymi – w gorącej, gwałtownej hiszpańszczyźnie. Po chwili drzwi rozwarły się z trzaskiem i pierwsza wpadła Vera. Za nią szedł ksiądz w komży, czterech czarnookich ministrantów, trzech robotników w kombinezonach i jakaś stareńka kobieta z głową okręconą niebieskim *rebozo*.

Z błyskiem w oczach Vera wskazywała na mnie, jakbym był obiektem wystawowym. Wykrzykiwała przy tym coś i machała gwałtownie rękami. Najwidoczniej nie знаła uczucia skromności, gdyż nawet na chwilę nie przyszło jej do głowy, że taka liczna widownia może być dla mnie krępująca. Ministranci chichotali. Stara kobieta przeżegnała się pobożnie. Ksiądz podszedł do mnie, starannie obejrzał mi głowę i wrócił do Very. Wszyscy gwałtownie gestykulowali.

Oczywiście nie rozumiałem, o czym mówili, zauważyłem jednak, że spod kombinezonu jednego z robotników wystawały spodnie.

Wyjąłem banknot dwudziestopesowy, dałem go Verze i powiedziałem:

– Widzę, że on ma spodnie. Niech pani kupi mi od niego kombinezon.

Vera wzięła banknot i skoncentrowała całe swoje wysiłki na robotniku w spodniach. Mówiąc coś do niego z zapalem i powiewając mu przed nosem banknotem. Robotnik pochylił głowę i cicho zachichotał.

Vera spojrzała na mnie przez ramię i powiedziała:

– Nie chce zdjąć kombinezonu. Powiada, że się wstydzi.

Ksiądz, który nie wchodził w grę pod względem ubrania, przyglądał mi się zza okularów z wyrazem nagany w oczach. Jeden z ministrantów pociągnął go za komżę, on zaś otrząsnął niecierpliwie jego rękę. Stara kobieta usiadła na ziemi i patrzyła na mnie w milczeniu.

Vera, przechodząc od argumentu do bardziej wymownej perswazji, napadła na zawstydzonego Indianina i zaczęła rozpinąć guziki, przytrzymujące kombinezon na ramionach. Kombinezon zsunął się na posadzkę, a Indianin z nadąsaną miną wysunął z niego nogi. Vera wetknęła mu banknot do ręki i przyniosła mi triumfalnie kombinezon, śmiejąc się swoim podobnym do dzwonu śmiechem.

– Dzielna z pani dziewczyna – pochwalilem ją.

– Już panu powiedziałam, że jak jestem wściekła, to wszyscy się mnie boją.

Naciągnąłem kombinezon. Udało mi się jakoś dopiąć go na ramionach. Był groteskowo małych rozmiarów. Opinał mi się ciasno na biodrach, a nogawki kończyły się gdzieś w połowie łydek. Vera przypatrywała się moim nogom z zachwytem i radością.

– Och, bardzo ładnie, bardzo ładnie. Zupełnie jak Nizyński!

– Taak... Stokrotne dzięki, droga pani!

– Co to znaczy „stokrotne dzięki”? – spytała.

– Że bardzo, bardzo dziękuję.

Ksiądz skorzystał z okazji, żeby zwiać przed takimi cudacznymi

cudzoziemcami. Ministranci odeszli razem z nim. Pozbawiony kombinezonu Indianin doszedł nagle do wniosku, że to wszystko razem jest bardzo śmieszne. Musiało mu zaświtać w zakutej głowie, że dwadzieścia peso wystarczy co najmniej na kupienie na targu czterech takich kombinezonów. Pokazywał banknot kolegom i wszyscy bardzo się śmiali, a po chwili wyszli, jak gęsi, jeden za drugim. Została jedynie siedząca na ziemi stara kobieta. Miałem wrażenie, że w ogóle zapomniała, po co tu przyszła i siedziała po prostu dlatego, że była zmęczona.

A Vera, jako że była bardzo wrażliwą osobką, zaczęła teraz rozczulać się nad moim guzem.

– Prędko, prędko! – powiedziała. – Jedziemy do doktora.

– Doktor nie jest mi wcale potrzebny – odparłem. – Mam twardą czaszkę. Potrzeba mi jedynie ubrania i pary butów. Jeżeli pani skończyła swoje modlitwy, to może pojedziemy do mnie.

Wróciliśmy do sali, gdzie znajdował się cudowny wizerunek, precyzyjnie się przez dum pobożnych pielgrzymów i weszliśmy do głównego kościoła. Ciągle było tu jeszcze pełno ludzi. Nikt nie interesował się szykowną kobietą w srebrnych lisach w towarzystwie mężczyzny w przykrótkim kombinezonie. Nawet na targu nie zwróciliśmy niczyjej uwagi. Meksykanie przyzwyczaili się akceptować wszystko, co pochodzi od turystów.

Ale Vera Garcia nie była Meksykanką i miała teatr we krwi. Rozkoszowała się sytuacją. Przez całą drogę do domu zasypywała mnie pytaniami i propozycjami.

Odpowiedzi moje były zdawkowe, ponieważ zbyt byłem zajęty rozmyślaniami, co powinienem zrobić dalej. Nie mogłem zapomnieć, w jakiej sytuacji się znalazłem i istniała szansa, że spotka mnie jeszcze coś znacznie gorszego. Musieli wiedzieć, gdzie mieszkam, gdyż Junior zaczął mnie śledzić niemal od drzwi mojego mieszkania. Nawet gdyby to było możliwe, byłem zbyt wściekły, aby opuszczać to mieszkanie i skryć się w hotelu do czasu odlotu do Nowego Jorku.

Trudno też mi było ułożyć jakiś plan, bo zbyt mało wiedziałem o

przeciwnikach. Vera paplała coś o policji i ambasadzie, ale to było coś bardziej skomplikowanego i niebezpiecznego niż przypadkowy napad. Policja może nawet próbowałaby odszukać Juniora, może nawet odzyskano by moją garderobę w miejscowym lombardzie. Ambasada oczywiście byłaby współczująco niedowierzająca. Wszystko to jednak nie doprowadzi mnie ani o krok bliżej do rozwikłania tajemnicy Debory Brand i nie zapewni mi bezpieczeństwa.

Nie. Na złe czy na dobre – muszę liczyć jedynie i wyłącznie na siebie. I być gotowym na wszystko. Odplączę im taką samą monetą.

Kiedy dojechaliśmy do mojego apartamentu, Vera weszła tam razem ze mną bez specjalnego zapraszania.

Nie byłem w nastroju do zabawiania postrzelonych dziewczyn. Pragnąłem być sam, żeby móc zastanowić się, jak mogą potoczyć się dalej wypadki. Ona jednak trwała przy mnie dzielnie i nie miałem po prostu serca, aby ją spławić. Otworzyłem drzwi frontowe i wpuściłem ją przed sobą do przedpokoju. Kiedy na moment zatrzymałem się w progu, aby wyjąć klucz z zamka, usłyszałem jej głośny okrzyk:

– Wielkie nieba! Co za okropny bałagan! W pańskim życiu jest panu naprawdę potrzebna kobieta!

Wszedłem do środka i stanąłem obok niej na progu salonu. Zorientowałem się od razu, co miało oznaczać jej przerażenie. Pokój był przewrócony do góry nogami. Wszystkie szuflady biurka powymywane. Po podłodze wałały się stosy papierów. Poduszki pozdejmowane z sofy i kanapy i porozrzucane byle gdzie.

Przeszedłem do sypialni. Tutaj chaos był jeszcze większy. Wszystkie moje ubrania wyrzucono z szafy i rozrzucono na łóżkach. Szuflady komody były otwarte, a chusteczki i bielizna wyciągnięte na wierzch. Nawet walizki ściągnięte z szafy leżały splądrowane na dywanie, a w każdej starannie oderwana była podszewka.

Nim poddałem się fali wściekłości, poczułem lęk. Halliday nic nie robił na małą skalę, o ile to był w ogóle Halliday. Podczas gdy jeden z jego fagasów chodził za mną po mieście, drugi włamał się do

mieszkania. Musiało mu piekielnie zależeć na tym, czego poszukiwał.

Przypomniałem sobie srebrne włosy Debory falujące pod zieloną wodą w *cenote*. Część mojego ja ubolewała, że nie pojechałem z Iris do Hollywood, zamiast wałęsać się po tym piekielnym Jukatanie. Druga jednak część – ta, która się teraz wściekała ze złości, zaczynała powoli mobilizować się do walki w imię Debory.

Odczuwałem po trochu osobisty posmak tego, w co była wplątana, i czułem głęboką litość dla niej. To było nazbyt okrutne dla dwudziestoletniego dziecka. Przypomniałem sobie jej młode, niezręczne wargi na moich ustach. Czułem, że nie spocznię, póki nie wpakuję osoby, która ją zamordowała przy *cenote*, w dużo gorszy galimatias.

Vera po chwili weszła do sypialni. Usłyszałem jej głos, niemal aż piskliwy z oburzenia: – Co się dzieje? To nie jest nieporządek. Oni plądrują, prawda? Uderzyli pana. A teraz plądrują!

Podeszła do mnie, położyła mi ręce na ramionach i spojrzała mi w twarz, trochę zdziwiona, a trochę zafascynowana.

– Co z tobą jest, Peter? Dlaczego oni ciebie gonią, uderzają i plądrują? Może ty jesteś szpieg? Co? Albo wielki gangster?

Postanowiłem nie mówić jej nic więcej ponad to, co było niezbędne. Za wcześniej jeszcze chyba było na zdobywanie sobie sprzymierzeńców.

- O ile wiem – powiedziałem – jestem wyłącznie turystą.
- I nie rozumiesz, dlaczego oni ciebie uderzają i plądrują?
- Nie.

Zwróciła się w stronę telefonu.

- To my zatelefonujemy na policję – orzekła.
- Nie!
- Dlaczego nie?
- Dlatego, że nie – uśmiechnąłem się do niej.

Przyglądała mi się uważnie.

– W takim razie znaczy, że ty kłamiesz. I że wszystko doskonale rozumiesz. To wielki, ogromny sekret. Żadnej policji...

Powinienem był się domyślić, że jest zbyt inteligentna i zbyt dociekliwa, żeby dać się zbyć byle czym. Ująłem ją pod ramię.

– Okay – powiedziałem. – To wielki sekret. Moja własna, osobista sprawa. No, a teraz co byś powiedziała na to, żebyśmy zrobili tu razem jako taki porządek i mogli stwierdzić, co zginęło...

Była równie posłuszna, jak inteligentna. Nie zadawała już więcej pytań i potulnie zaczęła pomagać w sprzątananiu. Najpierw sprzątnęliśmy salonik, a potem sypialnię. Jak się spodziewałem, nic nie brakowało.

Potulność Very trwała tak długo, dopóki nie natknęła się na fotografię Iris, która leżała na ziemi, wyjęta z ram. Podniosła ją i zaczęła się przyglądać błyszczącymi jak gwiazdy oczami. Potem rzuciła władczy tonem:

– Kto to jest, ta seksowna kobieta?

– Moja żona.

Odwróciła się gwałtownie w moją stronę, pytając z wyrzutem:

– To ty jesteś żonaty?

– A ty co myślałaś, Vero? Bogaty wdowiec, tak jak ty?

– Na wszystkie bogi! – rzuciła fotografię na toaletkę z istic ognistym temperamentem. – Zawsze jest w ten sam sposób! Zawsze jak jest prawdziwy mężczyzna, to już go złapała jakaś tania...

– Ostrożnie z rzeczownikami! – ostrzegłem.

– Czy myślisz, że ja dbam o rzeczowniki?

– Ale ja dbam – wyjaśniłem. – Jesteś niegrzeczna, nieposłuszna i niesforna.

– Co to znaczy „niesforna”? – zamruwała powiekami.

– Niedobra – odparłem.

– Puff! – wzruszyła ramionami i opadła nadąsana na kanapę. – A teraz, na to wszystko, ja potrzebuję drinka.

Wydymała wargi, jak nadąsana mała dziewczynka, w dodatku rozszoszona jak osa. Wydawała mi się urocza. Przyrządziłem jej *cuba libre* i zostawiając ją samą wróciłem do sypialni i zrzuciłem z siebie kombinezon indiański. Włożyłem pod gorący prysznic, a potem

ubrałem się nie przestając myśleć o Hallidayu.

Kiedy wróciłem do saloniku, Vera leżała w ponętnej pozie na kanapie i paliła papierosa. W międzyczasie zdjęła futrzany komin i pelerynę z lisów. Jej napady złości zdawały się być równie krótkotrwałe, jak gwałtowne. Robiła wrażenie, iż jest w doskonałym humorze i na mój widok roześmiała się swoim zaraźliwym, głębokim śmiechem.

– Ach! Teraz jest znowu piękny ten żonaty mężczyzna. Chodź, usiądź tu przy mnie – pogładziła wymownie dłonią brzeg kanapy.

Ciągle jeszcze myśli moje były zaprzątnięte Deborą i Hallidayem. Usiadłem. Dotknęła guza na mojej skroni i pogłaskała pieszczotliwie.

– Widzę, że jest już lepszy, mniejszy? Bardzo boli?

– Nie. Nie bardzo.

Siedziała bardzo blisko mnie, kolana jej ocierały się o moje. Była rozkoszna i jak widać bardzo zmysłowa, jak francuska pokojówka z dawnych komedii czy operetek. Aleja byłem myślami gdzie indziej. Zastanawiałem się nad Hallidayem i nad tym, czego on może u mnie tak rozpaczliwie szukać. Musi to być coś tak małego, że mógłbym to nosić przy sobie, na przykład w portfelu. Jakiś klejnot?

Trudno było wyobrazić sobie Deborę jako szmuglerkę biżuterii za granicę. Jakieś relikwie Inków? To już byłoby bardziej prawdopodobne, zważywszy, że jej ojciec, archeolog, pracuje w Peru. Ale jaka relikwia Inków mogłaby być tak niewielka? Klejnot? Powróciłem do idei klejnotu jeszcze raz.

Ręka Very przesunęła się tymczasem z mego guza na moje ucho.

– Prawda, że ja jestem bardzo dobra? – zamruczała przekornym tonem. – Nie zadaję żadnych pytań. W środku gotuję się z ciekawości, ale nie zadaję żadnych pytań...

– Tak, grzeczna z ciebie dziewczynka – przyznałem, a ona zaczęła pieścić moje ucho.

– Dałam obietnicę temu staremu człowiekowi. Przez cały rok, odkąd odszedł, obiecałam nie mieć żadnego przyjaciela.

– Co ty mówisz?



– Ten rok minął właśnie w ubiegły czwartek...

Zbliżyła swoją twarz ku mojej, pachniała jak perfumeria. Jej uśmiech był kuszący.

– Ty... ty, którego ścigają, uderzają i plądrują. Ty, który jesteś żonaty z tą... z tą, która nie dba o to, żeby być przy tobie i obdarzać cię swoją miłością, chciałbyś być moim przyjacielem?

Coś w jej miękkim dotknięciu przypominało mi Deborę. Nie było między nimi absolutnie żadnego podobieństwa. Debora była po prostu niedoświadczoną młodą dziewczyną, grającą rolę uwodzicielskiej syreny. Vera zaś była prawdziwą kobietą, na tyle atrakcyjną, że mogłaby nawet uwieść gipsowego mnicha z odłamanym ramieniem. Ale to wspomnienie obudziło nagle we mnie podejrzenie.

Debora zaczęła mnie „podrywać” już po kilku godzinach naszej znajomości. A teraz Vera robi to samo. A przecież wiedziałem, że nie jestem aż tak atrakcyjnym facetem.

Mając się na baczności odwróciłem się ku niej i spojrzałem. Ona odwzajemniła mi to spojrzenie. Cofnęła rękę.

– Co się dzieje? Czyż nie jesteś mężczyzną? Dla ciebie jestem brzydka, tak? Odrażająca?

– Nie bądź niemądra, Veró! Jesteś piękna, jesteś wspaniała!

Wzruszyła dramatycznie ramionami.

– Naturalnie, że jestem piękna. Ale tobie się nie podobam. Co się dzieje?

– Wygląda na to, że bardzo wiele będzie się działo. I to niedługo...

Zignorowała tę moją uwagę.

– Myślisz przez cały czas o swojej żonie?

– Oczywiście, że myślę o żonie.

– Zwariowałeś? Ty myślisz o kobiecie, której tu nie ma, wtedy gdy jest tu inna kobieta?!

Błysk zrozumienia ukazał się w jej spojrzeniu.

– Ach, już rozumiem! To mój makijaż. Calusienki dzień pomiędzy nieboszczykami i w kościołach, a ja nie robię twarzy. Tak,

to z pewnością dlatego. Makijaż na mojej twarzy cały się rozpuścił. To ohydne. Zaraz to poprawię!

Zerwała się i pobiegła do sypialni. W drzwiach obejrzała się jeszcze i rzuciła mi uśmiech pełen czułości.

– Zaraz wracam z nową twarzą. Wtedy będzie różnica. Wtedy ty zapomnisz o swojej żonie, która...

– Nie mów nic więcej, Vero.

Kiedy czekałem na nią, ktoś zadzwonił do drzwi. Tyle cięgów otrzymałem już od mojego powrotu do Mexico City, że nauczyłem się ostrożności. Dzwonek zadzwonił powtórnie. Podszedłem do okna i wyjrzałem zza firanki na ulicę. Przed frontowymi drzwiami stała pani Snood w swoim jaskrawo zielonym kostiumiku; drobna, zdeterminowana, nieustępliwa.

Widok nikogo innego nie ucieszyłby mnie bardziej. Pani Snood była uosobieniem normalności w tym zwariowanym świecie. Nie będę musiał już teraz zostawać „przyjacielem” Vero. A może będzie umiała mi powiedzieć, gdzie znajduje się aktualnie pan Halliday. Dowiem się może w końcu, gdzie on mieszka.

Poszedłem do kuchni i nacisnąłem guziczek zwalniający drzwi na dole. Niebawem rozległo się pukanie i otworzyłem je. Na mój widok przyjemnie uśmiechnęta, drobna twarz rozpromieniła się. Nowy storczyk, tym razem żółty, był rozpaczliwie przypięty do klapy jej zakietu. Włosy były tak samo niesforne jak zwykle.

– No, nareszcie pana złapałam! Dwa razy dzwoniłam, ale nikt nie odpowiadał. Rano zaś wpadłam osobiście, ale też na próżno.

– Bardzo mi przykro... Nie było mnie w domu.

Jej podobne do okrągłych paciorków oczy zatrzymały się na moim guzie.

– Boże drogi! Ktoś pana uderzył!

– E, nie. Uderzyłem się o drzwi...

Uśmiechnęła się porozumiewawczo.

– I na mnie podobnie działa tequila – skwitowała.

Przeszła do saloniku i rozejrzała się wokoło.

– Całkiem ładnie. Ile też oni drą z pana miesięcznie?

Powiedziałem jej. Po chwili zobaczyła srebrne lisy Very.

– Och, pan ma gościa – zauważyła. – Strasznie przepraszam. Ja nie...

– Proszę sobie tego mylnie nie tłumaczyć – odpowiedziałem. – Jestem zachwycony, że pani wpadła. Proszę usiąść, a ja tymczasem przygotuję pani drinka.

– No dobrze... ale tylko jednego. Przed domem czeka na mnie taksówka. Wracam z wycieczki. Byłam zobaczyć piramidy. Nie pamiętam, jak one się nazywają. Pomyślałam, że wygodniej będzie pojechać taksówką niż autokarem turystycznym. Mam wrażenie, że jak zwykle naciągnęli mnie.

– Jak się pani podobały piramidy? – spytałem.

– Och... jak to piramidy! – uśmiechnęła się.

Nalałem jej *cuba libre*. Wypiła duszkiem.

– Wpadłam, żeby pana zaprosić wieczorem na kolację – powiedziała. – Oczywiście jako mojego gościa. Ja płacę! – patrzyła na mnie zaniepokojona, w obawie, żeby jej plan nie spalił na panewce. – U Ciro – dodała. – To najbardziej elegancki lokal w mieście. Znakomita orkiestra i w ogóle.

Bardzo ją lubiłem, ale nie na tyle, aby wytrzymać cały wieczór w jej towarzystwie u Ciro. Nim jednak zdążyłem cokolwiek powiedzieć, pochyliła się ku mnie i położyła mi rękę na kolanie.

– Bardzo proszę, niech pan przyjdzie. Dzisiaj rano natknęłam się na Bilia Hallidaya, jadł śniadanie u Sanborna w towarzystwie jakiejś kobietki. Zaprosiłam jego także. On zaś specjalnie prosił, żeby i pan przyszedł.

A więc Halliday chciał zobaczyć mnie wieczorem. To bardzo ładnie z jego strony. Nagle cała sytuacja nabrała innego posmaku.

– Oczywiście, oczywiście – uśmiechnąłem się. – Przyjdę z przyjemnością, droga pani.

– To cudownie! Koło ósmej. Zbieramy się w moim pokoju w hotelu Reforma.

Pani Snood odstawiła pustą szklankę i wstała.

– Ta czekająca przed domem taksówka denerwuje mnie – powiedziała. – Wiem, że oni tutaj nie mają liczników, ale ja mimo woli ciągle myślę o tym, że licznik wybija i wybija bez przerwy...

Urwała, gdyż na progu pojawiła się Vera Garcia.

Widać było, że włożyła bardzo dużo pracy w zrobienie swojej twarzy. Dużo za dużo.

Wstałem i dokonałem prezentacji.

– Droga pani Snood, oto pani Vera Garcia.

Twarz Very na widok pani Snood rozpromieniła się czarującym uśmiechem. Obie kobiety wyciągnęły do siebie ręce.

– Ach – zawołała. – Jak to miło znów panią zobaczyć!

– Jak to? Panie się znają? – zdumiałem się nielicho.

– Oczywiście – powiedziała Vera.

– Naturalnie – potwierdziła pani Snood. – Co za dziwny zbieg okoliczności! Pani Garcia jest właśnie tą osobką, którą widziałam dzisiaj rano w towarzystwie Bilii Hallidaya u Sanborna!

Udało mi się jakoś powstrzymać okrzyk zdumienia. Vera opadła leniwie na krzesło, skrzyżowawszy nogi i zapalając papierosa.

– Halliday? – spytała. – A kto to jest ten Halliday?

– To ten pan, z którym pani jadła dzisiaj śniadanie u Sanborna – powiedziała pani Snood. – Czy to nie pani przyjaciel?

– Och, ten – roześmiała się Vera. – Zdaje się, że on bardzo chciał być moim przyjacielem – mrugnęła do mnie okiem. – Siedzę sobie rano u Sanborna, pijąc, jak zwykle, kawę. Wszędzie tłumy ludzi. Nagle on wchodzi, podchodzi do mojego stolika i pyta, czy może się dosiąść. Odpowiadam, czemu nie. A on zaczyna gadać, gadać, gadać... O Iowa? Tak? Czy też Idaho? Któryś z tych wielkich stanów w Ameryce. Cały czas gada – znowu mrugnęła do mnie. – A noga cały czas pod stołem przy mojej, i gada i gada...

– O Boże! – zawołała pani Snood – Nie miałam pojęcia, że on tak się zachowuje wobec młodych kobiet – westchnęła. – Bo jego noga nigdy nie dotykała pod stołem mojej. No, ale cóż ja? Ja jestem po

prostu stare pudło!

Nagle, jakby przyszła jej jakaś wspaniała myśl do głowy, uśmiechnęła się do Very z przejęciem i powiedziała:

– Niech pani mnie posłucha. Właśnie przed chwilą zaprosiłam Petera na dziś wieczór na kolację. Będzie pan Halliday. A może by i pani zechciała przyjść? Byłaby nas czwórka. O wiele weselej. Chyba że panią wystraszył nasz wilk z Cleveland?

Vera wzruszyła ramionami.

– Ja? – spojrzała na mnie pieszczotliwie i dodała: – Jeżeli Peter przyjdzie wieczorem, to i ja przyjdę... Przyjdę i będę bardzo zachwycona.

Pani Snood zaczęła jeszcze rozprawiać o wieczornych planach, ja jednak nie słuchałem.

„Co za dziwny zbieg okoliczności?” – powiedziała pani Snood. Można i tak. Jeżeli chce się w ten sposób interpretować to, że było zbiegiem okoliczności, iż Vera jadła śniadanie w towarzystwie Bilia Hallidaya u Sanborna, a następnie wpadła do mojej kafejki na jeszcze jedno śniadanie, a jej samochód parkował przed moim domem. Jeśli się chce, można także nazwać zbiegiem okoliczności fakt, iż wpadłem na nią ponownie na cmentarzu Pantheon Dolores. Można również nazwać zbiegiem okoliczności fakt, że to Vera Garcia zawiozła mnie do cudownego obrazu Matki Boskiej w Los Remedios, gdzie Junior znalazł idealną okazję, aby mnie zaatakować.

Spojrzałem na krucze, lśniące włosy Very i jej białoróżową cerę. Nim pani Snood zrobiła swoją uwagę, Vera wydała mi się najbardziej spontaniczną, nieskomplikowaną i szczerą kobietą, jaką kiedykolwiek poznałem.

Teraz już nic nie rozumiałem.

Widziałem bowiem stojącego za jej plecami wysokiego, chudego jak tyka Amerykanina z głupekowatym uśmiechem, a obok niego ładnego, meksykańskiego chłopca z płóciennym workiem.

## X

Przybyłem punktualnie do hotelu Reforma. Pani Snood wprowadziła mnie do luksusowego apartamentu, którego cena musiała przyprawiać ją o bezsenne noce. Ubrana była w znany mi strój koloru bugenwilli, a jej włosy ułożone były jak zwykle na wieczór, w ptasie gniazdo. Wyglądała bardzo uroczyście i była uszczęśliwiona.

– O, Peter! – zawołała. – Jest pan pierwszy. Jak to ładnie!

Przy sofie stał stoliczek, a na nim butelka rumu i eleganckie dodatki koktajlowe.

– Pomyślałam, że przyjemniej będzie, jak napijemy się koktajlu u mnie, przyjemniejsze i bardziej ekonomiczne. Tak przynajmniej wykombinowałam, dopóki mi nie naliczyli horrendalnych cen za usługę w apartamencie...

Nalała szklaneczkę *daiquiri* i podała mi.

– Tak się cieszę, że Vera Garcia także przyjdzie. To taka atrakcyjna dziewczyna. Czarująca.

– Czarująca – przytaknąłem.

– Nie wiedziałam, że się przyjaźnicie – spojrzała na mnie figlarnie. – Dawno ją pan zna?

– Poznaliśmy się dzisiaj rano – odpowiedziałem. – Na cmentarzu.

– Na cmentarzu? Boże drogi, jakie to romantyczne.

Usiadła na brzegu łóżka z lekkim westchnieniem i popijała powoli drinka.

– Wie pan, myślałam, że to też przyjaciółka Bilia Hallidaya, ale jak się okazuje, on jest po prostu zepsutym, starym lubieżnikiem.

– Na to wygląda...

– Mam nadzieję, że nie będą się klócić. Bardzo lubię, jak na moich przyjęciach towarzystwo także lubi się między sobą.

W panujących okolicznościach jej zapał życiowy wydał mi się raczej przygnębiający. Wyobraziłem ją sobie wydającą koktajlowe przyjęcie na Bikini, jak wskazuje na niebo i opowiada: „O, popatrzcie

tylko na tę małą, czarującą bombę atomową. Mam nadzieję, że to będzie bardzo zabawne, jak wyląduje...”

Vera wyszła z mojego mieszkania razem z panią Snood. Dotychczas nie byłem pewien, czy jest jedną z hallidayowskich współpracowniczek, czy też to ja zaczynam chorować na psychozę podejrzliwości. Nie miałem żadnych konkretnych i wystarczających danych. Dowody mogły być interpretowane różnie. Miałem nadzieję, że na dzisiejszym spotkaniu zdarzy się coś, co mi w ten czy inny sposób wyjaśni sytuację.

Po kilku minutach przyszła, wypełniając pokój ożywieniem, zapachem perfum i uśmiechem. Ubrana była olśniewająco, ale tak samo jak rano, ta wspaniałość wymagała retuszu. Czarna wieczorowa suknia, śliska jak wodorost, była wspaniała, ale Vera popsowała cały efekt olbrzymią ilością pereł, ogromną ametystową broszką i mniej więcej tuzinem srebrnych bransoletek. Nawet we włosach miała szkarłatną poinsecję.

Gdyby nie jej wielka uroda – wyglądałaby jak z farsy.

Zachowywała się wzorowo. Grała tę rolę z zamiłowaniem. Była radośnie podniecona, że widzi nas dzisiaj jeszcze raz. Przyznała, że uwielbia *daiquiri*.

Kiedy tak szczebiotała i paplała, jej urok był tak szczerze naturalny, iż podejrzenie o prowadzenie podwójnej gry należało wykluczyć. Właściwie to miałem niewiele podstaw do podejrzeń: publiczne, oficjalne spotkanie z Hallidayem, które całkiem prawdopodobnie wytłumaczyła. Miałem dla niej znowu dużo ciepłych uczuć.

Z rosnącą niecierpliwością czekałem na pojawienie się Hallidaya. Głównie drażniła mnie niejasność sytuacji. Póki nie zorientuję się, czego ode mnie oczekuje, nie mogę podjąć żadnego planu działania. Czuję, że moje zniecierpliwienie i rozdrażnienie rosną. Wreszcie, po przeszło dwudziestu minutach zjawił się.

Chociaż nie było w tym nic nowego, niesłychana niedbałość jego wyglądu niemal mnie rozbroiła. Wszedł do pokoju w szarym,

wygniecionym garniturze i starych, zniszczonych butach. Jego jasne włosy sterczały nieporządnie nad czołem, a uśmiech można byłoby nazwać kwintesencją niemądrej życzliwości.

Na powitanie ucałował panią Snood meksykańskim, zabawnym zwyczajem w oba policzki, zaś moją ręką potrzasał kilkakrotnie mówiąc przy tym:

– Jak się pan ma, Peter, stary przyjacielu?!

Na widok Very twarz jego rozpromieniła się, a oczy wyrażały zachwyt i zdziwienie.

– Czyż to nie piękna señorita od Sanborna? – zawołał. Robił wrażenie, że był już po kilku kieliszkach.

Pani Snood, lokując na wieszaku jego płaszcz, powiedziała:

– To przyjaciółka Petera – i poklepała go po ramieniu. – Opowiadała nam, jak się zachowywałaś dzisiaj rano!

Zdawał się być zachwycony, jak gdyby pani Snood powiedziała komplement pod adresem jego męskości.

– Opowiadała wam, naprawdę? No, ale cóż z tego? – mrugnął do mnie. – Pan musi mieć coś, czego mnie brakuje. Ja nie mogłem przelamać nawet pierwszej bariery dzisiaj rano!

Uśmiechnął się porozumiewawczo do Very, żeby jej okazać, że żartuje. Potem usiadł koło niej na kanapie, podniósł do góry *daiquiri* i powiedział:

– Za zdrowie pań!

Następnie zaczął opowiadać anegdotki o przeróżnych Jimmich, Billach i Joe z Cleveland. Potem, kiedy zaczęło przybywać alkoholu w jego krwi, uraczył nas dość pikantnymi dowcipami. Po kilku dalszych *daiquiri* stwierdził:

– Mały Billy musi iść teraz w to miejsce, o którym się w towarzystwie nie mówi – i zniknął w łazience.

Gdy wrócił, anegdotki stały się po prostu spróśne.

Wszystkiego się spodziewałem, tylko nie takich obrzydliwych nudów. Będąc producentem, znam aktorów. Ale tym razem nie byłem w stanie stwierdzić w tym przedstawieniu żadnej fałszywej nuty.



Wszystko ciągnęło się mniej więcej w tym stylu nawet po koktajlach, kiedy przenieśliśmy się do amerykańskiej restauracji, gdzie amerykańska orkiestra grała bardzo amerykańskie melodie, starając się zagłuszyć bardzo amerykański gwar. Lena Snood z ekstrawagancją zamówiła szampana. Popijaliśmy go przez cały wieczór i przy akompaniamencie ciągłego hallidayowskiego „A to państwo znają?” – tak, że w końcu poczułem się całkiem ogłupiały.

Od czasu do czasu zatańczyłem to z Verą, to z panią Snood, ale Vera zdawała się wyczerpać całą swoją witalność śmiejąc się z dowcipów Hallidaya. Pani Snood paplała bezustannie o rzeczach, których nie byłem w stanie słuchać.

Przestałem doszukiwać się ukrytych związków między obecnymi, czy też tajonych dwuznaczności. Najwidoczniej nie było tu nic takiego. Może byłem na beznadziejnie mylnym tropie.

Kiedy kolejny raz tańczyłem z panią Snood, zauważyłem, że za przykładem Very wpięła we włosy kwiat, tylko nie poinsecję, a różową gladiolę. W pewnej chwili usłyszałem znajome słowa:

- Co za zabawny facet ten Bill Halliday.
- Istotnie – przytaknąłem machinalnie.
- Opowiadał panu ten kawał o kocie ślepym na jedno oko?
- Nie – odpowiedziałem.

Zaczęła więc opowiadać, ale nagle urwała, wykrzyknęła coś i pomachała ręką w stronę baru.

Obejrzałem się dokoła. Na stołku, nad drinkiem siedział samotnie, zgarbiony, potężny mężczyzna o rudych włosach. Pani Snood znowu coś zawołała, a potem powiedziała do mnie z uśmiechem:

– Pan go nie pamięta, Peter? Tam siedzi Johnson. Ten młody żonkoś z Jukataniu!

Kiedy podprowadziłem ją w tańcu bliżej baru, okazało się, że miała rację. Gdy znaleźliśmy się tuż przy nim, pani Snood chwyciła go za ramię.

– Hej, jak się pan miewa? Co to za pomysł wałęsać się po mieście bez swojej pani? Wstydziliby się pan.

Pan Johnson spojrział na nas i na jego twarzy pojawił się rozbrajający, chłopięcy uśmiech. Natychmiast jednak ustąpił miejsca zakłopotaniu, gdy wyjaśnił:

– Lupe jest w szpitalu. Fatalna historia. Bóle złapały ją prawie natychmiast po naszym przyjeździe do hotelu. Zawiozłem ją do szpitala, gdzie miała natychmiast operację. Ślepa kiszka.

Pani Snood bardzo się przejęła i powiedziała współczująco:

– Biedactwo! Jak ona się teraz miewa?

– Niebawem stanie na nogi. Ale biedne dziecko jest bardzo wystraszone, no i cierpi. Siedziałem z nią cały dzień, ale o dziesiątej wyrzucili mnie.

Jego duża, ciężka ręka ujęła mocniej szklaneczkę. Wyglądał bezradnie i nieszczęśliwie.

– Licho nadało taki miodowy miesiąc – dodał.

– To rzeczywiście okropne! – westchnęła pani Snood. – No i powiedziałabym, że kosztowne. Ile też policzono panu za leczenie, jestem ciekawa?

– Sporo – cień chłopięcego uśmiechu przemknął przez jego twarz. – Na pocieszenie staram się powolutku upić.

– Tylko szampan może pana uratować! – zawołała pani Snood, wsuwając rękę pod jego ramię. – Chodźmy do naszego stolika.

Spoglądał z powątpiewaniem raz na mnie, raz na nią.

– Nie zechcą chyba państwo zawracać sobie głowę takim...

Ale pani Snood już go prowadziła w stronę naszego stolika, manewrując między tańczącymi parami.

Wszystko, co miało jakikolwiek związek z wydarzeniami w Jukatanie, mogło mieć znaczenie. Ale kiedy pani Snood prowadziła Johnsona do naszego towarzystwa i włączyła go do naszej grupy, nie zdołałem zauważyć nic, co by wzbudziło moje podejrzenia i co by świadczyło o tym, że nie było to całkiem przypadkowe spotkanie.

Wzmianka pani Snood o operacji pani Johnson stłumiła na chwilę wesołość, wkrótce jednak zmęczył ją ten smutny nastrój, który sama poniekąd wprowadziła, i powiedziała:

– W każdym razie nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo, panie Johnson. Niech pan dziękuje Bogu, że to nic gorszego. Bądź co bądź nie spotkał ją los jak pannę Brand, która wpadła do *cenote*...

– Pannę Brand? A kim jest ta panna Brand? – zapytała zdziwiona Vera.

– Jak to? To Peter nic pani o tym nie mówił? – ptasie oczy pani Snood spojrzały na mnie, a potem z powrotem na Verę. – A przecież to była jego bliska znajoma. To było straszne! Wszyscy okropnie to przeżyliśmy!

Kiedy opowiadała historię Debory, obserwowałem Hallidaya. Jeżeli miał nieczyste sumienie, to właśnie teraz powinien się zdradzić. Ale jedynym uczuciem, jakie malowało się na jego twarzy, było pijackie znudzenie. Raz, jak gdyby bezwiednie, ręka jego obsunęła się na nagie ramię Very. Dziewczyna odsunęła się od niego. I to było wszystko, co się wydarzyło.

– Boże! Jakie to było straszne! – zakończyła opowieść pani Snood. – I tuż przed śmiercią to biedne dziecko dało Peterowi kryminałek, a on pożyczył go mnie. Cały czas jak czytam o tych morderstwach i zbrodniach, to przypominam sobie tę biedną dziewczynę w *cenote*. Czy to nie okropne? Inaczej trudno to nazwać.

Znowu wprowadziła nas w smutny nastrój, ale niemal natychmiast jej wrodzona wesołość i żywotność wzięły górę, i zaciągnęła młodego żonkosia na parkiet.

Zabawa w tym stylu przeciągnęła się do drugiej w nocy. A potem, po bardzo dokładnym sprawdzeniu rachunku, pani Snood zapłaciła należność, zostawiła hojny napiwek kelnerowi i uwolniła nas.

Wyszliśmy wszyscy do hotelowego hallu. Pierwszy wymknął się pan Johnson. Następnie zaczął się zbierać do wyjścia Halliday. Ucałował panią Snood, skłonił się uroczyście Verze i znowu zaczął potrzasać moją ręką.

– No, Peter, stary przyjacielu, żegnam... I niech pan czasem nie robi nic takiego, czego ja bym nie zrobił.

Widocznie pijany był od szampana, a ja miałem przykre uczucie,

że wszystko przecieka mi między palcami. Czyżbym popełnił tak kolosalny błąd? Czyżby związek między śmiercią Debory a tym, co mi się przydarzyło w Mexico City, był jedynie grą mojej wyobraźni? Albo, o ile było w tym coś z prawdy, należało szukać rozwiązania w całkiem innym kierunku? Starałem się połączyć morderstwo, zamieszanie i konspirację z tym niewinnie wyglądającym turystą, siedzącym naprzeciwko mnie. I pomyślałem, jakie to byłoby śmieszne, gdybym go tak w tej chwili oskarżył.

Ręka jego bezwładnie wysunęła się z mojej. Spojrzał przez ramię z wyrazem uznania na obnażone plecy Very. Pochylając się w moją stronę szepnął: – To śliczna dziewczyna, Peter. Pociągająca. Proszę jej nie robić nic takiego, czego ja bym nie zrobił...

To miał być chyba oszałamiający dowcip, bo Halliday wybuchnął kaskadą śmiechu i uszczypnął mnie po szczeniacku w ramię. W końcu odwrócił się i zaczął schodzić po schodach na ulicę.

– Dobranoc – zawołał. – Bra... noc wszystkim! Bra... noc, dobrzy ludzie.

Gdy doszedł do drzwi, ostrożnie je otworzył i znikł w cieniu nocy.

Niebawem i ja z Verą podziękowaliśmy pani Snood za miłe przyjęcie i wyszliśmy. Vera powiedziała, że mieszka bardzo blisko, nie wzięła swego wozu i poprosiła, żebym odprowadził ją do domu. Kiedy szliśmy pustymi, oświetlonymi światłem księżyca ulicami, trzymała mnie mocno pod rękę.

– Co za ludzie! – westchnęła. – Co za nudziarze! Nic tylko gadanie i gadanie.

Minęliśmy kilka przecznic i doszliśmy do stylowego pałacu na rogu ulicy, z szeroką, żelazną bramą pośrodku. Zatrzymała się przy niej i powiedziała:

– To tu mieszkam. Wielki dom, co? Ohydny! Coś chyba dla pani Snood. Zaraz by spytała: „A ile to kosztuje?” Wstąpisz na drinka?

Ciągle czułem się zgnębiony i niepewny. Gdyby mi zaproponowała coś takiego parę godzin wcześniej, kiedy ją podejrzewałem, mógłbym przypuszczać, że to będzie zasadzka i że

gdzieś za tą żelazną kratą czeka na mnie Halliday lub Junior. Obecnie, gdybym przyjął jej zaproszenie, jedynym, czego mogłem oczekiwać, byłaby jakaś nowa zalotna scena. Na to nie miałem ochoty.

– Dziękuję bardzo – odmówiłem – ale mam wrażenie, że będzie lepiej, jeśli na tym pożegnaniu zakończę ów burzliwy dzień.

Położyła pieszczotliwie rękę na moim ramieniu i powiedziała:

– Ach, więc ciągle jeszcze uważasz mnie za nudziarę.

– Nie, Vero... – zaprotestowałem.

Ale zaraz, nie wiem już po raz który, wzięła w niej górę burzliwa natura. Zaczęła mówić głośno, niemal teatralnie:

– Wobec tego idź sobie. Niech cię znów pobiją i zedrą ubranie i siedź sobie goły, a zobaczysz, że nie kiwnę palcem. Och, Peter, doprowadzasz mnie do szału! Chodzi mi o moją dumę. Zraniłeś moją dumę. Idź już sobie i to szybko!

Pociągnęła za staroświecki sznur od dzwonka wiszący przy jednym z filarów żelaznych wrót. Odwrócona do mnie plecami stała w milczeniu, stukając obcasikiem w chodnik, dopóki brama się nie otworzyła, ukazując starego służącego w uniformie. Powiedziała do niego coś bardzo szybko po hiszpańsku i stary człowiek odszedł.

Jeszcze chwilę stała odwrócona do mnie plecami, kompletnie mnie ignorując. Potem nagle odwróciła się w moją stronę z przyjacielskim, życzliwym uśmiechem. Gniew znów szybko ją opuścił.

– Ciągle jeszcze jestem wściekła – przyznała. – Bardzo wściekła. Ale udaję, że nie. Jestem bardzo opanowana. Wiem. Nienawidzę cię, ale przyrzeknij, że będziesz ostrożny. Nie pozwolisz, żeby gonili cię chłopcy z klatkami na papugi. Przyrzekasz?

– Przyrzekam.

Spojrzała w dół ulicy. Było pusto z wyjątkiem jasnoniebieskiego sedana, zaparkowanego nieco dalej, pod latarnią.

– Zdaje się, że to taksówka. Ulice są ciemne i puste. Weź taksówkę, dla twojego bezpieczeństwa.

W Meksyku taksówki wyglądają jak zwyczajne samochody, z tą różnicą, że mają mały napis na tekturce, tuż pod wycieraczką:

„Libre”.

Widziałem taki znak. To na pewno była taksówka.

– Oczywiście – odpowiedziałem. – Pojadę taksówką.

Pochyliła się ku mnie i pocałowała impulsywnie w usta.

– Może jutro nie będę wściekła. Nie wiem, zobaczymy. Ale dzisiaj palę się cała po prostu! Dobranoc, ty nieznośny!

– Dobranoc, Vero.

Minęła żelazną bramę i weszła do widniejącego w głębi patio. Za nią pojawił się stary służący. Zamknął bramę i założył od środka Ciężki, żelazny łańcuch.

Pozostawiony sam na pustej ulicy poczułem się niezadowolony i smutny. Żałowałem, że nie przyjąłem jej zaproszenia. Chociaż nie czułem się w tej chwili w najmniejszym stopniu zagrożony, brakowało mi jej ciepła. Chwilę stałem jeszcze przed bramą, zanim ruszyłem w stronę jasnoniebieskiego samochodu. Kierowca widząc mnie, zapalił światła. Kiedy byłem przy taksówce, nie nachylając się do okienka podałem adres, na co kierowca odpowiedział:

– Dwa pesos.

To mi odpowiadało. Otworzyłem tylne drzwi i zacząłem wsuwać się do środka. Przy okazji spojrzałem machinalnie w lusterko wsteczne. Spoglądało z niego na mnie dwoje czarnych, czujnych oczu. Zerknąłem wtedy na samego kierowcę. W słabym świetle latarni zobaczyłem pięknie zaokrąglony młody policzek i długie, dziewczęce rzęsy.

Przez chwilę przemknęła mi przez głowę myśl, że chyba nie jestem przy zdrowych zmysłach, że mam przywidzenia, ale po chwili cofnąłem się o krok. Kierowca natychmiast odwrócił się i spojrzał mi prosto w twarz.

Oczywiście nie było to bynajmniej przywidzenie. Taksówka wcale nie była taksówką, był to normalny samochód, zamaskowany jedynie tekturową tabliczką przyczepioną do szyby pod wycieraczką.

Za kierownicą siedział Junior, trzymając w ręku wycelowany w mój brzuch rewolwer.

Ogarnęło mnie jakieś dziwne uczucie nierealności.

– Co to za pomysł? – powiedziałem wściekły, robiąc unik. – Czy potrzebujesz jeszcze jednego garnituru?

Zamiast odpowiedzi otworzył przednie drzwi i powiedział krótko:

– *Subase*.

Znaczyło to: „Wejźdź”. Akurat to wyrażenie znałem. Junior nie uznałby odpowiedzi przeczącej. O tym również wiedziałem. Zaniechałem pierwotnego pomysłu, aby szukać schronienia w przedsionku pałacu Very. To było zbyt ryzykowne. Beznadziejna była także próba zwrócenia na siebie uwagi jej starego służącego.

Rewolwer błysnął w świetle księżyca.

– *Subase* – powtórzył.

Nie podobał mi się spokój w jego głosie. Nie podobał mi się ten widok młodego, ładnego chłopca siedzącego tak w tym samochodzie, z nie tajoną nienawiścią na twarzy i rewolwerem w dłoni. Ciągle jeszcze wahałem się, szukając jakiegoś wyjścia z sytuacji, chociaż wiedziałem, że go nie znajdę.

– *Subase* – rzucił po raz trzeci, a jego bystre oczy, wpatrzone we mnie z tajemniczą urazą, przeniosły się po chwili na rewolwer.

– No dobra – poddałem się. – Jestem do twojej dyspozycji.

Postąpiłem krok w stronę otwartych drzwi samochodu. Jego powieki zamrugały, zdawało mi się, że w jego wzroku czytam pytanie: „Ciekaw jestem, czy mnie zaatakuję?” Oczywiście że nie miałem żadnej szansy, zważywszy otwarte drzwi, kierownicę i dźwignię zmiany biegów oddzielające nas od siebie.

Już miałem wsiadać do samochodu, kiedy nagle ktoś położył mi z tyłu rękę na ramieniu i szarpnął w tył. Znany, amerykański bełkotliwy głos zawołał:

– Peter, stary przyjacielu! Co to za pomysł brać taksówkę? Czyżby ogarnęło pana takie lenistwo? Po szampanie dobrze jest zrobić spacerek. Oto, czego panu potrzeba... Małego spacerku!

Pozwoliłem się zawrócić w miejscu. Za mną stał uśmiechnięty i rozpromieniony Bill Halliday. Machnął Juniorowi, nakazując, by

odjechał, a sam wsunął mi rękę pod ramię i pociągnął wzdłuż ulicy.

– Taksówka! – kpił. – Facet w pana wieku i taksówka! Zachowuje się pan jak stara baba, Peter...

Nie miałem pojęcia skąd i jakim cudem się tu znalazł. Mniejsza zresztą o to. Słaba latarnia uliczna przed nami oświetlała skrzyżowanie. Kiedy ruszyliśmy w tym kierunku, czekałem na odgłos strzału Juniora.

Nic takiego jednak nie nastąpiło. Doszliśmy do rogu i skręciliśmy. Taksówka nawet nie ruszyła z miejsca.

Halliday szedł zygakiem, chwilami opierał się ciężko o mnie.

– Strzemiennego – mruzczał pod nosem. – Mieszkam zaraz obok, za rogiem. Wstąpimy do mnie na strzemiennego, stary. Nie ma nic lepszego, jak jeden na sen! To chyba Gertruda Stein tak mówiła, co? Jeden na sen, jeden na sen, tylko jeden na sen...

Człowiek, który obronił mnie przed chłopcem z rewolwerem, był naprawdę tylko tym człowiekiem, który obronił mnie przed chłopcem z rewolwerem...

## XI

Byliśmy już w połowie bocznej ulicy. Przed nami błyszczała światłami bezpieczna Avenida Insurgentes. Samochód nie jechał za nami, tego byłem pewien. Poczulem lekkie odprężenie. Ale mój umysł ustawicznie jeszcze zaprzętały myśli, na które nie znajdowałem odpowiedzi. Dlaczego Junior pozwolił, żeby Halliday wyprowadził mnie spod lufy jego rewolweru? Czy dlatego, że działał na rozkaz, a nie było rozkazu zatrzymania pod obstrzałem jeszcze jednego Amerykanina? Albo też Halliday był jego szefem? Ale jeżeli to Halliday nasłał na mnie Juniora, to co miał w tym za interes, żeby mnie uratować? I czy uratował mnie rozmyślnie? Czy też był to jeszcze jeden wariant owych stu wariantów zbiegu okoliczności?

Ale kiedy Halliday idąc obok mnie chwiejnym krokiem w dalszym



ciągu po pijacku monologował, uważałem niemal za wykluczone móc wyobrazić go sobie jako człowieka zdolnego do czegokolwiek innego, niż włożyć sobie na głowę jakiś karnawałowy, bibułkowy kapelusz i dmuchać w puszczalkę.

Potem pomyślałem o Verze, jeszcze parę minut temu nadąsanej, namiętnie całującej mnie w usta, wskazującej w dół ulicy: „Koniecznie weź taksówkę” i dreszcz zwątpienia przeszył mnie na wylot. Vera pokazująca taksówkę, za kierownicą której siedział Junior z rewolwerem. Vera, która zaciągnęła mnie do Los Remedios, gdzie czyhał na mnie Junior z rewolwerem.

A może to Vera, nie Halliday? Vera współpracująca z kimś za pośrednictwem Juniora?

Doszliśmy do rogu Avenida Insurgentes. Barwne neony kilku otwartych jeszcze nocnych lokali i eleganckich kantyn, migotały w ciemnościach. Nieliczne samochody mknęły w kierunku przedmieść. Zastanawiałem się, dokąd bym teraz jechał, gdybym wsiadł do jasnyniebieskiego sedana. Nie do Very, nie do Hallidaya, to było pewne. Do jakiejś ohydnej śmierci w rowie w odludnej, surowej okolicy wiejskiej za Xochimilco? A może by stanąć oko w oko z moim istniejącym wrogiem? Ale kto to był? Pan Johnson, zatroskany z powodu operacji swojej żony? Pani Snood wtulona w swoje hotelowe łóżko z kryminałkiem z dłoni?

Tyle rozwiązań miałem do wyboru, a jednak żadne nie warte było funta kłaków. A przecież spodziewałem się, że dzisiejszy wieczór wyjaśni mi te sprawy. Tymczasem jeszcze bardziej pogmatwał wszystko.

Przeszliśmy przez Insurgentes i weszliśmy w ciemną, wysadzoną drzewami boczną uliczkę. Zdaje się, że nazywała się Dinamarca. Halliday, który wydał mi się jeszcze bardziej pijany niż w Reformie, zatrzymał się chwilejnie przed drzwiami jakiegoś nowoczesnego domu.

– Maleńki apartamencik – powiedział. – Należy do mojego przyjaciela. Podnajął mi. Zrobimy tu sobie strzemiennego, mój

przyjacielu, strzeziennego...

Kiedy szukał w kieszeni kluczy, zabrzęczały monety. Wyciągnął pęk kluczy i wybrał jeden, który włożył chwiejną dłonią do zamka.

– Rozjaśni mi w głowie taki strzezienny.

Pchnął ciężkie, oszklone drzwi i czekał z pijacką rycerskością, abym wszedł pierwszy do środka. Mogła to być pułapka. Zdawałem sobie z tego jasno sprawę. Ale jeżeli miała to być pułapka, zostałem w nią zwabiony z taką przebiegłością, że wprost trudno w to uwierzyć. Już sama ulica była przecież dla mnie niebezpieczna. Cóż mogło przeszkodzić Juniorowi ukryć się za rogiem, kiedy znowu zostałbym sam? Z tych dwu alternatyw udanie się do Hallidaya było bez porównania mniej ryzykowne.

A poza tym, przecież głównym celem dzisiejszego wieczoru było dla mnie znalezienie się sam na sam z Hallidayem. Jeżeli więc nawet moje podejrzenia poszły w innym kierunku, była to doskonała okazja zapoznania się z nim bliżej.

Wszedłem do długiego holu, który wyglądał jak z wystawy pod hasłem „Najnowsze trendy w dekoracjach wnętrz”. Halliday szedł za mną. Frontowe drzwi zamknął za nami z rozmachem i trzaskiem.

Na drugim piętrze przystanął przed apartamentem oznaczonym numerem trzy, odbył jeszcze raz swój taniec z kluczami i otworzył drzwi. Wszedł pierwszy i pomacał ścianę w poszukiwaniu przełącznika. Gdy zabłyśło światło, oczom moim ukazał się nadspodziewanie elegancko umeblowany salonik, z zasłonami w pasy i ciemnożółtymi obiciami krzeseł. Na małym stoliku do kawy stał duży bukiet różowych goździków. Cały pokój przepelniony był ich zapachem.

I był zachęcająco pusty.

– Niech pan siada, stary przyjacielu – zapraszał mnie Halliday.

Położył mi ciężko rękę na ramieniu i podprowadził do jednego z żółtych krzeseł. Zsunął z ramion płaszcz i zostawił go na podłodze, a sam podszedł do drzwi w głębi saloniku.

– Kuchnia – wyjaśnił. – Zobaczę, co też będę mógł tu dla nas

działać...

Zniknął i tylko jakieś pobrzękiwanie naczyń za drzwiami świadczyło o jego aktywności. Moment był bardzo odpowiedni z mojego punktu widzenia. Jeżeli Halliday był niewinny, to jego pijaństwo nie było udawane. Jutro rano wszystko, co mu dzisiaj powiem, za trze się w oparach alkoholu. W przeciwnym zaś razie, jeżeli zamordował Deborę Brand i ma jakieś złe zamiary w stosunku do mnie, to po prostu gra rolę pijaka. Ale i to także nie jest w tej chwili ważne. Jeżeli jest winien, to cokolwiek bym mu powiedział, on i tak to wie. Tak więc, nic mi nie grozi, chyba że posiada broń.

Wstałem więc spokojnie i przeszukałem, o ile tylko mogłem, pokój, do chwili, kiedy usłyszałem, że wychodzi z kuchni. Siedziałem spokojnie na krześle, kiedy zjawił się w saloniku, niosąc z przesadną ostrożnością dwie *cuba libre*.

– Rum, stary przyjacielu – oznajmił i podał mi szklaneczkę.

Sam przesunął się ostrożnie obok różowych goździków i opadł ciężko na sofę. Podniósł swojego drinka i powiedział, starając się mówić wyraźnie: – Zdrówko!

Ja także podniosłem swoją szklanę.

– Dziękuję – powiedziałem i postanowiłem bez ogródek przystąpić do rzeczy. – I dziękuję za uratowanie mi życia przed chwilą.

– Nie ma za co. Cała przyjemność po mojej stronie, że wyratowałem kumpla. Taki już jestem. Bill Halliday. – Wlepił we mnie oczy, a głowę przechylił na bok. – Dziękuję mi pan za ocalenie? A niby to od czego?

– Ta taksówka. Wie pan chyba, że to nie była żadna taksówka. I widział pan chyba, że kierowca celował do mnie z rewolweru?

– Groził panu rewolwerem? Pan żartuje?

– Nie. Bynajmniej nie żartuję.

Pochylił się do przodu, mrugając oczami.

– Dlaczego więc do pana celował? Dlaczego?

– Z tego samego powodu, z jakiego wałęsał się trop w trop za

mną przez cały dzień, a potem zaatakował mnie w kościele Los Remedios. I z tego samego powodu, dla którego ktoś splądrował moje mieszkanie.

Wydawał się robić nadludzkie wysiłki, żeby zrozumieć. Ale za chwilę dał spokój. Oczywiście jego zamglily się.

– Splądrował... zaatakował – mruzczał. – Nic nie rozumiem. O czym pan, do diaska, mówi?!

– Sądziłem, że pan będzie w stanie mi to wytłumaczyć.

– Ja? – zapytał wojowniczo. – Dlaczego ja? O czym tu w ogóle mowa? Czyje mieszkanie splądrowano? Bo moje nie było splądrowane. To znaczy, że pańskie tak...

– Czy zna pan może młodego chłopca, nastolatka? Ładny, młody Meksykanin. Mniej więcej dziewiętnastoletni?

– Jak się nazywa? – spytał Halliday niewyraźnie.

– Powinien pan wiedzieć, o ile jest na pańskiej liście płac...

Usiłował zrozumieć, co mówię, ale nie mógł.

– Liście płac? – powtórzył jak echo.

Ja tymczasem wpadłem na inny trop.

– Pan zabrał na lotnisku moją torbę zamiast swojej, prawda?

To sobie przypomniał.

– Oczywiście... oczywiście... pana torbę. Obydwie były gar... gabardynowe... Obie takie same. Portier. Omyłka... Głupio.

– I pytał pan o mnie portiera w hotelu Jukatan, nim jeszcze się poznaliśmy.

– Doprawdy? – wyraził zdumienie, a potem roześmiał się szeroko, jak gdyby chodziło o jakiś wspólnie obmyślany kawał. – Hej, Peter, widzę, że z pana stary żartownisi

Zdecydowałem się na ostateczny krok.

– I śledził pan Deborę Brand aż do Chichén-Itzâ.

Uśmiech znikł. Wyglądał na zaalarmowanego.

– Śledziłem? Kogo?

– Deborę Brand.

– Śledziłem Deborę Brand? Ja?

– Pan.

– Pan zwariował – powiedział z naciskiem, a potem zamruczał niewyraźnie: – Debora Brand nie żyje. Nie mogłem śledzić nieżywej dziewczyny. Po co miałbym śledzić martwą dziewczynę?

– Żeby zdobyć to, co miała, i zamordować ją.

– Zamordować ją? – po raz pierwszy podczas tej rozmowy zdradzał objawy trzeźwienia. Otworzył bezmyślnie usta. – Ona wcale nie była zamordowana. Wpadła do studni – zauważył, a po chwili powtórzył: – Wpadła przecież do studni...

– Mogła zostać zepchnięta.

– Zepchnięta? Dlaczego?

– Nie mam pojęcia – odparłem.

Wrócił na kanapę i mówił dalej:

– Więc została zepchnięta do studni? – gwizdnął przez zęby. – Co pan w ogóle o tym wie? – Jakiś rozsądniejszy wyraz pojawił się wreszcie na jego twarzy. – Ciągle pan sobie żartuje, prawda?

– Nie, proszę pana. Ja nie żartuję.

– Na pewno pan żartuje. Bo gdyby pan naprawdę sądził, że została zamordowana, to wie pan, co by pan zrobił? Poszedłby pan na policję w Meridzie...

Spojrzał na mnie triumfująco.

– Nie wybrałem się wówczas na policję, ponieważ nie miałem żadnych dowodów.

Skinął potakująco, jak gdyby chcąc dać mi do zrozumienia, że doskonale to pojmuje.

– A teraz ma pan jakieś dowody?

– Po prostu takie, że ścigają mnie uzbrojeni ludzie.

– Dlaczego ścigają pana uzbrojeni ludzie?

– Przypuszczam, iż dlatego, że sądzą, że z nią współpracowałem. Myślą, że posiadam to, czego szukają. Tymczasem przypadkowo rzecz ma się tak, że to nieprawda. Bo ja tego nie mam.

Jego twarz wykrzywiła się w grymasie koncentracji. Dłuższy czas siedział w milczeniu. Oczekiwałem, że raptem wyjedzie z czymś

całkiem przytomnym, ale się pomyliłem. Jeszcze głębiej zapadał w bezmyślność. Zamknął oczy.

Dalsze prowadzenie tej nedorzecznej rozmowy wydało mi się bezcelowe. W tej chwili byłem tak samo przekonany o tym, że jest niewinny, jak o tym, że jest kompletnie pijany. Z pewnością nie było sensu odgrywać takiej sceny, gdyby był oszustem. Oczy ciągle miał jeszcze zamknięte, głowa mu się kiwała.

Wstałem więc i powiedziałem:

– Bardzo dziękuję za drinka, ale teraz już na mnie czas.

Otworzył oczy, popatrzył na mnie nieprzytomnie, potem z wielkim wysiłkiem wstał, powędrował do okna i odsunął jedną z pasiastych zasłon.

– Okropnie tu duszno – zauważył. – Naprawdę duszno. – Zaczął coś majstrować przy klameczce od okna.

Podszedłem do niego z wyciągniętą dłonią.

– Dziękuję jeszcze raz, Halliday. Na mnie już czas.

Otworzył okno do środka, przeklinając przy tym pod nosem.

– Co to ma znaczyć? Idzie pan? To nie ma sensu. Mamy tu moc łózek... Naprawdę, chce pan iść? Mógłby przecież pan tu zostać? Och, Peter...

Nie dokończył zdania. Przytrzymał się ciężkiej zasłony w oknie, żeby utrzymać się w pozycji stojącej. Zdawało się, że za chwilę całkiem straci przytomność.

– Ale ja muszę – zacząłem mówić i nagle urwałem.

Z miejsca, w którym stałem, widać było całą, długą, słabo oświetloną ulicę. O kilka domów dalej stał dobrze mi znajomy, jasnoniebieski sedan. W chwili, gdy go dojrzałem, kierowca wyrzucił przez okno niedopałek papierosa, który jak iskierka zatoczył koło i spadł. Nie widziałem go, ale mogłem sobie wyobrazić za kierownicą jego gładką, chłopięcą twarz, zmęczoną i niewyspaną, jego szeroko otwarte cierpliwe oczy, wlepione w drzwi mieszkania Hallidaya.

Junior wrócił. Czekał. Zrobiło mi się trochę nieprzyjemnie.

Zwróciłem się do Hallidaya i zacząłem: – No... jeżeli to panu nie

sprawi różnicy i jest pan tak uprzejmy...

Mruknął coś znowu. Spoza okularów w szylkretowej oprawie jego małe oczy wpatrywały się we mnie z roztargnieniem. Powoli ręka puściła zasłonę. Oparł się mocniej o mnie, jak gdyby chciał mnie objąć. Potem kolana się pod nim ugięły i osunął się na podłogę.

Przyjęcie było skończone. Nadchodzi... kac. Zajrzałem do sąsiedniego pokoju i zobaczyłem sypialnię z dwoma łóżkami. Zaciągnąłem go tam i położyłem na jednym z łóżek. Zsunąłem mu buty, przykryłem dodatkowym pledem i tak go zostawiłem. A ponieważ nie bardzo wierzyłem w zbiegi okoliczności, zrobiłem jeszcze szybki, ale staranny przegląd mieszkania. Nie znalazłem jednak nic ciekawego.

Wróciłem do sypialni i wyjrzałem przez okno. Niebieski sedan ciągle jeszcze czekał na dole. Z niejakim zadowoleniem skonstatowałem, że Junior miał ciężki dzień. Jutro będzie bardzo zmęczony.

Ja też czułem się zmęczony. Nie miało sensu czuwać dłużej. Rozebrałem się więc i wsunąłem do drugiego łóżka. Halliday oddychał ciężko, ale przynajmniej nie chrapał. Zgasilem światło. Po kilku minutach ja również zasnąłem.

Nazajutrz obudziło mnie wesołe, jasne słońce. Mój zegarek wskazywał 8.30. Przypomniawszy sobie wczorajszy dzień, spojrzałem na drugie łóżko. Halliday leżał tak, jak go położyłem, przykryty tym samym pledem. Wstałem i podszedłem do okna.

Ulica wyglądała jak co dzień. Pielęgniarka pchała przed sobą dziecięcy wózek. Starszy mężczyzna ciągnął wózek z lodem. Dwa psy obwąchiwały wzajemnie swoje krótkie ogony.

Bładoniebieski sedan zniknął.

Poczułem się wesoły i rześki. Poszedłem do łazienki i wziąłem gorący prysznic. W apteczce Hallidaya znalazłem brzytwę i przybory do golenia. Kiedy się goliłem, poczułem do mego gospodarza niemal uczucie miłości. Okay, był starym nudziarzem, lubiącym opowiadać tłuste kawały i źle znoszącym alkohol. Ale w każdym razie wyratował

mnie z opresji i podzielił się ze mną swoją wygodną sypialnią.

A o Deborze Brand wie tyle samo co ja, albo i mniej.

Moje śliskie od mydła palce straciły panowanie nad brzytwą i poczułem jak ostrze przecina mi policzek. Krew zaczęła mi spływać na brodę. Zakląłem, zacząłem szukać waty. Nie znalazłem, spróbowałem więc zatamować krew ręcznikiem. Wreszcie spostrzegłem sztyfcik ałunowy i przytknąłem do ranki. Ale na ręczniku została krwawa plama.

Z prawej strony umywalki stał kosz na brudną bieliznę. Otworzyłem go, aby wrzucić poplamiony ręcznik. I wtedy zobaczyłem to.

Czerwony, błyszczący przedmiot między brudną bielizną i ręcznikami. Spojrzałem jeszcze raz, a potem jeszcze raz. Zaciekawiony sięgnąłem do kosza i wyjąłem intrygujący mnie przedmiot na wierzch.

Była to damska kopertówka. Trzymałem ją w ręce, a obrazy z niedawnej bytności w Jukatanie wróciły z nową siłą. Otworzyłem zameczek. W środku były różne kobiece drobiazgi: biała chusteczka do nosa, szminka, puderniczka, lusterko, drobne pieniądze. Ale cała moja uwaga skupiła się na chusteczce.

W jednym rogu były wyhaftowane pięknie inicjały: D.B.

## XII

Patrzyłem jak urzeczony na czerwoną torebkę. Otaczające mnie białe, wyłożone kafelkami ściany przytulnej łazienki zdawały się zaciskać dokoła mnie i dusić. Torebka nie wpadła do *cenote* razem z Deborą. Była właśnie tu, w mieszkaniu Bilia Hallidaya. Nie znaleźliśmy jej na polance, kiedy wraz z kierownikiem zajazdu pobiegliśmy tam, usłyszawszy jej krzyk. Musiał ją znaleźć i zabrać Halliday w czasie kilkuminutowej przerwy pomiędzy krzykiem Debory, a naszym przybyciem do studni.



Jeżeli ten fakt nie był dowodem, że Halliday był mordercą Debory, to przybliżał on niezwykle tę możliwość.

Pod tym nowym kątem starałem się spojrzeć na wczorajsze zachowanie się tego człowieka. Jedno było pewne, że zrobił ze mnie stuprocentowego durnia – udawał pijanego. Umyślnie wyratował mnie od rewolweru Juniora i umyślnie sprowadził tutaj, do swego mieszkania.

Ale po co? Czy żeby uchronić mnie przed tym, który wynajął Juniora? Czy odchylając zasłony dał mi delikatnie do zrozumienia, że jasnoniebieski sedan wrócił i że bezpieczniej byłoby dla mnie spędzić noc u niego? Ale z jakiego powodu chciał mnie oszczędzić? A może istnieją dwie grupy, dwa gangi pragnące przywłaszczyć sobie coś, co znajdowało się w posiadaniu Debory? Jednych reprezentował Junior, a drugich Halliday? Każdy z nich usiłował nie dopuścić do kontaktu z przeciwnikiem? Wszystko jedno, cokolwiek to było, musiało to być coś niesłychanie ważnego. Ale skoro Halliday pragnął zdobyć coś niesłychanie ważnego, będącego w moim posiadaniu, to czemu nie zrobił tego wczoraj wieczorem? Dlaczego stracił tyle energii na odgrywanie roli pijaka?

Wszystkie te wątpliwości dręczyły mnie i nie dawały spokoju. Jedną pewną rzeczą w tym wszystkim było to, iż jestem w te sprawy nieodwracalnie wplątany. Pomyślałem, że w sąsiednim pokoju leży Halliday pozornie oglupiały od alkoholu. Czy powinienem pokazać mu czerwoną torebkę i udowodnić, że oszukuje mnie? Była to wielka pokusa, ponieważ wolałbym zaryzykować wszystko, aniżeli pozostawać w niepewności. Potrafiłem jednak tę pokusę zwalczyć.

Nikt tak sprytny jak Halliday nie da się ani przez zaskoczenie, ani ewentualnie nawet przy pomocy szantażu skłonić do powiedzenia mi czegokolwiek, czego nie chciałby powiedzieć. Przy aktualnej ocenie sytuacji jest pewien, że udało mu się mnie oszukać. Rozsądniej było utrzymać go w tym przekonaniu.

Przeszukałem zawartość torebki, posuwając się nawet do rozkręcenia szminki i puderniczki. Nie znalazłem absolutnie nic

innego ponad to, co zwykle dziewczęta noszą w torebkach. Brakowało jednak jednej rzeczy, jaka tam powinna być. Debora powiedziała mi, że nie zdążyła na połączenie lotnicze do Mexico City. W torebce powinien więc być bilet do Mexico. A jednak go nie było. Czyżby trzymała go gdzie indziej? Albo skłamała? A może zabrał go z torebki Halliday?

Na koniec włożyłem torebkę z powrotem do kosza na brudną bieliznę, tak jak ją znalazłem, i wróciłem do sypialni.

Halliday jeszcze spał, albo udawał, że spał. Nie poruszył się także przez cały czas, jak się ubierałem.

Napisałem więc na kartce parę słów: *Dziękuję, że pan nie chrapał*. Może się domyśli, a może i nie. Było mi wszystko jedno. Oparłem kartkę o wazon z goździkami w saloniku i cicho wysunąłem się z mieszkania.

Plac Waszyngtona znajdował się o kilka przecznic dalej w dole ulicy. Poszedłem wolnym, spacerowym krokiem w stronę małego skwerku i skręciłem w Kiko. W najbliższym lokaliku zamówiłem sok pomarańczowy i kawę. Dobrze było otoczyć się czymś amerykańskim. To przypomniało mi, że będę w Stanach może już jutro.

Nieliczni klienci zajmowali miejsca przy czerwono pomalowanych stolikach. Panował tu nastrój spokoju i rozleniwienia. Ale prześladowający mnie obraz czerwonej torebki Debory nie pozwalał mi rozkoszować się tym nastrojem. Zastanawiałem się, po co Halliday trzyma tę torebkę, skoro nie ma w niej nic szczególnego, a jej obecność w jego mieszkaniu może tylko wzbudzić podejrzenia. Oczywiście, starał się ją ukryć w takim miejscu, gdzie było najmniej prawdopodobne, że ktokolwiek może zajrzeć. Ja jednak ją znalazłem i w jednej chwili przysł majak głupkowatego turysty, którego rolę tak starannie i genialnie przez cały czas odgrywał.

Ale ponieważ kimkolwiek Halliday był, to z całą pewnością nie był głupcem. Musiał mieć jakiś sensowny powód, że nie zostawił torebki gdzieś w głębi puszczy Jukatanu.

Ale jaki to mógł być powód?

Żwawa kelnerka w nakrochmalonym czepeczku przyniosła tymczasem zamówiony sok pomarańczowy. O ile mogłem się domyśleć, istniała tylko jedna przyczyna przechowywania torebki: wbrew pozorom nie był on stuprocentowo przekonany, że przedmiot, którego poszukuje, nie znajduje się w torebce. A więc chodziło o naprawdę drobną rzecz. Ale nie mogła być przecież niewidzialna.

A może? Może to była jakaś informacja? Jakieś polecenie, instrukcja napisana atramentem sympatycznym? Czy Halliday chce przetrzymać torebkę dopóki nie podda jej zawartości analizie chemicznej?

Kelnerka przyniosła kawę i postawiła ją hałaśliwie na stoliku, poprawiając sobie włosy z tyłu głowy. Kiedy podniosłem głowę, by na nią spojrzeć, zauważyłem siedzącego przy sąsiednim stoliku jakiegoś mężczyznę. Był dość otyły, starannie ogolony, w modnych okularach przeciwsłonecznych. Oparta o cukierniczkę stała przed nim książka w kolorowej okładce, zdradzająca, że jest to kryminał. W Meksyku czytuje się więc publicznie kryminały i dreszczowce!

Ten wizualny motyw nasunął mi przypomnienie kryminału, jaki dała mi Debora. Kilkakrotnie myślałem o nim poprzedniego dnia, ale ponieważ ciągle mi się wydawało, że chodzi o klejnot, albo o jakiś dotykalny przedmiot, niemożliwy do ukrycia w książce, nigdy nie brałem tej sprawy serio. Byłem pewien, że Debora nie dałaby mi nic, mającego poważniejsze znaczenie. Ale mogłem się mylić.

Można przecież przesłać w książce jakąś zaszyfrowaną wiadomość.

Może więc „Niewłaściwa zbrodnia” Craig Rice jest tym przedmiotem, który jest przez cały czas celem ich poszukiwań?

Ktoś z gości wrzucił monetę do grającej szafy i rozległy się taneczne tony *La Barca de Oro*, zagłuszając szcęk szklanek i filiżanek. Dopiero teraz po raz pierwszy zacząłem zastanawiać się nad pozornie bezsensownym zachowaniem się Debory w dzień jej śmierci.

Przypuśćmy, że umówiła się z kimś na spotkanie przed śniadaniem i że spotkanie to miało się odbyć przy *cenote*. Niewykluczone, że był to ów mężczyzna, którego widziałem przyczajonego pod jej oknem w ogrodzie hotelu. Studnia, znajdująca się na uboczu, mogła być wymarzonym miejscem na tajemnicze rendez-vous. Przypuśćmy dalej, że ten mężczyzna był kimś, komu nie ufała stuprocentowo.

Mogła mnie zabrać ze sobą jako obstawę, a niejako uczestnika spotkania, w każdym razie widocznie chciała, żeby osoba, z którą miała wyznaczone spotkanie, widziała mnie. Jeżeli zaś jej partner już czekał na nią gdzieś w ukryciu, przy *cenote*, to mógł przypuszczać – widząc, że mnie odesłała – iż znajduję się jednak ciągle na straży, jako jej ochrona.

Przypomniało mi się wrażenie fałszu czy nieszczerości, jakie zrobiła na mnie Debora, prosząc, bym przyniósł jej aparat fotograficzny z pokoju hotelowego. A może to nie był fałsz, tylko nagła zmiana projektu? W ostatniej chwili jej nieufność do człowieka, z którym miała się zobaczyć, tak silnie wzrosła, że pod wpływem impulsu wręczyła mi na przechowanie coś, co miała najcenniejszego – mianowicie książkę?

To mogłoby także wyjaśnić powód, dla którego została zamordowana. Osoba, z którą miała się spotkać przy *cenote*, pragnęła zdobyć cenną informację, ukrytą w jakiś sposób w kryminale. Debora wymawiała się, podała jakiś wymyślony powód, dla którego nie przyniosła ze sobą książki, a wtedy ten ktoś ją zabił.

Widziałem oczami wyobraźni Hallidaya, patrzącego w dół, przez swoje oprawne w szylkret okulary, schylającego się, by chwycić czerwoną torebkę, przeszukującego ją i nie znajdującego tego, czego się spodziewał.

Tymczasem szafa przestała grać. Na skwerku słychać było instrumenty dęte, dominujące nad werblami bębnow. Dojrzałem szereg nagich ramion opalonych na brąz i jaskrawych kostiumów. Był to jakiś pochód sportowy, prawdopodobnie piłkarski, mający dowodzić, jakim rozmiłowanym w sporcie krajem jest Meksyk.

Chaotyczna walka, jaka się odbyła w ciągu 24 godzin, a dotycząca mojej osoby, zaczynała nabierać trochę komicznego aspektu. Splądrowano moje mieszkanie, dokonano na mnie napadu, a wreszcie próbowano porwać, a wszystko po to, żeby zdobyć tani egzemplarz kryminału. A przez cały ten czas książkę tę czytała Lena Snood, wtulona rozkosznie w wygodne łóżko i szykująca się do snu.

Zawołałem więc: *La cuenta, Señorita!* w kierunku grupy kelnerek zebranych przy kontuarze. Kelnerka, która mnie obsługiwała, podeszła z ołówkiem wpiętym we włosy jak szpilka i zaczęła zapisywać coś na kartce.

Nagle uderzyła mnie niespodziewanie bardzo ważna myśl. Wczorajszego wieczoru, przy stoliku w restauracji, przy Hallidayu, Verze i młodym żonkosiu z Jukatanu, pani Snood zaczęła coś mówić o książce. Przypomniała mi się jej ptasia twarz, zarumieniona od szampana, i słowa: „To było straszne. Biedna dziewczyna! Tuż przed śmiercią dała Peterowi książkę. A on pożyczył ją mnie. Za każdym razem, kiedy zaglądam do niej...”

Halliday, Vera, młody żonkoś – jedyne osoby mogące być zamieszane w zbrodnię – jednym słowem wszystkie te osoby dowiedziały się wczoraj, że to pani Snood, a nie ja, jest w posiadaniu „Niewłaściwej zbrodni”!

Tą jedną zwyczajną towarzyską uwagą pani Lena Snood znalazła się na ścieżce wiodącej do zbrodni.

Zapłaciłem rachunek drżącymi rękoma. Nareszcie zrozumiałem, jak mi się zdawało, grę Hallidaya... Nalegał, żeby pani Snood zaprosiła mnie na wieczór, ponieważ ciągle jeszcze myślał, iż to ja mam tę książkę, i umówił się potem z Juniorem, żeby mnie zabrał taksówką do domu. A może i Vera, jeżeli i ona bierze w tym udział, dlatego poprosiła mnie, abym odprowadził ją do domu, żeby dać Juniorowi możliwość łatwiejszego działania na puste, ciemnej ulicy. Ale z chwilą, gdy Lena Snood zdradziła się, że książka jest u niej, całe zainteresowanie skoncentrowało się na jej osobie. I to dlatego Halliday uratował mnie przed Juniorem, którego nie zdążył

zawiadomić o zmianie planu, i dlatego zatrzymał mnie na noc, chcąc między innymi uniemożliwić mi skontaktowanie się z Leną Snood.

Bo Halliday na pewno myślał, że wiem więcej niż w rzeczywistości. Prawdopodobnie był przekonany, że ja umyślnie oddałem książkę pani Snood, jako przezorne zabezpieczenie tajemnicy.

– Gdzie tu jest telefon? – spytałem szybko kelnerki.

Wskazała ołówkiem budkę telefoniczną przy otwartych drzwiach kiosku. Pobiegłem tam i zacząłem przerzucać książkę telefoniczną w poszukiwaniu numeru hotelu Reforma. Znalazłem i wykręciłem numer.

Wszystko mogło się przytrafić tej biednej kobietce z Newark. A wszystko przeze mnie.

Telefony meksykańskie są bardziej kapryśne niż primadonny operowe. Wykręcenie numeru hotelu nie odniosło żadnego skutku. Nakręciłem ponownie i usłyszałem jakieś dziwne gdakanie. Wykręciłem po raz trzeci. Cisza. Dopiero po dłuższej chwili dostałem połączenie. Muzyka z pochodu piłkarskiego na ulicy trochę przycichła, ale ciągle była jeszcze tak głośna, że musiałem zatkać sobie jedno ucho.

Wesoły głos kobiecy rzucił:

- Hotel Reforma. *Buenos dias*.
- Poproszę z panią Snood. Leną Snood z pokoju 74.
- *Bueno?* – głos w słuchawce był zdziwiony.
- Señora Snood! – powtórzyłem głośniejszym głosem, chcąc przekrzyknąć głosy trąbek. – Numero 74!
- Chwileczkę – powiedział głos w doskonałej angielszczyźnie. – Zaraz pana połączę, sir.

Usłyszałem brzęczyk. Brzęczał i brzęczał bardzo długo, a ja coraz bardziej upadałem na duchu. Głos odezwał się znowu śpiewnie:

- Bardzo mi przykro, ale numer nie odpowiada. Życzy pan sobie zostawić jakieś polecenie?
- Nie. Dziękuję.

Odłożyłem gwałtownie słuchawkę i wypadłem na skwer. Dzieci bawiły się, mocowały, przewracały na wąskim pasie wysuszonej trawy pod pomnikiem Waszyngtona. Zobaczyłem taksówkę, tym razem nie była jasnoniebieska. Skinąłem na nią i wskakując do środka, zawołałem: – Hotel Reforma.

Kierowca skręcił w Londres. Przed nami, kompletnie blokując drogę, maszerował pochód niebiesko-pomarańczowych piłkarzy. Przez kilka minut wlekiśmy się za nimi, podczas gdy mój niepokój narastał z każdą chwilą. Wreszcie kierowca skręcił w Calle Berlin i przyspieszył. Po upływie nie więcej niż dwóch minut znaleźliśmy się przed podjazdem hotelu Reforma.

Zapłaciłem mu horrendalną kwotę dwóch i pół pesos, jakiej zażądał, i wpadłem jak szalony do hallu. Roje Amerykanów w strojach wycieczkowych kręciły się w poszukiwaniu przewodników, dając się tymczasem naciągać różnym drobnym handlarzom. Rozglądałem się zaniepokojony wśród roju turystów. Ani śladu nieposkromionej, drobnej postaci Leny Snood.

Poszedłem do biura recepcji. Elegancki młody człowiek z wąsikami i olbrzymim sygnetem z ametystem podszedł do mnie z za biurka.

– Chciałbym się zobaczyć z panią Snood. Nie wie pan, czy jest u siebie? – zapytałem recepcjonistę.

– Pani Snood? Taka niewysoka dama, sir? – wskazał gestem przybliżony wzrost. – W zielonym kostiumie?

– Właśnie, właśnie! – zawołałem.

– Niestety, sir – powiedział, kiwając głową. – Wyjechała mniej więcej przed pół godziną.

Ucieszyłem się, że przynajmniej nie sprawdziły się moje najczarniejsze przeczucia. Nie umarła tej nocy. Spytałem więc jeszcze:

– A może orientuje się pan, dokąd wyjechała?

– Oczywiście, sir. Zatrzymała się tu na moment, by zrealizować czek turystyczny. Bardzo miła, przyjacielska dama. Powiedziała mi,

że wybiera się do wiszących ogrodów Xochimilco.

– W grupie z przewodnikiem?

Pozwolił sobie na niemal intymny uśmiech.

– Nie przypuszczam, sir. Powiedziała mi, że grupy z przewodnikiem wydają się jej zbyt drogie. Pojechała taksówką.

To była cała pani Snood! Dziwiłem się, że nie wpadła na pomysł, by pojechać tam autobusem.

Na chybił trafił spytałem jeszcze:

– Nie przypuszczam, żeby pan zauważył, czy miała ze sobą jakąś książkę?

– Tak jest, sir, miała. Odłożyła ją na biurko, kiedy realizowała czek. Zauważyłem tę książkę – minę miał nieco zdziwioną. – Ot, taka niewielka książeczka, sir. Jedna z tych historii detektywistycznych w kolorowych okładkach.

Przez moment stał tak, przypatrując mi się, najwidoczniej trochę zakłopotany. Potem odchrząknął i zapytał:

– Przepraszam pana, czy może pan Duluth?

– Owszem – odpowiedziałem z nagle obudzonym podejrzeniem.

– A czemu pan o to pyta?

– Gdyż ten młodzieniec, którego pan przysłał, żeby się dowiedział o panią Snood, dosłownie przed chwilą stąd odszedł.

– Młodzieniec?!

– Tak. Taki młody chłopiec, proszę pana. Poślaniec...

Z twarzą jak u aniołka i rewolwerem na biodrze. Junior.

– I powiedział mu pan, dokąd pani Snood pojechała?

– Oczywiście, sir. Powiedział, że to bardzo ważne, że pan koniecznie chciał się z nią zaraz zobaczyć. Czy postąpiłem niestosownie, sir? – spytał zaniepokojony.

– Nie, nie, broń Boże – usiłowałem się uśmiechnąć. – Niemal zapomniałem, że go wysłałem.

W każdym razie pani Snood ma ze dwadzieścia minut przewagi, pocieszałem się. Czepiałem się tej myśli dla podtrzymania na duchu.

W każdym razie jeszcze żyje...



## XIII

Odwrociłem się gwałtownie od biurka i zacząłem się przeciskać przez grupy elegancko ubranych amerykańskich turystów. Pani Snood miała wprawdzie dwadzieścia minut przewagi, ale Junior miał swój jasnoniebieski samochód. Jeżeli się pośpieszy, może przybyć do Xochimilco prawie równocześnie z nią.

W pierwszej chwili chciałem już wskoczyć do taksówki i gonić ich. Nie ufałem jednak mojej hiszpańczyźnie na tyle, żeby się decydować na takie eskapady. Nagle przyszła mi do głowy Vera Garcia. Bez względu na to, czy była, czy nie była zamieszana w tę konspirację, warto było narazić się na ryzyko, jeżeli tym kosztem mogłem zdobyć jej auto. Pośpieszyłem do budek telefonicznych mieszczących się w rogu hallu. Błyskawicznie znalazłem numer i wykręciłem. Vera sama podniosła słuchawkę.

– To ty, Peter? – głos jej brzmiał wesoło i radośnie. – Spodziewałam się tego telefonu. Wczoraj wieczorem byłam okropnie wściekła. Ale dziś już nie jestem taka wściekła...

– To bardzo dobrze – powiedziałem. – Posłuchaj mnie, Vera. Chciałabyś mi pomóc?

– Oczywiście! Tak, tak.

– To wspaniale. Jestem w tej chwili w hotelu Reforma. Przejedź tu zaraz swoim samochodem. To bardzo ważne.

– Zaraz tam przyjeżdżam.

– I nie guzdrz się. Nie bądź taka, jak wszystkie artystki i nie siedź godzinami przed lustrem.

– To znaczy, że chcesz, żebym przyjechała tak jak stoję?

– Tak!

– Właśnie wyszłam z wanny – zachichotała. – Ja nie mam na sobie ubrania. Ani jednej rzeczy.

– To narzuć tylko coś na siebie! Włóż cokolwiek!

– Dobrze, Peter, będę szybko.

Odwiesiwszy słuchawkę poszedłem w stronę wyjścia, gryząc

niezapalonego papierosa. Pobili mnie i starali się mnie porwać tylko z tego powodu, że myśleli, iż mam książkę. Teraz wiedzą, że to Lena ją ma. Co będą chcieli zrobić z Leną? Szczególnie, jeżeli uznają ją za moją współniczkę? Na myśl o tym przeszedł mnie dreszcz. Żałowałem, że nie spytałem Very, czy ma broń.

Długi rząd samochodów przejeżdżał przed wejściem do hotelu Reforma. Kilka meksykańskich artystek filmowych podjechało pod drzwi i wysiadło, ciągnąc za sobą niezliczone ilości najróżniejszych piesków. Srebrne lisy, uśmiechy odsłaniające olśniewające zęby, tłoczące się z boków małe grupki wielbicieli. Z ulicy dochodziły dźwięki trąbek, a po chwili ukazał się pochód piłkarzy, skręcający w Paseo.

Spojrzałem na zegarek. Dziesięć minut temu dzwoniłem do Very. I wtedy właśnie wspianały samochód wyjechał z Calle Milan, podjechał przed Reformę i gwałtownie zahamował tuż przy schodach wiodących do hotelu. Klakson zatrąbił szaleńczo. Ręka w gołębiego koloru rękawiczce zamachała do mnie z rozmachem.

Podbiegłem do auta i wskoczyłem na siedzenie obok Very.

– Dzielna z ciebie dziewczyna! – pochwaliłem ją. – Wiszące ogrody w Xochimilco – rzuciłem hasło. – I pędź tak, jakby cię goniło ze sto diabłów!

Samochód ruszył przez czerwone światło, skręcił w dół Paseo. Widać było, że Vera nie lekceważy sobie koniecznego pośpiechu. Tego ranka wyglądała cudownie. Gołębiego koloru kostium leżał na niej idealnie i nie miała, dzięki Bogu, czasu przyozdobić go odpowiednią masą biżuterii. Nie miała także czasu na makijaż – skóra jej jaśniała jak poranne słońce. Jechaliśmy jak szaleni, nie wiedząc nawet kiedy wjechaliśmy na wyjazdową drogę.

W pewnej chwili pomyślałem, że wołałbym, aby nie było tego całego zachodu i pośpiechu, żeby była po prostu tylko Vera. Kiedy wóz zmierzał ku przedmieściom, odezwała się po raz pierwszy:

- Możesz mi coś powiedzieć? Uciekamy czy gonimy?
- W tej chwili gonimy.

- Chłopaka z klatką na papugi?
- Też.
- I kogo jeszcze?
- Panią Snood.
- Panią Snood? – długie, gęste rzęsy zatrzepotały nad jej wspaniałymi oczami. – Czy to pani Snood pchnęła tę dziewczynę do *cenote*?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, dodała:

- Wiem, że ty nie lubisz pytań. Ja jestem dzisiaj bardzo dobra. Żałuję, że byłam wściekła. Ja po prostu prowadzę. Prędko! Prędko!

Wyprzedziła zatłoczony autobus drugiej klasy, pełen kobiet, mężczyzn, dzieci i zwierząt, skupiając całą uwagę na swoim wozie. Zdołała jednak skierować moje myśli w całkiem innym kierunku. Jak dotychczas ani przez chwilę nie wątpiłem w autentyczność Leny Snood, jej małżonka – agenta rolnego, jej ładnego domu w Newark i dwu ładnych, inteligentnych córek. Była dla mnie symbolem prawdziwie amerykańskiej rodziny. Ale czemu nie mogłaby być również wspaniałą aktorką, jak Halliday? Przypomniałem ją sobie w Jukatanie, tuż po śmierci Debory, kiedy przyniosła mi do pokoju filiżankę kawy. Mogła to zrobić ze zwykłej ludzkiej życzliwości. Ale równie dobrze mogła to wykorzystać jako okazję do wdarcia się do mojego pokoju. Przypomniałem sobie, jak się krzątała, jak szczebiotała i w końcu wzięła do ręki „Niewłaściwą zbrodnię”. Może pożyczyła tę książkę całkiem niewinnie, ale... ale może była sprytniejsza od innych i od początku zorientowała się, jak ważna jest ta książka.

Wszystko, co dotyczyło Leny Snood, przewróciło się w moim pojęciu do góry nogami. Czy wczoraj przyszła do mojego pokoju w charakterze szpiega? Czy zaprosiła mnie wieczorem po to, by nasłać na mnie Juniora z niebieskim sedanem? I czy Junior teraz, przed chwilą, w Reformie, podał moje nazwisko nie jako jej wróg, ale jako jej sługus? Po raz chyba dwudziesty w przeciągu tak krótkiego czasu wszystko mi się pokiełbasiło i pomieszało. Może nawet jej wzmianka

o tym kryminałku wczoraj wieczorem była umyślna? Takie jej prywatne przesłanie dla rudowłosego żonkosia?

Podobnie jak ja muszą chyba czuć się wariaci, kiedy już nie potrafią w swojej świadomości odróżnić rzeczywistości od fantazji.

Minęła już jedenasta, dokładniej mówiąc, mniej więcej dwadzieścia minut od chwili, kiedy ruszyliśmy spod hotelu Reforma. Dojeżdżaliśmy do małego miasteczka Xochimiko. Przed nami rysował się kontur starożytnego, różowo-brązowego kościoła, z nadmiernie wydłużonymi wieżyczkami. Indiańskie dziewczęta przysiadły przed żelaznymi kratami okalającymi targ, z olbrzymimi pękami pięknych szkarłatnych, różowych i kremowych goździków, z których słyneło miasteczko. Vera skręciła ostro i wjechała w wąską dróżkę wiodącą między czerwonymi domami, oplecionymi krzewami bugenwilli ku prymitywnej przystani, gdzie można było wynajmować łódki.

Jak tylko zaparkowała, otoczyły nas roje właścicieli łódek, dziewcząt sprzedających kwiaty, mężczyźni oferujących skórzane szpicruty i pejcze, oraz ohydne dewocjonaia. Przepchnęliśmy się między nimi do końca kanału. Przed nami na spokojnej, zielonej od wodorostów wodzie, tuziny łódeczek i większych łodzi tłoczyły się jak stado hipopotamów. Na wodzie pływały staroświeckie barki, z błyszczącymi w słońcu, opartymi na czterech drewnianych nogach kwiatowymi dekoracjami, a każda miała wyhaftowane albo ułożone z kwiatów nazwy

– *Rosita, Lupita, Amelia, Carmen*. Brzegi roiły się od spacerowiczów, turystów, właścicieli łódek do wynajęcia i małych chłopców, usiłujących zdobyć parę pesos od kogo się dało. A cały ten tłum gadał, śmiał się i handlował jak szalony.

Rozglądałem się wśród tego wirującego tłumu, szukając Leny Snood. Ale nigdzie nie było widać jej śladu. Właściwie to się jej tu nie spodziewałem, w tej chwili musiała być gdzieś na kanale, o ile oczywiście dojechała tu bezpiecznie.

Dookoła otoczyli nas właściciele łódek do wynajęcia. Wszyscy

mówili jednocześnie, pokazując palcami poszczególne łódki, wymieniając ceny.

– Opisz im, jak wygląda pani Snood – zwróciłem się do Very. – Spytaj, czy ktoś jej nie widział. Powiedz, że amerykańska dama, podróżująca samotnie...

Vera zaczęła mówić po hiszpańsku. Mężczyźni skupili się jeszcze bliżej nas.

– Ma zielony kostium, jest niewysoka – podsunąłem.

Kilku mężczyzn zaczęło coś mówić równocześnie. Jeden z nich, pomarszczony, stary Indianin, z rozdartą u dołu koszulą, wysunął się do przodu, a inni, zdając sobie sprawę z jego sukcesu, rozchodzili się powoli w poszukiwaniu innej klienteli.

– Ona tu jest – powiedziała Vera. – On widział małą, amerykańską panią w zielonym kostiumie, jak przyjechała sama taksówką, jakiś kwadrans temu. Wynajęła łódkę jego przyjaciela, *Carmelitę*.

– Sama?

– Tak. Była sama.

Poczułem ogromną ulgę.

– Okay. A czy ten facet na łódkę?

– Ma, nazywa się *Lupita*. To jego łódka – wskazała dłonią.

– To weźmiemy ją. I powiedz, żeby wiosłował jak szatan. Że zapłacimy dwa razy tyle, jeżeli uda mu się ją znaleźć.

Zacząłem schodzić w dół brzegiem rzeki, a Vera i stary Indianin za mną. *Lupita* wyciągnięta była na brzeg gdzieś w środku kanału. Ruszyliśmy ku niej, przechodząc po innych łódkach jak po moście, i niebawem doszliśmy do celu. Pod płócienną markizą stały dwa drewniane krzeselka i drewniany stół. Usiedliśmy na krzeselkach, a stary Indianin odcumował liny, wziął w ręce swój długi drąg i zaczął nas pchać w kierunku zatłoczonego łódkami kanału.

Była akurat niedziela, dzień, w którym masa ludzi przyjeżdża do Xochimilco, żeby popływać sobie przy ukwieconych brzegach wodnistych łąk, żeby jeść i pić, tańczyć i śpiewać w takt muzyki

pływających orkiestr. Roilo się tu od łódek jak od motyli w letnim ogrodzie. Muzycy sadowili się na krzeselkach i stroili swoje instrumenty. Dziewczyna w kajaku układała czerwone i białe maki zsuwające się z niewielkiego pływającego ogródka. Poczulem gwałtowne odprężenie. Niebezpieczeństwo wydało mi się tu niemal nieistniejące. Nic przecież nie może stać się pani Snood na tym rojnym, wystrojonym kanale. Musimy tylko ją odszukać i dołączyć do niej.

Jedna z orkiestr zaczęła grać. Ponad akompaniamentem gitar rozległ się głęboki, piersiowy baryton, opiewający uroki Guadalajary. Melodię podjęły inne, pobliskie łodzie.

Zanurzyłem rękę w chłodną, ciemną wodę. Wodorosty, jak zielone konfetti muskały moje palce.

Jutro wieczorem będę w Nowym Jorku z Iris. Usiłowałem to sobie wyobrazić. Zaczynałem się zastanawiać, czy będzie mi brak Very. Świadomość, że mam już prawie całkowicie za sobą epizod z Mexico City, owijała welonem nierzeczywistości całą zagadkę Debory. Prawdopodobnie nawet gdybym miał książkę, nie dowiedziałbym się nigdy, o co tu właściwie chodziło. Nie dowiem się także zapewne nigdy, czy Vera była po prostu małą, uroczą baletnicą, obdarzoną piekielnym temperamentem, czy kimś zupełnie innym. Cały ten epizod rozplynie się w moim sercu jak sen.

Nagle nasz gondolier zawołał: *La Carmelita* i zaczął popychać łódkę ze zdwojoną siłą. Wstałem, żeby móc lepiej widzieć. Zobaczyłem dziób *Carmelity*. A potem błysnęło mi coś zielonego. Wioślarz pchnął jeszcze raz drągiem. Dogoniliśmy łódkę i płynęliśmy teraz równolegle z łodzią jego przyjaciela.

Zacząłem machać ręką, śmiać się i otworzyłem usta do krzyku, ale zaraz je zamknąłem.

W sąsiedniej łodzi siedziała jakaś amerykańska pani. Drobna, szczupła amerykańska dama w jaskrawozielonym kostiumie. W chwili, kiedy nasze łodzie omal się nie zderzyły, drgnęła i zwróciła się w moją stronę. Jej włosy były śnieżnobiałe. Okulary bez oprawki

chwiały się z niezadowoleniem na czubku cienkiego nosa.

Było to coś, czego się absolutnie nie spodziewałem.

Owszem, była małą, amerykańską damą w zielonym kostiumie.

Ale nie była Leną Snood.

Nie mogłem mieć pretensji do wiosłarza. Jakże mógł odróżnić jedną starszą amerykańską damę w zielonym kostiumie od drugiej? Ale ogarnęło mnie uczucie paniki. Czyżby Junior dogonił Lenę przed naszym przybyciem do Xochimilco? Czyżby już było za późno? Chyba niemożliwe. Lena miała przecież przewagę dwudziestu minut. Nawet gdyby ją dogonił, to mimo całej jego bezczelności wątpię, czy odważyłby się zaatakować ją w obecności kierowcy taksówki. Podobnie nie mógł jej zrobić krzywdy w tym tłumie rojącym się na przystani. Bardziej prawdopodobne jest to, że musi być gdzieś na kanale, ale nieco dalej, na przodzie.

Taka przejażdżka po kanale trwa przeciętnie godzinę. Nie mieliśmy żadnej szansy dogonić jej powolną *Lupitą*. Będziemy chyba musieli dopłynąć do miejsca startu i tam ją złapać.

– Powiedz mu, żeby wracał do przystani i to jak najprędzej – powiedziałem do Very.

Wiosłarz zdawał się być bardzo przejęty tym zwariowanym poczuciem dobrego, amerykańskiego żartu. Znając doskonale każdy zakątek kanału, holował nas z zapalem przez najróżniejsze boczne kanaliki, ucinając mniej więcej dwie trzecie normalnej trasy spacerowej i dowiózł nas do ostatniego etapu wycieczki turystycznej w niecałe dziesięć minut.

Kiedy wpływaliśmy wreszcie do głównego kanału, zamęt i ścisł były tu chyba nawet większe aniżeli przedtem. Wiosłarz zląny był potem, ale trzymał się dzielnie, pchając nas naprzód mimo gniewnych okrzyków innych wiosłujących. Ja stałem na końcu łodzi, trzymając się kwiatowej dekoracji podtrzymującej markizę. Grajkowie w łodzi przed nami śpiewali wymachując kapeluszami:

*Cucurucu, me cantari las palomas.*

*Tralalala, me canta el trobador.*

Dopływaliśmy do ostatniego zakrętu przed przystanią. Mijając o włos łódkę wiozącą fotografa i niemal wytrącając mu aparat do kanału, pokonaliśmy ten ostatni zakręt i wjechaliśmy do przystani. Przed nami huśtały się na wodzie dziesiątki nowych łódek, a dopiero za nimi była właściwa przystań, do której mieliśmy przybić.

*Cucurucu...* słyszeliśmy śpiew.

Trzy dziewczyny w łódce przed nami siedziały oplatając się ramionami. Czarne włosy spływały im nisko na plecy.

*Cucurucu...* – śpiewały.

Jakaś łódź podpływała do przystani. Nie mogłem dojrzeć, kto w niej siedział. Ale przy nagłym ruchu zobaczyłem skrawek czegoś jasnozielonego. Serce podskoczyło mi w piersi. Za chwilę jeszcze więcej zielonego. A potem zobaczyłem ją całą. Nie miałem najmniejszych wątpliwości.

Lena Snood stała na brzegu. Mimo że oddalona była o co najmniej 50 jardów, widziałem ją w najdrobniejszych szczegółach. W potargane włosy wpiętą miała różową kamelię. W jednej ręce trzymała ogromny pęk szkarłatnych goździków. Szukała czegoś w torebce. Wyciągnęła pieniądze i płaciła wioślarzowi. Potem odwróciła się i zaczęła iść brzegiem. Pod pachą trzymała coś niewielkiego i kolorowego.

„Niewłaściwa zbrodnia” Craig Rice! Ogromnie przejęty podszedłem do skraju łódki i tracąc równowagę, niemal wpadłem do wody. Na szczęście zmoczyłem tylko jedną nogę. Trójka dziewcząt przed nami zachichotała jak szalona. Chociaż było za daleko, żeby mogła mnie usłyszeć, zawołałem:

– Lena!

Trójka dziewcząt powtarzała za mną unisono, jak echo:

– Lena... Lena...

I znowu wszystkie zachichotały.

– Szybko! – zawołałem do Very. – Lena jest tam! Powiedz, żeby tam przybił!

*Cucurucu, me cantari las palomas.*



*Tralalala, me canta el trovador.*

Głupia, zaraźliwa melodia przenosiła się z jednej łodzi do drugiej. Do diabła z całą tą muzyką! Gdyby nie ten hałas, Lena by mnie usłyszała. Szła brzegiem. Jeżeli znajdzie taksówkę, zanim przybijemy do brzegu, to koniec!

*Cucurucu...*

Zawołałem Lenę znowu, a trzy dziewczyny naśladowały mnie jak echo. Wyjąłem białą chusteczkę i zacząłem machać jak szalony. Lena Snood odwrócona była do mnie plecami. Ani razu się nie obejrzała.

Była już prawie na górze, łatwo było ją dostrzec z powodu zielonego kostiumu. Nagle zatrzymała się. Zobaczyłem, że się odwraca i rozmawia z kimś, kto ją zaczepił.

Nie widziałem, kto to mógł być. Przynajmniej na razie nie widziałem. Jakaś tęga kobieta w czerni z dwójgiem dzieci zasłaniała mi widok. Widziałem, że Lena gestykuje, kiwa głową, targuje się. Albo coś kupowała, albo umawiała się z taksówkarzem. Modliłem się w duchu, żeby coś kupowała.

Kobieta przede mną ciągnąca dwoje dzieci odeszła już, a ja zobaczyłem, z kim rozmawiała pani Snood.

Ujrzałem błyszczące, czarne włosy, wysmarowane brylantyną, a potem młodzieńcze ciało. Zobaczyłem gładki, ładny zarys policzka. Byłem za daleko, żeby widzieć oczy – wielkie, bystre, piękne oczy.

Ale i to co widziałem wystarczyło, żeby poczuć przenikający moje ciało dreszcz...

Junior...

Nasza łódź uderzyła w inną łódkę na przystani. Zatrzymaliśmy się. Gitary zainicjowały zwariowany kubański rytm. Wysoki tenorek wyciągnął:

*Se Murio, mi gallo twerto...*

– Lena... – wołałem jak szalony – Lena Snood!

Słyszałem, jak mój głos mieszał się z muzyką i ginął. Przyszła mi do głowy dzika myśl, żeby skoczyć do wody i popłynąć. Ale to by nie pomogło. Nie pokonałbym odległości, hałasu, tłumów.

Lena Snood kiwnęła głową na znak zgody. Zgodziła się więc na cenę kursu taksówki. Ruszyła dalej brzegiem, a Junior z szacunkiem kroczył kilka kroków za nią.

Vera była teraz przy mnie, na skraju łodzi. I ona widziała wszystko, i także zaczęła krzyczeć:

– Pani Snood! Pani Snood! Leeena!

*Se Murio, mi galla twerto...*

Junior zrównał się po chwili z panią Snood. Szli jedno obok drugiego i zniknęli nam z oczu.

## XIV

Dojście do przystani zabrało nam pięć minut. Rzuciłem spoconemu, niedowierzającemu wioślarzowi 50 pesos i pobiegłem na górę po nasypie na brzegu. Doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, że niebieski sedan będzie zaledwie w zasięgu naszego pola widzenia. I nie myliłem się.

Pospieszyłem się, by jak najszybciej uruchomić wóz Very, podczas gdy ona rozpytywała jeszcze wśród tłumu. Owszem, widziano Juniora odjeżdżającego, ale niewiele to pomogło, ponieważ istniała tylko jedna droga wiodąca od nabrzeża do centrum miasta. Na placu targowym mogli skrócić w dowolną stronę. Poprowadziłem auto jak szatan do centrum miasta. Vera wysiadła, żeby przepytać jeszcze kwiaciarki. Chciały jej siłą wcisnąć fiołki, namawiały na kupno goździków.

Kilka dziewcząt podbiegło do wozu i uśmiechając się wrzucały przez okno róże i niezapominajki.

*Lindas flores, jovencito. Finas rositas.*

Ale nikt nie widział tutaj niebieskiego sedana. Interesowały ich tylko pesos.

Stąd drogi rozchodziły się w różne strony: jedna z powrotem do Mexico City, dwie inne do mniejszych miasteczek. Też wysiadłem z

samochodu. Zatrzymywaliśmy niemal każdego i wypytywaliśmy. Po pewnym czasie przekonałem się, że to beznadziejne. Tych pięć minut znaczyło teraz tyle, co pięć godzin.

Jakiś czas borykałem się desperacko z myślą zwrócenia się do policji, ale prawie natychmiast porzuciłem ten pomysł. Niebezpieczeństwo zagrażające Lenie było śmiertelne, ale niemal natychmiastowe. A gdyby nawet udało się nam przekonać policję o prawdziwości naszej fantastycznej historii, byłoby bezwzględnie za późno powstrzymać bieg wypadków i zorientować się, co się stało z niebieskim sedanem.

Jedyną możliwą wskazówką mogło być mieszkanie Hallidaya. Nie wydało mi się możliwe, żeby mieli tam zawieźć Lenę, ale w każdym razie lepsze jest rozważenie i tej ewentualności, aniżeli nic. Pojechaliśmy więc z powrotem do Mexico City.

Ten niefortunny ranek przyniósł przynajmniej jedną dobrą rzecz: rozwiązał ostatecznie wszelkie moje podejrzenia w stosunku do Very. Gdyby miała jakikolwiek udział w sprawie z Hallidayem, nie zareagowałaby tak szybko na moje wezwanie, no i nie byłaby teraz taka przejęta.

W drodze powrotnej opowiedziałem jej wszystko, co sam wiedziałem, nie mogło to przecież zaszkodzić sprawie. Samotne działanie nie doprowadziłoby mnie nigdzie. Vera była inteligentna i przyjęła wszystko znacznie mniej dramatycznie, aniżeli oczekiwałem, dla mnie świadomość, że mam współnika, była ogromną ulgą. Powiedziała, że ma broń, pamiątkę po „biednym staruszku”, który panicznie bał się złodziei. Przed pójściem do mieszkania Hallidaya postanowiliśmy więc wziąć rewolwer.

Chciała mi tam towarzyszyć, ja jednak nie zgodziłem się.

Po drodze wstąpiliśmy do mojego mieszkania, ponieważ po przymusowej małej kąpieli w kanale miałem ciągle jeszcze nieprzyjemnie wilgotną nogawkę spodni. Postanowiłem przebrać się i umówiłem się z Verą, że przyniesie tu rewolwer.

Otwierając drzwi frontowe zauważyłem leżący na podłodze

skrawek papieru. Było to potwierdzenie mojego lotu. Samolot odlatywał do Nowego Jorku rano o 7.30, na lotnisku miałem być o 6.30.

Kiedy się przebierałem, mój niepokój o Lenę wzrósł niemal do granic wytrzymałości. Po krótkiej chwili zabrzączał dzwonek i Vera wbiegła na górę po schodach.

- Masz rewolwer? – spytałem.
- Mam, mam.

Weszła do pokoju i wyjęła z torebki mały colt 0.32.

- Będzie dobry? – spytała.

Obejrzałem go starannie i stwierdziłem, że jest nabity. Wsunąłem go do kieszeni. W tej samej chwili zadzwonił telefon. Szybko podniosłem słuchawkę.

- Tu Peter Duluth.

Usłyszałem w słuchawce głos bardzo dobrze mi znany, z mocnym nowojorskim akcentem. Był rzeński i wesoły jak zawsze.

- Peter... chwała Bogu, że pana zastałam!
- Pani Snood! Gdzie, do licha...

Usłyszałem, że Vera ze zdziwienia głośno wciągnęła powietrze w płuca. A tymczasem Lena Snood szczebiotała dalej:

– Naprawdę, to okropny pech. Jestem wprost zrozpaczona. Po prostu, jak to się mówi, dziewczyna w rozpacz, o ile można mówić o dziewczynie po pięćdziesiątce...

– O co chodzi, pani Leno? – spytałem, rzucając Verze porozumiewawcze spojrzenie.

– A więc wybrałam się dzisiaj rano do Xochimilco, a ponieważ miałam jeszcze furę czasu, postanowiłam także obejrzeć sobie piramidy w Tlalpam, wie pan gdzie? Cuicuico. Znajdzie pan w przewodniku. Podobno warte obejrzenia. A ja uważam, że po prostu cuchną. No i ugrzęzłam. Kierowca starał się mnie naciągnąć, chciał mi policzyć podwójną takse za czekanie, podczas kiedy oglądałam te cholerne piramidy, więc go odesłałam. No, a teraz nie mogę znaleźć drugiej taksówki. Zdaje się, że kursują tędy autobusy, ale nie mogę

się z nikim porozumieć. Och, czuję się po prostu jak opuszczone, bezbronne stare pudło! Czy jest taka możliwość, że porozumie się pan z Verą i przyjedzie po mnie jej samochodem?

Wszystko to było oczywiście kłamstwem. Niemal namacalnie czułem atmosferę niebezpieczeństwa wokół aparatu telefonicznego. Ale jakiego rodzaju kłamstwo? Czyżby moje zwariowane podejrzenie było słuszne? Czy to Lena Snood od samego początku była właściwym, prawdziwym wrogiem? Czy jest tam przy telefonie z Juniorem i oboje starają się wciągnąć mnie w pułapkę? Albo może obok niej stoi Junior z rewolwerem wciśniętym między jej zębra?

Nie odważyłem się spytać panią Snood o to wyraźnie. Jeżeli jest z kimś w zмовie, to fatalnie byłoby dać jej do zrozumienia, iż ją podejrzewam. Zapytałem więc ostrożnie:

– Czego pani ode mnie oczekuje?

– Żeby mnie pan po prostu stąd wyciągnął. Dzwonię z jakiegoś sklepu. Bóg jeden wie, gdzie to jest... To... trudno mi to wytłumaczyć. Lepiej będzie, jeżeli wrócę do piramidy. Tak będzie łatwiej. Zaczekam na pana pod piramidą – roześmiała się – jeżeli ma to być piękny widok, niech to przynajmniej wykorzystam za swoje pieniądze!

– Gdzie to jest?

– Bardzo łatwo trafić. Musi pan jechać drogą do Tlalpam. Tuż przed nim jest takie wzgórze, które nazywa się Pena Pobre. Jestem tuż obok. Spyta pan kogokolwiek – głos jej stał się przepraszający, proszący. – Peter, strasznie mi przykro, że ze mnie taka idiotka. Czy może pan to dla mnie zrobić?

Usiłowałem wyciągnąć jakieś wnioski z brzmienia jej głosu, ale nie mogłem. Może, ale tylko może był trochę nazbyt gorączkowy, ale nie byłem całkiem pewien.

Musiałem coś postanowić, więc postanowiłem:

– Dobrze, pani Leno – zgodziłem się. – Zaraz tam będę.

– Nie zajmie to panu więcej niż pół godziny. Będę czekać przy piramidzie...

- Okay.
- I... Peter?
- Tak?

– Zobacz pan wszystko od razu z drogi. Piramida ma figurę podobną do mojej, tyle tylko, że koloru cynamonu. Nie może jej pan nie zauważyć.

– Oczywiście. Zaraz tam będę.

– Dzięki Bogu – roześmiała się trochę sztucznie. – Będę szczęśliwa, jeżeli już i jeżeli w ogóle będę z powrotem z Newark.

Odłożyłem słuchawkę na widełki. To ostatnie zdanie dziwnie mnie poruszyło... Jeżeli w ogóle...”. Czyżby to miało oznaczać wołanie o pomoc? Rewolwer między żebrami?

Vera zaraz zażądała, żebym jej wszystko powtórzył, co też oczywiście uczyniłem.

– To pułapka – oświadczyła kategorycznie.

– Jasne, że pułapka.

– I mnie też chcą?

– Mam wrażenie, że uważają cię za mojego kumpla. A ja jestem niebezpiecznym typem dla nich, Vera...

– Ale ta Snood... Ona nie wie, że widzieliśmy ją w Xochimilco z tym chłopcem. To ona jest cały czas tym czarnym charakterem. Wymyśliła tę historyjkę, żeby nas zwabić.

– Nie wykluczam. Ale możliwe również, że zmusili ją do tego. Dlatego właśnie pojedę tam.

– Pojedziesz? Zwariowałaś, czy co?!

– Może. Istnieje pięćdziesiąt procent możliwości, że ją porwali.

Nie mogę pozwolić, żeby ta biedna kobietka...

– Ależ Peter, co ty...

– Cicho bądź – przerwałem jej. – Zostaniesz tu. Wezmę twój wóz...

Odrzuciła do tyłu włosy i rzuciła twardo:

– Jeżeli ty pojedziesz, to i ja pojedę.

– Vera...

– Powiedziałam, że pojedę! – tupnęła nogą. – Ty wiesz, czego chcesz i ja także wiem, czego chcę. Musisz mieć kierowcę. Wszystko może się zdarzyć...

– Właśnie. Nie pozwolę, żeby coś ci się stało z mojej winy.

– Jadę.

– Nie!

– Tak. Jeżeli weźmiesz mój wóz, zawiadomię policję, że go ukradłeś.

Lubiłem ją taką. Moja nowa sojuszniczka była oczywiście zwariowana, ale miała fantazję!

– Okay, serdeńko, jedziemy.

– Co znaczy to...?

– „Kochanie” – wyjaśniłem.

## XV

Wieczne chmury, tak często zdarzające się w Mexico City, zaczęły gromadzić się na niebie. Zapadał zmrok. W chwili kiedy ruszyliśmy drogą do Tlalpam, miasto pogrążyło się w chłodnej, bezbarwnej ciemności.

Za kierownicą siedziała Vera, dobrze знаła miasto i jego okolice. Znała nawet piramidę w Pena Pobre.

Widziałem kiedyś zdjęcie tej piramidy i na jej wspomnienie przeszły mnie ciarki. To nie jest właściwie piramida, to po prostu niski, płaski pagórek z polnych kamieni, z szerokimi spiralnymi pasami na sobie. Żaden z archeologów nie potrafi powiedzieć, kiedy dokładnie i w jakim celu została zbudowana, ale jedno jest pewne, jest to najstarszy zabytek Ameryki. Jakaś koszmarna cywilizacja musiała ją stworzyć, a istniała dopóki wybuch lawy przed setkami lat nie zniszczył jej. Tylko to wzgórze pozostało. Przygodni turyści zapuszczają się w te strony, nie jest ona jednak zaznaczona we wszystkich przewodnikach jako ciekawostka dla turystów. Zbyt jest

ponura.

Mknąc przez gęstniejący mrok wzdłuż szosy Acapulco obmyśliśmy pewien plan. Vera powiedziała mi, że to wzgórze znajduje się pośród pustynnej raczej okolicy, pozostałej po lawie. Stoi tam tylko barak, w którym strażnik zatrudniony przez Departament Ochrony Zabytków Historycznych pobiera opłaty za wstęp. Poza tym barakiem w obrębie pół mili nie ma żadnego innego budynku. Jedna tylko droga, a właściwie trakt, prowadzi tam z Pena Pobre.

Ponieważ nie mają pojęcia, że żywimy jakiegokolwiek podejrzenia, będą na pewno spodziewać się naszego przybycia tą regularną drogą z Pena Pobre. Ale Vera zna jeszcze jedną drogę, biegnącą z drugiej strony wzgórza i kończącą się kilkaset metrów przed nim. Postanowiłem zaparkować tam wóz i dojść pieszo do piramidy od tyłu.

Im bardziej przybliżaliśmy się do celu, tym bardziej zdawałem sobie sprawę z szaleństwa, jakie popełniam. Dobrowolnie daję się złapać w pułapkę, i to w pułapkę zastawioną przez człowieka o umyśle Machiavelliego. Gdybym nie wierzył z takim uporem w moją zdolność wyczucia prawdziwie zanego człowieka, prawdopodobnie zawróciłbym z drogi. Ale im dłużej myślałem o Lenie Snood, tym bardziej wydawała mi się sympatyczna i tym bardziej wierzyłem w jej uczciwość. Podobała mi się jej wspaniałomyślność, jej dobroć. Polubiłem jej wiecznie potargane włosy i jej okropnie niegustowne kwiaty przypinane do gorsu. Wmawiałem sobie, że zmuszono ją, aby zadzwoniła do mnie. Byłem przekonany, że tylko dlatego pozostaje przy życiu, żeby być przynętą dla mnie i dla Very.

Nigdy nie zaznam w Nowym Jorku szczęścia z Iris, jeżeli pani Snood tylko z tego powodu, że miała nieszczęście zetknąć się ze mną, nie wróci do swoich córek, męża i domu w Newark.

Wydostaliśmy się już na przedmieścia, mijając zakurzone, brzydkie okolice. Noc nadciągała już wyraźnie, choć była to ta dziwnie szara, nieokreślona pora dnia, ani jeszcze noc, ani już dzień.

Niebawem minęliśmy wszystkie zabudowania. Bokiem szosy



płynął jakiś niewielki kanał, a za nim rosły drzewa eukaliptusowe.

– Jesteśmy już prawie na miejscu – oświadczyła Vera.

Po krótkiej chwili zaparkowała wóz pod drzewami eukaliptusowymi. Wskazała mi gestem równinę pokrytą lawą, a już sam zobaczyłem Cuicuilco. Wznosił się kilkaset jardów przed nami – rozłożysty, wybrzuszony, czarny na tle ciemniejącego nieba.

Wyjąłem z kieszeni rewolwer i wysiadłem z samochodu.

– Nie gaś silnika i czekaj tu na mnie – powiedziałem.

– Na miłość boską, uważaj! Bądź ostrożny!

– Jasne, że będę ostrożny.

Przeskoczyłem mały kanalik i ruszyłem w kierunku wzniesienia. Moje ciemne ubranie stapiało się z otoczeniem. Miałem wrażenie, że nikt nie widział podjeżdżającego samochodu. Należało jedynie podejść możliwie blisko i czekać, aż ukaże się postać Leny Snood, co było bardzo prawdopodobne, jeżeli mieli użyć jej jako przynęty. Może uda mi się dać jej sygnał do ucieczki...

Kiedy tak posuwałem się ostrożnie, wymijając niskie kaktusy, pierwszy raz poczułem przenikający dreszcz. Budowałem wszystko na przeświadczeniu o niewinności Leny Snood, ale jeżeli się pomyliłem, Bóg jeden wie, co się może przytrafić.

Trzymając w ręce broń skradałem się do wzgórza. Na oko sądziłem, że jest odległe o mniej niż 100 jardów. Nie było wysokie, najwyżej 50 stóp. Nie rozróżniałem na razie szczegółów. Wszystko razem wyglądało jednak złowrogo. Położyłem się płasko na szorstkim gruncie, obserwując poprzez mrok prehistoryczną budowlę. Nigdzie nie zaobserwowałem żadnego ruchu. Zastanawiałem się, co się stało ze strażnikiem? Może po zapadnięciu zmroku odchodził?

Aż nagle, po krótkiej chwili wydało mi się, że widzę słaby ruch w cieniu, na trzecim tarasie, pod samym szczytem. Serce mi mocniej zabiło. Wytężyłem wzrok. Coś wyłoniło się zza rogu i poruszyło w prawą stronę. Nagle się zatrzymało. Błysnęła zapalka i szybko zgasła. Na jej miejscu pojawił się czerwony punkcik papierosa.

Nie miałem żadnych wątpliwości, że był to jakiś człowiek.

Wyteżając wzrok wpatrywałem się w posuwający się teraz na prawo koniec papierosa, starając się z jego położenia wywnioskować, czy chodzi o osobę wysoką, czy niską. Lena Snood była niska. Ale Junior też. Jeżeli jednak zastawili pułapkę i czekają na nas, nie byłiby tacy głupi, żeby palić papierosa, jeżeli nie chcieli, żebyśmy ich dostrzegli. Opierając się na tej przesłance i nie widząc nic poza ruchomym punktem papierosa, doszedłem do wniosku, że właścicielką papierosa jest Lena Snood.

A więc to przynęta...

Poczekalem, aż papieros zniknął za zakrętem tarasu.

Wtedy przypomniałem sobie na żywo, jak poruszać się bezszelestnie i ukradkiem. Świerszcze grały jak wściekle przy każdym moim ruchu i dawały ostrzeżenie.

Kiedy podszedłem bliżej do podstawy piramidy, tajemnicza postać zjawiała się ponownie z lewej strony. Teraz widziałem ją już wyraźniej i mogłem ustalić, że to niewysoki człowiek. Po zrobieniu kilku kroków przystanął, a papieros upadł na ziemię. Usłyszałem kaszel i ciche chrząknięcie: „Ho, hum”.

Ogarnęło mnie straszliwe podniecenie. Nawet po tych monosylabach poznałem głos. Tak, to była Lena Snood.

Leżąc nieruchomo na ziemi ułożyłem sobie plan.

Lena stanowi przynętę – byłem tego pewien. Biedna mała kobietka, która starała się jak najbardziej rozsądnie wykorzystywać wydatki związane z wycieczką, a która wbrew swojej woli stanęła wobec problemu: życie czy śmierć.

Zmuszono ją, by chodziła dokoła rampy, na widoku, z zapalonym papierosem. Na szczycie góry prowadzono wykopaliska. Dowiedziałem się o tym od Very. Stanowiło to idealną zasadzkę. Prawdopodobnie siedział tam ukryty Junior z rewolwerem wymierzonym w panią Snood. Jeżeli ich było dwóch, a może nawet więcej, to ten drugi czeka po drugiej stronie wzgórza, by mieć na oku drogę z Pena Pobre – i oczekuje naszego wozu.

Jeszcze jedna zapałka zabłysła i zgasła. Lena zapaliła drugiego

papierosa i rozpoczęła na nowo swoje okrażenie. Zastanawiałem się, co też biedactwo musi sobie myśleć tam na górze, wiedząc, że celują do niej z rewolweru, i że gra rolę przynęty na przyjaciela, który ma paść w zasadzkę. Czy myśli o mnie? Albo o Newark? Albo...?

Wściekłość wstrzymywała dalszy ciąg moich rozmyślań. Leny nie powinno tu być. Powinna popijać *daiquiri* w hotelu Reforma i narzekać, jakie drogie są tu te drinki!

Ogromna, wesoło błyszcząca gwiazda zapaliła się na horyzoncie. Venus? Znajdowała się po prawej stronie wzgórza. Znowu ruszyłem przed siebie wymijając niskie kaktusy. Doszedłem już niemal do podstawy piramidy i zakląłem. Archeolodzy wykopali suchy rów w powłoce lawy, w celu odsłonięcia podstawy wzgórza. Oddzielał mnie on od najniższego tarasu. Nie był ani specjalnie głęboki, ani szeroki, ale stanowił poważną przeszkodę w razie możliwości ucieczki Leny Snood.

Chciałem okrążyć piramidę dokoła, w nadziei, że ów rów się kończy. Ale było to zbyt ryzykowne. Jeżeli przesunę się trochę na lewo, lub na prawo, to mogę się znaleźć w polu widzenia człowieka obserwującego trakt od Pena Pobre. Musiałem więc szukać innego sposobu.

Nad moją głową, po lewej stronie, mogłem widzieć niewyraźną sylwetkę pani Snood i jej zapalonego papierosa. Niech diabli porwą papieros! Był on doskonałym celem. Zbliżała się właśnie w moją stronę, za parę sekund znajdzie się tuż nade mną.

Otworzyłem usta gotowe do krzyku i odchrząknąłem, żeby głos wypadł czysto. Palec tkwił na spuście rewolweru.

Raz... dwa... trzy... – była tuż nade mną, mniej więcej o trzydzieści stóp wyżej.

– Lena – szepnąłem w miarę głośno. – Lena... Tu Peter.

Brzmienie mego głosu omal mnie nie ogluszyło, wywołało bowiem echo, które podchwyciło mój głos i rzuciło dokoła piramidy jak syk olbrzymiego węża. Zatrzymała się nade mną jak wryta.

– Niech pani ucieka... – szepnąłem, przeklinając echo. – Niech

się pani kieruje w stronę bocznej drogi. Vera tam jest, ma samochód...

Wąż zasyczał znowu. Całe powietrze wokół tego diabelskiego wzgórza syczało moim głosem.

Lena ciągle stała nieruchomo w jednym miejscu.

– Niech pani ucieka, wyrzuci tego papierosa i ucieka!

Nagle krzyknęła cicho, jak gdyby tak długo tłumione wzruszenie nie mogło się już w jej piersi pomieścić.

– Peter! – krzyknęła. Jej krzyk był podobny do wycia tysiąca diabłów igrających wokół piramidy.

Nie mogłem nic więcej zrobić, nic poradzić.

– Peter! – krzyknęła znowu. – Uważaj! On jest za tobą! Prędko...

Mój instykt samozachowawczy posłuchał głosu ostrzeżenia i padłem płasko na brzuch, a równocześnie z ciemności za moimi plecami rozległ się strzał. Lena miała słuszość. Jeden z napastników musiał mnie zauważyć i skradał się za mną poprzez kaktusy. Jej krzyk prawdopodobnie ocalił mi życie.

Zrobiłem zwrot o 180 stopni i odpowiedziałem strzałem w ciemność. Nade mną Lena zaczęła biec po tarasie. Nie słyszała, co jej powiedziałem o papierosie, albo nie zarejestrowała tego w pamięci.

Ciągle jeszcze trzymała go w ręce, wymachując nim na wszystkie strony.

– Rzuć papierosa! – krzyknąłem do niej.

Wtedy właśnie rozległy się dwa kolejne strzały. Tym razem strzelano ze szczytu wzgórza. Ujrzałem, że papieros Leny śmignął przez noc jak błędny ogień. A potem usłyszałem przenikliwy, przejmujący krzyk. I już żadnych odgłosów kroków.

Zdrętwiały z niepokoju strzeliłem jeszcze raz w kierunku kaktusów za moimi plecami. Usłyszałem niewyraźne przekleństwo, potem jakieś szuranie. Jak przez mgłę dojrzałem zarysy jakiejś postaci uciekającej przez kaktusy w kierunku traktu do Pena Pobre.

Odstraszyłem go widocznie. Uciekał jak szalony. Posłałem za nim trzeci strzał, ale nie mogłem go gonić. Musiałem myśleć o Lenie Snood, o jej krokach, które nagle umilkły.

Wskoczyłem do rowu i czepiając się wystających kamieni, wspiąłem się na pierwszy taras. Nic teraz nie było słycać. Kompletna cisza. Musiałem jeszcze zdobyć dwa wyższe tarasy, nim dostałem się do Leny, no i tego drugiego rewolwerowca na szczycie wzgórza.

Wdrapałem się na następny poziom, potem na trzeci. Przez ułamek sekundy stałem na tle ciemnego nieba, umyślnie wystawiając się na cel. Cisza. Strzeliłem w kierunku szczytu, ale nie odpowiedział mi żaden strzał.

Czyżby i drugi drab uciekł?

Nie zwracając już na nic uwagi zsunąłem się po tarasie w kierunku, gdzie widziałem Lenę. Za zakrętem coś ciemnego i nieruchomego leżało na ziemi. Podbiegłem tam i przyklęknąłem. Usłyszałem cichy jęk. Wysunąłem rękę i dotknąłem włosów. Posunąłem rękę dalej i natknąłem się na coś gładkiego, jakby wosk.

Kamelia. Różowa kamelia, którą Lena Snood kupiła w Xochimilco. Miałem wrażenie, że serce podeszło mi do gardła.

– Lena...

Podsunałem ramię pod jej plecy i wyprostowałem do pozycji siedzącej. Nie widziałem wyraźnie jej twarzy, tylko jakąś mętną plamę i coś bladego, jej rękę.

Poruszyła się w moich ramionach.

– Peter...

– Tak, to ja. Wszystko jest okay...

– Peter – głos miała słabutki, jak głos ducha. – Musiałam tak zrobić. Zmusili mnie. Kazali mi do ciebie telefonować... Ja...

– Wiem... Wszystko wiem...

Gdzieś w oddali, w kierunku Pena Pobre usłyszałem zapuszczenie silnika samochodu. Nieznana mi nigdy dotąd furia owładnęła mną tak bardzo, że aż zadrzałem. Spodziewali się zwabić mnie w pułapkę. A ponieważ przyszedłem z bronią, wystraszyłem ich. Uciekali, żeby ratować życie, dokonawszy tylko połowę czynu. Owszem, zastrzelić bezbronną kobietę – to potrafili zrobić, ale uciekali przed mężczyzną, który miał rewolwer.

– Peter...

Właściwie nie było to wyraźne „Peter”, tylko jakiś bełkot, przypominający ten wyraz. Stała się ciężka w moich ramionach. Nie orientowałem się, gdzie ją trafili. Wiedziałem jednak, że dokonali tego, co zamierzali.

Nie była w stanie powiedzieć mi nic... nic, czego się dowiedziała.

Czułem w ustach jak gdyby smak popiołu z lawy, nie mogłem opanować gwałtownego drżenia. Chciałbym ich wszystkich wymordować! Gdyby tu byli, zrobiłbym to, udusiłbym ich gołymi rękami i rozbił ich czaszki o kamienie.

– Lena – zdołałem wyszeptać. – Lena, nic się nie martw. Wszystko jest okay...

Ona jednak nie odpowiedziała. Ciało jej osunęło się w dół w moich ramionach. Gdzieś daleko na drodze rozległ się strzał. Zaledwie go usłyszałem. W każdym razie nawet o nim nie pomyślałem.

Zapaliłem zapalkę. Następnie, nim jeszcze dobrze oświetliła twarz Leny, zgasilem ją. Nie chciałem patrzeć na kobietę, o której wiedziałem, że nie żyje.

## XVI

Musiałem jednak oczywiście to sprawdzić. Zabłysło kolejne, słabe światełko zapalki. Kiedy spojrzałem w dół, starałem się wyeliminować z serca wszelkie uczucia. Obydwa strzały trafiły ją celnie, jeden w serce, drugi nieco poniżej. To był niezły strzelec!

Rozejrzałem się wokoło. Nigdzie nie było widać książki ani goździków. Domyśliłem się, że zawieźli ją najpierw w jakieś inne miejsce i tam zmusili, aby zatelefonowała do mnie. Teraz są w posiadaniu książki, a Lenę przywieźli tylko jako przynętę dla schwytania mnie w pułapkę.

Zapalka dopalała mi się w palcach, ale nie czułem nawet, że mnie parzyła – wściekłość oładnęła mną na nowo, niemal dusząc za

gardło. Zrobiłem wszystko, co mogłem, ale cóż z tego? Może to ja byłem sprawcą jej śmierci? Może gdybym tu nie przyjechał, zostawiliby ją w spokoju...

Myśli płątały mi się w głowie: Oto leży, biedactwo, tutaj, na szarej, opuszczonej piramidzie. Nigdy już nie wróci do Newark. Ale nawet na litość nie mogłem się zdobyć w ataku furii, jaka mną ciągle trzęsła.

Jednak kiedy tak siedziałem skurczony w ciemności, a cykady grały dokoła, powoli, stopniowo wracało opanowanie, i przypomniałem sobie odgłos strzału od strony traktu. Widocznie strzelali do Very. Takie było jedyne możliwe wytłumaczenie. Typowe zresztą dla nich, żeby strzelać do bezbronych kobiet, podczas kiedy uciekali przede mną. Zerwałem się na nogi poruszony nowym niepokojem. Nic już nie mogłem zrobić dla Leny Snood, teraz Vera mnie potrzebowała. Zsunąłem się po ścianie na znajdujący się poniżej taras, a potem po dwu następnych kondygnacjach, wygrzebałem się z rowu i pobiegłem, potykając się o niskie, twarde kaktusy, byle jak najprędzej dobrnąć do traktu.

Nie myślałem o niczym. Zbyt dużo było we mnie nienawiści i wściekłości. Przed sobą, na tle nieba, ujrzałem kępę drzew eukaliptusowych, znaczących koniec drogi. Dobięgam tam. Samochód Very stał tak, jak go zaparkowałem, ale jej samej nigdzie nie było widać. Z narastającą we mnie falą niepokoju zawołałem:

– Vera!

Jej głos odpowiedział mi natychmiast gdzieś spoza wozu. Znalazłem ją kłęczącą za tylnym kołem, a obok niej leżały narzędzia służące do zmiany koła. Na mój widok wstała.

– Kiedy uciekali, zaczęli strzelać do samochodu. Przedziurawili oponę. Chcieli uniemożliwić nam pogoń, ale ja zmieniłam koło. Gotowe!

– A ty jesteś cała i zdrowa?

– Tak, tak... Ale te krzyki, te strzały...

Uczucie ulgi, że Verze nic się nie stało, zmniejszyło odrobinę żal z powodu śmierci Leny.

- Kto był w samochodzie, którym uciekali? – spytałem.
- Ten chłopak, Junior, siedział przy kierownicy. A z tyłu był ktoś inny. Widziałam tylko jego kapelusz, nic więcej. To on strzelał...
- Halliday?
- Powiedz co z Leną? – rzuciła, zbywając moje pytanie.
- Lena nie żyje – odpowiedziałem. – Ostrzegła mnie krzykiem i uratowała mi życie. Uciekała z zapalonym papierosem i trafili ją.

Teraz, kiedy wrzałem z gniewu, myśl o Hallidayu była niemal obsesją. Czemu starałem się komplikować sytuację, skoro od początku wszystko było jasne. Debora Brand uciekała przed Hallidayem. On chciał zdobyć ten kryminał, który miała. A ponieważ mu go nie dała – zabił ją.

A teraz zabił także Lenę.

Nagle poczułem, że już nie jestem w stanie panować nad sobą. Zacząłem się trząść jak osika.

- Zastrzelili ją jak psa. I to wszystko przeze mnie. Ja... Ja...
- Peter – Vera potrząsnęła mnie za ramię. – To wcale nie twoja wina. Kim ty jesteś? Joanną d'Arc, która ma zbawić świat? Zrobiłeś wszystko, co mogłeś. Zaryzykowałeś własnym życiem...

Ale ja nie mogłem myśleć o niczym innym, tylko o Lenie wyciągniętej tam, na piramidzie, w tym koszmarnym, zaschniętym błocie lawy, z tą różową kamelią tylko zamiast wieńca.

- Muszę do niej wracać – powiedziałem.
  - Nie – zaprotestowała ostro Vera. – Zostaw ją.
- Odwróciłem się i ruszyłem w stronę piramidy. Pobieгла za mną.
- Peter! Jesteś półprzytomny z powodu przeżytego wstrząsu. Pomyśl tylko, co właściwie możesz jeszcze zrobić? Zawieźć zwłoki na policję? Myślisz, że ci uwierzą, jeżeli to zrobisz i opowiesz całą tę nieprawdopodobną historię? Błagam cię, zostaw ją!

- Nie mogę, nie mogę zostawić jej samej...
- Ale ona nie żyje. To straszne, ale taka jest prawda. To tak samo jak mój biedny staruszek na cmentarzu. Chodź! – popychała mnie w kierunku samochodu. – Później, kiedy już będziemy w mieście,



zadzwoń na policję i powiem, żeby ją zabrali i zatroszczyli się o dalszy los ciała. A teraz absolutnie nie ma sensu, żebyś tam wracał.

Z jej wypowiedzi zrozumiałem jedynie, że postępuję rzeczywiście jak pajac. Absolutnie nikt nic na tym nie zyskiwał, jeżeli wróciłbym do piramidy. A nie mogłoby wynikać dla nas nic dobrego, gdybyśmy udali się na policję z naszą skomplikowaną, nieprawdopodobną historią. Sprawy wyszły już poza stadium, kiedy policja mogła coś zadziałać. Czuję się tak wyczerpany, jakbym biegł przynajmniej kilka mil. Ale poczułem nawrót zdrowego rozsądku. Wziąłem więc przedziurawione koło i narzędzia i włożyłem z powrotem do bagażnika.

Potem wsiadłem z Verą do środka. Kiedy włączyła silnik i skierowała się w stronę miasta, tylko jednym uchem słuchałem tego, co mówiła, chociaż wiedziałem, że mówi, aby oderwać moje myśli od tego, co przeżyłem. Ale ja byłem już spokojny i wiedziałem, co powinienem zrobić.

Jak już będziemy w Mexico City, pójdę natychmiast do Hallidaya. Nadszedł czas, aby wystąpić jawnie, żeby ze ściganego stać się nareszcie ścigającym.

- Peter – głos Very zmącił na chwilę moje myśli.
- Co takiego, Vero?
- Posłuchaj mnie...
- Słucham...
- Zdobyli od pani Snood tę książkę, a mimo to chcą nas zwabić w pułapkę. Dlaczego?
- Żeby nas zamordować.
- Nie. Jeżeli chcą nas zamordować, to dlaczego nie zabili mnie teraz, kiedy byłam sama w samochodzie? Albo ciebie w tym pustym rowie przy piramidzie? Czy też jeszcze wcześniej, w klasztorze? Tu chodzi o coś innego. Nawet zdobywając książkę nie mają jeszcze wszystkiego, czego potrzebują. Musi być jeszcze coś więcej...
- Więcej?
- Myślą, że ty wiesz coś więcej. Dlatego właśnie chcieli zwabić

cię do tej piramidy, żeby cię zmusić do mówienia. Myśl, Peter, zastanów się. Czy jesteś całkiem pewien, że ta Debora Brand nie dała ci albo nie powiedziała jeszcze czegoś innego?

– Jestem absolutnie pewien.

– Ale myśl, ciągle myśl. Opowiedz mi dokładnie wszystko. Zaczynij od samego początku. Spróbujemy zastanowić się razem.

Zajmowała mnie rozmową i podsuwała różne myśli, aż w końcu porzuciłem mój projekt rozliczenia się z Hallidayem, jak tylko dojedziemy do miasta. Kiedy mknęliśmy przez ciemne przedmieścia, usiłowałem zrekonstruować wszystko, co powiedziała mi Debora od momentu naszego pierwszego spotkania przed hotelem, aż do tego nieszczęsnego spaceru do *cenote*.

Vera zasypywała mnie pytaniami.

– Czy mówiła ci, że zamierza jechać do Mexico City?

– Tak twierdziła.

– Ale nie widziałeś u niej biletu na samolot?

– Nie. Nie było go także w jej torebce.

– W takim razie możliwe, że kłamała.

– Oczywiście.

– Wspomniała o ojcu, który jest archeologiem i pracuje gdzieś w Peru. Mówiła także o matce, Amerykance, która nie żyje. Nigdy nie wspominała, z kim jedzie się spotkać? Z bratem, siostrą, wujem, ciotką?

Kiedy powiedziała „wujem”, poruszyło się w mojej świadomości jakieś niejasne wspomnienie. Całym wysiłkiem woli starałem się przypomnieć sobie coś więcej. W udręce usiłowałem podchwycić coś, co znajdowało się gdzieś w zakamarkach mojej pamięci. Nagle, bez żadnego wyraźnego powodu przyszła mi na myśl uwaga, jaką bardzo niedawno zrobiła Vera. „Kim ty właściwie jesteś? Joanną d'Arc, która ma zbawić świat?”

*Joanna d'Arc* – wuj. Zwariowana kombinacja tych słów tkwiła mi jak gwóźdź w mózgu. Aż nagle zrozumiałem dlaczego. Przypomniałem sobie Deborę, leżącą pod moskitierą na drugim łóżku

w moim pokoju w Cichén-Itzâ. Debora półśpiąca, jak myślałem, mrucząca coś pod nosem... *Ptaki na drodze czekające na swoich kochanków... Joanna d'Arc koronowała go w 1462 roku.*

*Kogo koronowała?*

*Mojego wuja.*

*Musiło mu być bardzo przyjemnie...*

*I było. Nowa Joanna d'Arc... Ale nie mów nikomu o tym. Nigdy. To sekret!*

Vera spoglądała na mnie wyczekująco.

– Co się dzieje? Myślisz o czymś konkretnym?

– Może i myślę, ale to szaleństwo. Coś, co mówiła, kiedy byłem pewien, że już zasypia. Mruczła pod nosem, ale to był bełkot.

Przytoczyłem całą naszą tamtą rozmowę. Vera miała bardzo niewyraźną minę.

– Nowa Joanna d'Arc koronowała wuja? Co to ma znaczyć? To bzdura.

Ale mnie ogarnęło dziwne podniecenie.

– Kogo koronowała Joanna d'Arc? – spytałem.

– Co ja mogę wiedzieć o Joannie d'Arc?

Ale ja wiedziałem.

– Koronowała delfina Francji. A koronowała go w Orleanie. Nowa Joanna d'Arc. W Nowym Orleanie jest ulica Delfina.

Moje podniecenie udzieliło się i jej.

– Co ty mówisz? Ale...

– 1462. Nie pamiętam już, kiedy Joanna d'Arc go koronowała, ale na pewno nie wtedy, to było gdzieś w trzynastym wieku. „Nie mów nikomu. To sekret”. Tak powiedziała. Może to właśnie o to chodzi. Może chciała mi powiedzieć, dokąd jedzie, do wuja, pana Branda, Nowy Orlean, ulica Delfina 1462...

– Ale dlaczego te rebusy? Jeżeli chce ci powiedzieć, to mówi i już. Po co ta kombinacja z Joanną d'Arc?

Zdawało mi się, że wiem, dlaczego.

– Może wcale nie chciała dawać mi nic do zrozumienia. Wtedy

Debora wiedziała, iż znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie. Może kiedy tak leżała, przed zaśnięciem przyszło jej do głowy, że byłby to dobry pomysł zgromadzić gdzieś, to znaczy we mnie, te dane, w przypadku, gdyby nie udało się całe przedsięwzięcie.

– Ale czemu mówiła takimi zagadkami? – powtórzyła Vera.

– Dlatego, że tym sposobem, gdyby mnie nie potrzebowała, nic właściwie nie zostało powiedziane, nic nie zostało zdradzone. Ale gdyby jednak okazało się, że rzeczywiście mnie potrzebuje, to z chwilą gdyby dała mi ten kryminałek, a ja bym go starannie przejrzał, cała historia z Joanną d'Arc byłaby dla mnie jasna.

– I to by tłumaczyło też fakt, że im szalenie zależy na tym, aby cię porwać? I dlatego teraz uciekają przed tobą, jeżeli przychodzisz z bronią? Nie z tchórzostwa. Chcą cię mieć żywego. Boją się, że strzelając, mogą cię niechcący zabić.

– Chyba tak.

– Zdobyli książkę, ale bez tej informacji książka nie ma wartości. Nie znają adresu. Nie wiedzą, dokąd Debora jechała?

Rosło we mnie przeświadczenie, że znaleźliśmy się na właściwym tropie. W ten sposób całe postępowanie Debory nabierało sensu. Jakaś bardzo doniosła sprawa była tutaj stawką. Zrozumiałem to już w chwili, kiedy Halliday zaczął zatruwać mi życie. Debora, miotana z jednej strony zrozumiałą koniecznością zachowania tajemnicy i nieufania nikomu, a z drugiej świadomością grożącego jej samej niebezpieczeństwa, uczyniła jedyną rzecz, jaką mogła zrobić. Powiedziała jedynej osobie, jaką miała pod ręką coś takiego, co nie miałyby sensu, gdyby nie zdecydowała się później przekazać i książki. Jednym słowem, uzbrajała mnie, jeżeli można tak powiedzieć, na wypadek konieczności.

I konieczność taka nadeszła.

I gdybym był domyślniejszy i sprytniejszy i dokładnie sobie obejrzał „Niewłaściwą zbrodnię”, zamiast pożyczać ją Lenie, spełniłbym pokładane we mnie nadzieje. A Lena by nie zginęła.

Byliśmy już w mieście. Vera dodała gazu. Przyszła mi do głowy

nowa myśl. Czy istniała jeszcze jakaś szansa zrobienia czegoś, czego Debora chciałaby ode mnie, a co mogłoby przynajmniej pokrzyżować plany Hallidaya. Nowy Orlean znajdował się na trasie mojej drogi do domu. Gdybym się tam zatrzymał na parę godzin, mógłbym odwiedzić pana Branda. Nie mógłbym co prawda nic mu powiedzieć, ani nic przekazać, ale mógłbym go przynajmniej ostrzec i opowiedzieć, co się stało z jego siostrzenicą. Postanowienie to było już całkiem konkretne.

– Vero – oznajmiłem – jutro pojedę do Nowego Orleanu.

Przyjęła to oświadczenie całkiem spokojnie, jakby spodziewała się takiej decyzji.

– A ja pojedę z tobą także.

- Ty?

– Zaczęłam, to i skończę.

– Ależ Vero...

Oczy jej zabłyśły.

– Zawsze to słyszę: ależ Vero! Nie chcesz ze mną miłości, o tym wiem. Ty kochasz tylko tę... tę kobietę w Nowym Jorku. Ale co ty myślisz? Że ja jestem kobiecy pies? Poglaskać po głowie, a potem dać mu kopniaka w zadek? Zaczęłam, to i skończę.

Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, ale mi nie pozwoliła.

– Jeżeli powiesz jeszcze raz: „Ależ Vero!”, zacznę krzyczeć. Tutaj, w Meksyku, grozi niebezpieczeństwo także i mnie. Dzięki tobie strzelali do mnie. Chcesz mnie tutaj zostawić, żebym umarła przeszyta kulami, jak ta biedna pani Snood? Piff! Paff!

Nie sprzeczałem się już dłużej, gdyż w głębi serca chciałem, żeby ze mną pojechała. Kiedy już będę w Nowym Jorku, prawdopodobnie nigdy już jej nie zobaczę. Myśl ta coraz mniej mi się podobała. A tak przynajmniej czeka mnie jeszcze jutrzejszy dzień z nią.

– Ale co będzie z twoją wizą? Zdołasz dostać ją tak szybko? Jako Meksykanka...

– Kto mówi, że jestem Meksykanką? Przez męża tak, byłam, i to wszystko.

– No więc w takim razie jako Rosjanką, Ukrainką, czy kim ty w końcu jesteś...

Roześmiała się zabawnym, gardłowym śmiechem: – Ja mam paszport. Nie ma potrzeby żadnych wiz. Ja jestem Amerykanką.

– Amerykanką?

Odwróciła się ku mnie, słodko uśmiechnięta.

– Ależ tak. Jestem urodzona w Queens. A ty myślałeś, że co? Nie wszystkie dobre tancerki są Rosjankami!

Przez chwilę przyglądałem się jej, oniemiały. Ta kozacka czapka, ten urok Szecherezady, ten akcent... No i cały ten czar. Powinienem się domyślić, że to jeszcze nie wszystko.

I nagle pokochałem ją za to.

A ona ciągle się jeszcze uśmiechała. A potem w morderczy sposób naśladowując akcent brooklyński, zaczęła nucić pod nosem:

*East side, west side,  
All around the town...*

## XVII

– Skąd u ciebie ten importowany akcent? – spytałem.

– Importowany akcent? Mój sposób mówienia jest autentyczny.

– Naprawdę?

– Moja matka także jest tancerką. Kiedy się urodziłam, ona była w Nowym Jorku. Kiedy miałam cztery lata, pojechaliśmy do Buenos Aires. – Spojrzała na mnie powątpiewająco. – Nie podoba ci się mój akcent?

– Jest przerażający!

– Ja się staram – powiedziała pokornie. – Cały czas się staram, żeby był lepszy. Ale to ciężkie, kiedy przez cały czas rozmawiam z Hiszpanami.

Dojechaliśmy tymczasem do centrum miasta. Minęliśmy wesołe miasteczko, obwieszone kolorowymi lampionami. Przeczytałem

napis na rogu: Calle Merida. Byliśmy prawie w domu.

Zdołałem jako tako opanować oburzenie, chociaż Lena Snood ciągle jeszcze zajmowała moje myśli i pewnie na zawsze w nich pozostanie. Ale zamiar wyprawy do Nowego Orleanu bardzo mnie uspokajał. Może tam znajdę rozwiązanie całej tej afery... Ale ciągle jeszcze nie skończyłem z Meksykiem. Miałem do rozegrania partię z Hallidayem.

W hotelu Reforma na dole są kabiny telefoniczne. Vera weszła do jednej, zadzwoniła anonimowo na posterunek policji i wyszła szybko. Potem pojechaliśmy do mnie. Wyszedłem do kuchni zrobić drinki. Bardzo nam były potrzebne. Poza tym miałem w lodówce szynkę i ser. Przygotowałem kilka kanapek, bo przez cały dzień nie mieliśmy nic w ustach.

Kiedy przyniosłem tacę do saloniku, Vera poprawiała włosy przed lustrem zawieszonym nad kominkiem. Aż dziwne, ile razy w przeciągu tak krótkiego czasu zmienił się mój sąd o niej. Najpierw była tylko uroczą dziewczyną o ptasim mózdzku, dobrą do zabawy na krótki czas. Później intrygującą, przewrotną syreną. A teraz wydało mi się czymś całkiem naturalnym, że jest w moim mieszkaniu i robi miny do lustra. W przeciągu niecałego nawet dnia stała się jakby częścią mojego życia.

Siedzieliśmy obok siebie zjadając kanapki i popijając drinki. Prawie ze sobą nie rozmawialiśmy, ale sama jej obecność wpływała na mnie dobrze i uspokajająco. Nie poznałem wcześniej dziewczyny, która byłaby tak egzotyczna i swobodna.

Gdy zjedliśmy wszystko, poradziłem jej, żeby zatelefonowała na lotnisko i zarezerwowała miejsce na jutrzejszy lot. Kiedy usiadła przy aparacie, wymknąłem się dyskretnie z mieszkania. Nie chciałem, żeby wiedziała, że idę do Hallidaya. Była tak uparta, że na pewno chciałaby iść ze mną, a ja nie chciałem, żeby była przy rozmowie z Hallidayem.

Calle Dinamarca było tylko o parę ulic dalej. Poszedłem pieszo do Placu Waszyngtona. Wszystkie sklepy miały już pozapuszczane żaluzje na noc. Skręciłem w Dinamarca i niebawem stanąłem przed

domem, w którym mieszkał Halliday.

Spojrzałem na frontowe okna apartamentu nr 3. Za pasiastymi zasłonami widać było światło. Był więc u siebie, a może i Junior był z nim także. Ale było mi wszystko jedno. Nie miałem zamiaru uprzedzać go o mojej wizycie, nacisnąłem więc dzwonek mieszkania nr 1 i kiedy drzwi zostały zwolnione, prześliznąłem się szybko przez nowocześnie urządzonego hall i wpadłem z tyłu na klatkę schodową, zanim lokator spod jedyńki zdążył otworzyć drzwi.

Wszedłem na piętro i ruszyłem korytarzem do drzwi Hallidaya. Wyjąłem z kieszeni broń i wymierzyłem mniej więcej na wysokości dziurki od klucza. W większości meksykańskich mieszkań ściany są tak cienkie, jak gdyby były z dykty. Poczekiałem chwilę, nasłuchując głosów z wewnątrz. Nic nie dotarło do mnie.

Nacisnąłem dzwonek.

Po chwili usłyszałem szuranie nóg w kierunku drzwi i ujrzałem, że gałka się przekręca. Wycelowałem broń. Drzwi się otworzyły, a na progu stanął jakiś otyły, w średnim wieku Meksykanin, którego dotychczas nigdy nie widziałem. Miał na nogach ranne pantofle i fantazyjną, niebieską piżamę pod płaszczem kąpielowym.

– Proszę? – spytał po angielsku, a kiedy zobaczył wycelowany w siebie rewolwer, oczy wyszły mu na wierzch.

– Ręce do góry i cofnąć się do mieszkania! – rzuciłem do niego ostro.

Jego podwójny podbródek zaczął się trząść. Podniósł ręce nad głowę i zaczął cofać się do mieszkania. Poszedłem za nim, zamykając drzwi kopnięciem. Znane mi żółto obite meble dyskretnie błyszcząły w półświecie. Wazon z goździkami stał w tym samym miejscu. Wszędzie porozstawiane były walizki. Niektóre z nich były otwarte. Na podłodze wałały się ubrania, drobiazgi, pogniecione papiery i gazety.

Hallidaya nigdzie nie było widać.

Machnąłem rewolwerem przed człowiekiem w płaszczu kąpielowym i rozkazałem:



– Do sypialni!

Pot sphywał mu po policzkach, usta miał ciągle jeszcze otwarte, ale robił wrażenie, że stracił mowę. Niezgrabnie kroczył tyłem wśród rozłożonych walizek. Doszedłszy do drzwi sypialni, pchnął je plecami. Wszedłem za nim. W tym momencie usłyszałem przenikliwy krzyk kobiety.

W łóżku, w którym spędziłem poprzednią noc, leżała oparta o poduszki jakaś pulchna kobieta. Czytała magazyn ilustrowany. Spojrzała na mnie spoza pleców mężczyzny, a w jej oczach malowało się przerażenie.

I w tym pokoju stały dwa kufry i kilka walizek. Wszystkie szafy były pootwierane. Na drugim łóżku leżało porządnie złożone ubranie.

– Czego pan chce? – wykrzyknął nagle mężczyzna. – Pieniądzy? Dam pieniądze. Proszę. Dam wszystko, co posiadamy. Ale proszę nie robić krzywdy mojej żonie... Proszę zostawić w spokoju moją żonę...

Ciągle trzymając go na muszce skierowałem się do łazienki, otworzyłem kopniakiem drzwi i zajrzałem do środka. Była pusta. Kobieta cicho płakała i jęczała. Na głowie miała coś w rodzaju nocnego czepka w różowym kolorze, który przekrzywił się, zasłaniając jedno oko. Zaczęła mówić coś z przejęciem po hiszpańsku do mężczyzny. Odpowiedział jej coś, najwidoczniej starając się ją uspokoić.

Poczułem się strasznie głupio.

– Okay – powiedziałem, wskazując mu drzwi saloniku. – Proszę tam wejść.

Nie przestając mówić do kobiety, mężczyzna przeszedł do saloniku, a ja za nim. Zajrzałem też do kuchni, i tu również nie było nikogo. Usiadłem na poręczu jednego z foteli i zapytałem:

- Kiedy wróci Halliday?
- Halliday? – zdziwił się mężczyzna i aż zamrugął oczami.
- Chcę się zobaczyć z Hallidayem... Ja...
- Och... – uśmiech zdradzający jakąś dziką nadzieję rozlał się na jego twarzy. – To ten drugi lokator, Amerykanin, który dziś wyjechał.

Walizki, kobieta w sypialni... Wszystko zaczynało się stawać jasne.

– On wyjechał, proszę pana – tłumaczył mężczyzna. – Nie wiem, jak się nazywa. Ale ten człowiek dzisiaj rano wyjechał. Już od kilku miesięcy szukamy umeblowanego mieszkania, moja żona i ja. Nareszcie znajdujemy go. Kosztuje nas sto pesos portierowi w łapę. Zaraz dzisiaj po obiedzie sprowadzamy się, a teraz...

Nie było sensu zostawać tu ani chwili dłużej. Wyglupiłem się.

Powinienem być się domyśleć, że to miejsce przestało mieć dla Hallidaya znaczenie, skoro je widziałem. Nawet się nie zastanawiałem, czy ten mężczyzna w kąpielowym płaszczu mówi prawdę. Na pewno nie kłamał.

Niewinny lokator – to było po prostu wypisane na jego drżącym podbródki. Wsunąłem rewolwer do kieszeni. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Ręce ciągle jeszcze miał podniesione do góry.

– Bardzo mi przykro – powiedziałem. – Proszę przeprosić ode mnie małżonkę.

Otworzył usta, ale i tym razem żaden dźwięk z nich nie wyszedł.

– Domyślam się, że nie wie pan, dokąd wyjechał Halliday?

Potrząsnął w milczeniu głową.

– Niech pan o tym zapomni – uśmiechnąłem się. – Będzie pan miał teraz co opowiadać przyjaciółom.

Kiedy zbierałem się do odejścia, zawołał z niedowierzaniem:

– *Mama, mama, esta bien. El loco Americano se fué...*

I usłyszałem jeszcze tylko jego ciężkie kroki zmierzające szybko w stronę sypialni.

Zbiegłem szybko po schodach. Nie przypuszczałem, że zadzwoni na policję, ale wolałem nie ryzykować. Wymknąłem się na ulicę. Poczułem, że ogarnia mnie uczucie beznadziejności i przygnębienia. Gdzieś w tym mrocznym mieście znajduje się Halliday i jego ładniutki giermek. Gdzieś. Ale gdzie? Za osiem godzin już mnie tutaj nie będzie. Nie widziałem nawet jednej szansy na milion, żebym miał jeszcze kiedykolwiek zobaczyć Hallidaya, chyba żeby znowu chciał

na mnie zapolować.

Od wczorajszego wieczora koło zrobiło pełny obrót.

Szedłem do domu spodziewając się, że ujrzę przed nim jasnoniebieskiego sedana.

Ale nigdzie go nie było.

Wizerunek umierającej Leny Snood wrócił znowu. Leżała wciąż jeszcze w ciemności na opuszczonym kopcu, czy też policja już ją znalazła? Porzuciłem ją tam przecież dla szansy złapania Hallidaya...

Usiłowałem pocieszyć się wyobrażając sobie wizytę w Nowym Orleanie, ale w ponurym nastroju, w jaki wpadłem, i to nie wydawało mi się takie pewne. Mogłem udać się na poszukiwanie wuja Debory, ale cóż mogłem mu zaferować? Jedyna rzecz mająca znaczenie, a mianowicie książka – zginęła. Mogłem mu tylko przekazać straszną wiadomość o śmierci jego bratanicy.

I ostrzec przed Hallidayem.

Idąc po schodach na górę zacząłem myśleć o Verze i zaraz poczułem się lepiej. Coś jednakże ocalało z tego pogromu. Jest przecież Vera...

Dochodząc do drzwi mieszkania zacząłem szukać klucza. Kiedy go wreszcie znalazłem, usłyszałem dochodzące z wewnątrz mieszkania głosy. Moje nerwy zasygnalizowały niebezpieczeństwo. Czyżby mnie znowu wyprowadzono w pole? Czyżby Halliday albo Junior wyszpiegowali, że wyszedłem z domu, i zdążyli napaść na Verę? Wyjąłem z kieszeni rewolwer i oparłem się mocniej o drzwi, nasłuchując.

To był głos Very. Pierwszym moim uczuciem była ulga. Rozróżniałem jej głos, ale nie mogłem słyszeć, co mówi. Ostrożnie wsunąłem klucz do zamka, jeszcze ostrożniej przekręciłem gałkę i lekko uchyliłem drzwi.

Słyszałem wyraźnie głos Very. Rozmawiała z kimś przez telefon.

Zawsze można wyczuć, że ktoś mówi do telefonu. Ale uczucie ulgi prysło prawie natychmiast, jak się zrodziło, ustępując miejsca nieopisanemu szokowi, gdy dotarły do mnie jej słowa:

– Nie powiedział mi nic, ale przypuszczam, że poszedł do twojego mieszkania na Dinamarca – Vera roześmiała się cicho do słuchawki. – Jest wściekły na ciebie, bo zabiłeś panią Snood. Ale nic się nie przejmuj. Wszystko jest okay. W każdym razie mi on ufa. Jedź teraz do Nowego Orleanu i zabiera mnie ze sobą...

## XVIII

Potem nastąpiła krótka pauza. Widocznie słuchała, co mówił Halliday po drugiej stronie drutu. Puls bił mi w skroniach jak szalony. Czyniłem nadludzkie wysiłki, żeby nie wpaść do pokoju i nie schwytać jej na gorącym uczynku.

– A zatem wszystko ustalone. Do widzenia, panie Halliday.  
Nazwisko to wymówiła z ironicznym naciskiem i zachichotała.  
Usłyszałem odgłos odkładanej na widełki słuchawki.

W tym ciężkim dniu, w którym przeżyłem spisek i kontrspisek, ten moment był najcięższy. Świadomość, że tak fatalnie zawiodłem się na Verze, była niemal równoczesna z uczuciem, że wszystko przepadło. Ufałem jej... Szczerze ją polubiłem. Powiedziałbym nawet, iż byłem może bliski zakochania się w niej... A to przecież ważne. Ale o wiele ważniejsze było to, że znała adres pana Branda w Nowym Orleanie. Z chwilą zgubienia kryminałku, ten adres był moją jedyną możliwością „skoku” na Hallidaya.

Opowiadając wszystko Verze – opowiedziałem i jemu.

Niezmiernie dużo zależało teraz od tego, jak się zachowam w ciągu najbliższych minut. Stałem przed uchylonymi drzwiami, pogrążony w niewesołych myślach. Jedynym atutem, jaki pozostał mi w ręku, był fakt, że Vera nic nie wie o tym, iż zdemaskowałem ją jako współniczkę Hallidaya. Jeżeli ten plus stracę, utracę wszystko.

Wiedziałem, jak trudno mi będzie zachowywać się tak jak przedtem, kiedy jedyne, co chciałem teraz z rozkoszą zrobić, to chwycić ją za gładką, białą szyję i udusić!

Musiałem jednak grać raz przyjętą na siebie rolę.

Wróciłem więc na palcach do końca podestu. Za żadną cenę nie wolno było dopuścić, aby się domyśliła, że podsłuchałem jej rozmowę. Przeczekałem kilka minut, następnie podszedłem z powrotem do drzwi, włożyłem klucz do zamka, otworzyłem i wszedłem do hallu.

- Peter, to ty? – usłyszałem głos Very z saloniku.
- Tak... we własnej osobie.

Wszedłem do saloniku. Siedziała na kanapie, paląc papierosa, jak gdyby nigdy nic. Na mój widok wstała. Twarz jej zdradzała niepokój, udawany niepokój.

– Gdzie byłeś, Peter? Tak się wystraszyłam. Gdzie poszedłeś, nic mi nie mówiąc?

Wściekłość nadal kipiała w moim sercu, okazało się jednak, iż doskonale potrafię się opanować. I nawet łatwiej, aniżeli się spodziewałem.

- Poszedłem do Hallidaya.
- Do Hallidaya? Poszedłeś sam?
- Nie zastałem go.
- Wyszedł?
- Dał nogę. Jakiś nowy lokator zdążył już wprowadzić się do tego mieszkania.

Twarz jej wyrażała zrozumienie i współczucie.

– Biedny Peter! Jesteś taki wściekły! Chcesz się z nim bić? Zemścić się za Lenę Snood? Źle się z tym czujesz, prawda?

- Oczywiście, że w tej sytuacji nie mogę czuć się dobrze...
- Przestań się martwić. Lepiej trzymać się z daleka od niebezpieczeństw teraz, kiedy postanowiliśmy jechać do Nowego Orleanu, nie sądzisz?

- Chyba tak... Zarezerwowałam bilety?
- Właśnie skończyłam telefonować na chwilę przed twoim powrotem. Nie dostałam długo połączenia. Było ciągle zajęte i zajęte... Ale wszystko w porządku. Powiedziałam im, że zatrzymasz

się trochę w Nowym Orleanie.

Taka była cwana! Skoro istniała tylko milionowa szansa, że mogłem słyszeć ich rozmowę telefoniczną, udzieliła mi zadowolającego wyjaśnienia.

– To świetnie – powiedziałem. – Co myślisz o małym drinku?

Potrząsnęła przecząco głową.

– Lepiej już pójdę. Już późno. Wyjeżdżamy tak wcześnie. Muszę jeszcze spakować wszystkie moje rzeczy.

Wiedziała, gdzie jest teraz Halliday. Prawdopodobnie była z nim umówiona i dlatego już wychodzi. W pierwszej chwili pomyślałem, żeby ją śledzić. Ale jak? To przecież jej auto stało przed domem. O tej porze prawie niemożliwe było zdobyć taksówkę w takiej dzielnicy jak Calle Londres. Zanim złapałbym jakiś środek lokomocji, straciłbym ją z oczu, a wtedy... czekaj tatka latka!

Co wobec tego robić? Starac się zatrzymać ją tutaj przez całą noc? Rozwazałem już możliwość zagrania komedii miłosnej, ale szybko porzuciłem ten zamiar. Wiedziałem, że skoro ma lecieć do Nowego Orleanu, musi się spakować. Podobnie zresztą jak i ja. Jeżeli zaś zaproponuję, że ją odprowadzę i spędzę u niej noc, nie pakując przedtem walizek, domyśli się, że ją podejrzewam.

Będę musiał pozwolić jej wyjść. Nie pozostawało mi nic innego. Ciekaw byłem, co też wykombinuje wspólnie z Hallidayem. Czy będą próbować przeszkodzić mi w podróży do Nowego Orleanu? Nie sądzę, ponieważ przez telefon Vera wyraźnie dawała do zrozumienia, że ta podróż była jej na rękę. Byłem niemal przekonany, że Halliday także będzie w Nowym Orleanie. Jeżeli odlatywał jakiś samolot dzisiejszej nocy, to na pewno nim polecą.

Polecieć do Nowego Orleanu nie znaczyło uciec od niebezpieczeństwa. Wprost przeciwnie, oznaczało wpaść w paszczę lwa.

– Na pewno nie napijesz się strzemiennego? – spytałem.

– Nie, nie. Już idę. – Jej wielkie oczy wpatrywały się we mnie uroczyście. – Ja już muszę iść. Będziesz mnie... będzie ci mnie

brakować?

- Dobrze wiesz, że będzie mi ciebie brak.
- Taka dobra byłam dzisiaj, prawda?
- Niepowtarzalna!
- Co to znaczy „niepowtarzalna”? – wydeła usteczka.

To jej ustawiczne „co to znaczy” było przedtem dla mnie niezwykle urokliwe, ale teraz zorientowałem się, że to jeden z jej trików, że to tylko gra.

- To znaczy najlepsza, doskonała – wyjaśniłem.

– Och, Peter! Taka jestem szczęśliwa! To bardzo głupie być szczęśliwą z takiego powodu, że jeden żonaty mężczyzna będzie mnie trochę żałował... Wiem, ale to prawda.

Zarzuciła mi ramiona na szyję i przywarła wargami do moich ust... Wargi te były gorące, przekonywujące. Cała panorama jej oszustw i kłamstw roztoczyła się przede mną w tej chwili. Uwodzenie, przemyślnie, stopniowe wdzieranie się w moje zaufanie, chytre, podstępne pytania mające na celu wyciąganie ode mnie informacji. Korciło mnie, żeby przerzucić ją sobie przez kolano i dać parę solidnych klapsów. Zamiast tego pocałowałem ją również, przesuwając usta na policzek, potem ku oczom. Roześmiała się sobie tylko właściwym śmiechem, takim samym, jakim śmiała się niedawno do Hallidaya. Potem wysunęła się delikatnie z moich ramion.

– Nie, Peter. Muszę już iść. – Ujęła mnie za rękę i pociągnęła ku drzwiom. Kiedy doszliśmy do nich, powiedziała nagle, jak gdyby dopiero teraz o tym sobie przypomniała: – Och, rewolwer! Zabieram go z powrotem, prawda?

Pierwszy raz nie zostawiała żadnych wątpliwości co do swoich zamiarów. Uśmiechnąłem się i odpowiedziałem:

- Nie. Zatrzymam jeszcze ten rewolwer.

Musiała spostrzec swój błąd, gdyż prawie natychmiast zgodziła się ze mną.

– Tak, tak... tak będzie o wiele lepiej. Oczywiście. No cóż – pogłaskała mnie po uchu – dobranoc, Peter. Spotykamy się jutro o

6.30 na lotnisku.

– Dobranoc, Vero!

– I przestań się tak martwić, nie rozpaczaj już z powodu Leny.

Obiecujesz?

– Obiecuję.

Wyszła, a ja zamknąłem za nią drzwi. Były zaopatrzone w łańcuch, którego nigdy nie używałem. Teraz jednak zaczepiłem łańcuch, a potem szybko podszedłem do okna. Niebawem Vera wyłoniła się spoza drzwi wejściowych, wsiadła do swojego auta i odjechała.

Poszedłem do kuchni, żeby się czegoś napić. Teraz, kiedy zostałem sam, gniew znowu zapalił się we mnie z nową siłą. Drżącą ręką nalałem rumu i zaniósłem szklaneczkę do saloniku. Musiałem się przecież jeszcze spakować. Nie było tego wiele, tylko to, co miałem ze sobą w Jukatanie plus jeszcze jedną walizkę, bowiem większość bagażu odesłałem wcześniej z Iris.

Usiadłem na kanapie i pogrążyłem się w myślach. Zastanawiałem się nad własnym położeniem. Moja zaplanowana wizyta u pana Branda w Nowym Orleanie była właściwie cczą formalnością aż do tej chwili. Teraz jednak stała się niesłychanie ważna, dominująca. Będę musiał za wszelką cenę dostać się jakoś do niego i odpowiednio ostrzec, nim na horyzoncie pojawi się Halliday.

Stopniowo, w miarę jak rum mnie rozgrzewał, zacząłem kombinować, że mimo wszystko Vera może mi się przydać. Zabierała mnie do Nowego Orleanu jako więźnia, ale i ja – na odwrót – mogłem wykorzystać ją jako zakładniczkę. Cała ta historia zaczynała się przemieniać w gigantyczną grę w kotka i myszkę.

A do mnie należało uczynić z Very myszkę.

Zapakowałem się i ogoliłem, żeby rano już nie tracić na to czasu. Gdy skończyłem, sprzątnąłem łazienkę. Wszystkie rzeczy z szafki łazienkowej wrzuciłem do mojej gabardynowej torby z Jukataniu. Administrator domu miał komplet kluczy do mieszkania, nie potrzebowałem więc oddawać moich portierowi. Wsunąłem je do koperty i położyłem na stoliku w przedpokoju.



Nie było jeszcze późno, dochodziła dopiero jedenasta. Musiałem jednak wstać bardzo wcześnie, lepiej więc było trochę odpocząć. Rozebrałem się, nastawiłem budzik na 5.15 i wsunąłem się do łóżka. Drugie łóżko, w którym sypiała moja żona, wyglądało zimno i pusto.

Iris i Nowy Jork wydały mi się bardzo odległe.

„Nie rozpaczaj już z powodu Leny”.

To były słowa Very. Ostatnie jej słowa, zanim wyszła na spotkanie z mordercą Leny Snood.

Zdusiłem w popielniczkę papierosa, ale jakże chętnie zdusiłbym go o policzek Very!

Zgasilem lampę, ale sen nie przychodził. Leżąc w ciemności nie przestawałem rozmyślać. Vera była właścicielką tego wielkiego domu, była bogata, miała ustaloną pozycję w świecie. Halliday mógł znaleźć sobie każdą ilość Juniorów! Całe tuziny Juniorów można było kupić za grosze w Meksyku! Ale jak zdołał wynająć Verę? A może nie była wynajęta? Może była równorzędnym partnerem?

Wszystko jedno, jak było, w każdym razie rola jej stała się teraz dla mnie całkiem jasna. Halliday zastosował w stosunku do mnie dwie metody – bezpośrednią i pośrednią. Metoda bezpośrednia to był Junior. Vera była pośrednią, starą, prostą metodą od Dalili.

Jej zadaniem było odszukanie mnie na cmentarzu i zawiezenie do klasztoru Los Remedios, gdzie miał mnie dopaść Junior. Kiedy kradzież mojego ubrania nie przyniosła spodziewanego rezultatu, polecono jej wymanewrować mnie gdzieś w ciemną ulicę, gdzie Junior miał mnie porwać do samochodu.

Bywały chwile, kiedy próby zdobycia mojego zaufania musiały sprawić jej trochę trudności. Jej szybka reakcja na przykład na mój telefon rozwiała wprawdzie moje ostatnie podejrzenia co do niej, ale niemal zniszczyła ich plan uprowadzenia Leny w Xochimilco. Ale oczywiście tylko „niemal”. Ich zespołowa praca była od samego początku szczytem perfekcji. Na pewno zdobyli ode mnie wszystko, co chcieli.

Ale czy na pewno było to wszystko?

Zaczynałem się dziwić, czemu zwabili mnie do Cuicuilco owego wieczoru? Rozumiałem teraz, dlaczego skłonili Lenę Snood do zaproszenia również i Very. Chcieli tylko wzmacnić moje zaufanie do Very. Ale po co byłem im potrzebny ja?

Byłem niemal pewien, że nigdy nie uważali mnie za zwyczajnego turystę, który wpakował się w całą tę aferę przez przypadek. Dla nich byłem w dalszym ciągu współnikiem Debory Brand. A wówczas niewykłuczone, iż myśleli, że cały czas znałem adres Branda i że w takim razie, jeżeli mnie schwytają, będą mogli ten adres ze mnie wydusić.

Ale czy to było wszystko, czego chcieli? Jedynie adresu Branda? Kiedy Halliday zamordował Deborahę i skradł jej torebkę, musiał w niej znaleźć bilet lotniczy do Nowego Orleanu. A jeżeli tak, to od początku wiedział, jaki jest cel jej podróży. Czyż nie było to nieprawdopodobne, że ich wyszukany plan porwania był zainscenizowany jedynie w tym celu, żeby zdobyć nazwę ulicy i numer domu, który przecież mogliby znaleźć w książce telefonicznej Nowego Orleanu.

Pomyślałem więc, że ta powieść kryminalna z jakimkolwiek konspiracyjnym znakiem wewnątrz i adresem w Nowym Orleanie nie mogły usprawiedliwić tak skomplikowanego planu działania jak ten, z którym miałem do czynienia. Było bardziej prawdopodobne, że ciągle brakuje im tu czegoś, co w ich przekonaniu znajduje się w moim posiadaniu, czegoś, co miała mi dać Debora, a co może jest właśnie najważniejszym ogniwem całej zagadki?

Borykałem się bezustannie z tym nowym pomysłem tak długo, póki myśli nie zaczęły mi się mącić w głowie i nie zasnęłam.

Miałem okropne sny. Roily się od kobiet: Vera Garcia, Lena Snood, Debora Brand. Debora była duchem, Lena zwłokami.

A Vera była skrzydlatym azteckim wężem o pięknej, kobiecej twarzy.

## XIX

Przenikliwy dzwonek budzika zbudził mnie w zupełnej jeszcze ciemności. Wstałem i ubrałem się, wsuwając colta do kieszeni. W lodówce miałem jeszcze sok pomarańczowy. Zrobiłem sobie kawę i po tym prowizorycznym śniadaniu wziąłem w jedną rękę walizkę, w drugą tę gabardynową torbę i zszedłem na ulicę.

Była pusta. Przeszedłem się aż do Paseo i niemal natychmiast przy hotelu Reforma złapałem taksówkę.

Dowiozła mnie na lotnisko przed 6.30, za wcześnie, żeby nadać bagaż. Vera jeszcze nie przyjechała. Zamieniłem bilet tak, abym mógł zatrzymać się w Nowym Orleanie, i będąc jak zwykle optymistą, zarezerwowałem miejsce na samolot do Nowego Jorku odlatujący z Nowego Orleanu o dziesiątej wieczorem. Zapytałem też, czy poprzedniego wieczoru po godzinie dziesiątej odlatywał jakiś samolot do Nowego Orleanu. Okazało się, że normalny, wieczorny samolot z powodu awarii był opóźniony, i odleciał dopiero o północy. Czyli innymi słowy znaczyło to, że Halliday jest obecnie prawie na pewno w Nowym Orleanie.

Doznałem już zawodu przed startem. Moje szanse zobaczenia Iris jeszcze dzisiaj wieczorem ogromnie się zmniejszyły. Usiadłem na walizkach czekając na Verę.

Jakiś bosonogi chłopiec sprzedawał wczorajsze wydanie *Mexican Herald*. Kupiłem jeden egzemplarz, rzuciłem okiem na nagłówek i odłożyłem na kolano.

Lotnisko tego ranka wywierało przygnębiające wrażenie. Podenerwowani pasażerowie, skurczeni z powodu porannego chłodu, kręcili się szukając walizek, które wcale nie zginęły, tylko tkwiły tam, gdzie nie powinny, wykrzykiwali niepotrzebnie jeden do drugiego, zasięgając informacji nie tam, gdzie potrzeba. Jakaś stewardesa, ładna banalną urodą, nie dająca się odróżnić od innych stewardes, przechodziła obok flirtując z dwoma pilotami. Porządkowy w białej kurtce zamiatał niedopałki papierosów i papierki po cukierkach,

gromadząc wszystko na kupkę.

Moje wczorajsze wieczorne spekulacje zaczynały mnie dręczyć na nowo. Czy w dalszym ciągu moi prześladowcy uważają, że mogę im być potrzebny? Jeżeli nie, to dlaczego pozwalają mi lecieć do Nowego Orleanu? Czy ciągle są przekonani, że posiadam coś, bez czego są zablokowani? Minuty przeciągały się w nieskończoność. Zacząłem przeglądać gazetę. Ponieważ był to numer wczorajszy, wiedziałem, iż nie znajdę w nim jeszcze wzmianki o znalezieniu zwłok Leny. Dowiedziałem się natomiast, że ktoś się z kimś rozwiódł, że miss Leona, jakaś tam czarująca śpiewaczka, przygotowuje się do sensacyjnego występu w Meksyku w dniu...

Nagle moje oczy zatrzymały się na niewielkiej notatce u dołu trzeciej strony. Przeczytałem w niej:

#### ZAGINIĘCIE AMERYKAŃSKIEGO ARCHEOLOGA

*Lima, Peru. Z obozu ekspedycji archeologicznej Brand-Liddon, w głębi tego kraju, podają nam dzisiaj, że pan Joseph Brand, znany amerykański archeolog fińskiego pochodzenia, zaginął. Zniknął z obozu wczoraj wieczorem i chociaż rozesłano grupy poszukiwaczy, do tej pory nie natrafiono na jego ślad. Zachodzi obawa, że wydarzył mu się jakiś tragiczny wypadek w dżungli, albo że dostał się do niewoli któregoś z prymitywnych szczepów indiańskich zamieszkujących w sąsiedztwie obozu. Pan Frank Liddon, który stoi na czele ekspedycji razem z Brandem, był w tym czasie nieobecny w obozie, gdyż tydzień temu wyjechał do Argentyny.*

Przeczytałem notatkę jeszcze raz. Dowodziła ona w każdym razie niezbicie, że Debora mówiła prawdę przynajmniej jeżeli chodzi o zawód i inne szczegóły dotyczące jej ojca. Otwierało to równocześnie nowe, alarmujące widoki.

Przeciw jakiej wrogiej sile mam działać, skoro ojciec Debory mógł być porwany w Peru, podczas gdy Halliday w tym samym czasie zamordował Deborę w Jukatanie?

Nagle usłyszałem za sobą głos:

– Peter!

Rzuciłem gazetę na ziemię i odwróciłem się. Vera przeciskała się przez małe grupki pasażerów. Za nią kroczył portier niosąc elegancką, skórzaną walizeczkę. Vera wyglądała fantastycznie w pomidorowego koloru kostiumiku, czarnym, słomkowym kapeluszu i pelerynie ze srebrnych lisów. Wszyscy ludzie patrzyli na nią i założyłbym się, że każda kobieta jej zazdrościła. Myśleli pewnie, że jest kimś sławnym, może gwiazdą filmową. Mogła nią być. Miała taki styl.

Zastanawiałem się, czy naprawdę była tancerką, czy był to tylko jej wymysł. Uśmiechnęła się do mnie promiennie, na co jej odpowiedziałem podobnym grymasem twarzy.

– Dzień dobry, Peter.

– Dzień dobry.

Portier postawił jej walizkę obok mojej i zniknął.

– Jestem punktualna, co? Lubisz mnie dzisiaj? Czy masz jakieś plany co do naszego pobytu w Nowym Orleanie?

Korciło mnie, żeby zapytać: „A jakie są twoje plany, maleńka?” Odpowiedziałem jednak:

– Ot, po prostu zobaczyć się z tym facetem, Brandem. Cóż innego moglibyśmy tam robić? Masz jakieś inne propozycje?

– Ja? – wsunęła mi rękę pod ramię. – To ty jesteś ten wielki mózg. Ja? Ja jestem tylko tą głupią krówką, co ma słuchać.

Ogłoszono coś przez megafony, najpierw po hiszpańsku, potem po angielsku. Nie miało to nic wspólnego z nami. Stewardesa, tym razem bez towarzystwa pilotów, przeszła tuż obok, poprawiając włosy, zadowolona z siebie. Pewnie zjedli razem śniadanie.

– Peter?

– Słucham.

– Wiesz, ja myślę...

Stałem w duchu na baczność. Vera zawsze tak zaczynała, kiedy chciała coś „złowić”.

– Nad czym tak myślisz?

– Mówisz, że to chodzi tylko o tę książkę? O ten kryminałek? I o nic więcej?

Serce podskoczyło mi w piersi z wrażenia. Pytała, czy sądzę, że chodzi o coś więcej niż książkę. To znaczy, że moje poprzednie podejrzenia były słuszne! Ona i Halliday szukali czegoś, co miała Debora Brand. Nie znaczyło to wcale, że ja to posiadam. Tyle tylko, że oni tak właśnie myśleli. Ale...

– Co takiego, na przykład, Vero?

– Och – wzruszyła ramionami. – Nie mam pojęcia. Tyle tylko, że to mi się wydaje taką bagatelką. Tyle kramu, tyle zachodu o głupią książkę...

Jakaś mała dziewczynka podróżująca z wysokim mężczyzną, pozostawiona przez niego na chwilę tuż obok nas, przy koszu na śmieci, zaczęła rozpaczliwie płakać. Jakaś Amerykanka ze spiczastym nosem i po męsku ostrzyżonymi włosami podeszła do informacji. Widocznie wracała wprost z Acapulco. Twarz miała purpurową, a ostry nos wprost wzorcowo jak na taką opalenizną oblaził ze skóry.

Vera zachichotała.

– Boże drogi, co za widok! Zupełnie jak dobrze przyrumieniony befsztyk, nie sądzisz? Takie oparzenia mogą...

Nie słyszałem końca zdania. O p a r z e n i a . Słowo to wystrzeliło raptem w mojej świadomości jak rakietka. Coś, co dała mi Debora Brand. Przyszła do mojego pokoju w Chichén-Itzâ ze słoikiem maści na oparzenia słoneczne. Wtarła krem w moje plecy, a pudełko zostawiła na nocnym stoliku.

J e j krem na oparzenia słoneczne.

A wcześniej, już w samochodzie, to Debora zaczęła rozmawiać o moim poparzeniu. I ona też zaproponowała, że da mi trochę tego kremu. Przypomniałem sobie jej niespokojne spojrzenie, które rzuciła na walizkę, wchodząc do samochodu. Czy bała się o swój krem? A może właśnie ta najważniejsza rzecz była tam schowana? Czy pod pretekstem pożyczenia mi kremu od oparzenia chciała przemycić ten

przedmiot w kremie do moich rąk, gdzie byłby bezpieczny bez względu na to, co by się działo w jej pokoju?

Moje poprzednie fantastyczne pomysły powróciły z nową siłą. Klejnot! Jakiś klejnot mógł być łatwo ukryty w słoiku z kremem.

Od chwili kiedy Debora postawiła słoik z kremem przy moim łóżku, nigdy już o nim nie myślałem. Ale prawdopodobnie, machinalnie pakując swoje rzeczy przy wyjeździe z Chichén-Itzá, zapakowałem i krem. I zapewne znajdował się on przez cały czas w mojej szafce w łazience w Mexico City. No i wreszcie pakując wszystko, co było w szafce, zapakowałem i krem do mojej gabardynowej torby.

Kiedy splądrowano moje mieszkanie, łazienka pozostała nietknięta. Albo pomagier Hallidaya nie uznał za potrzebne przeszukać łazienkę, albo ktoś go spłoszył, nim skończył swoje zadanie. Mniejsza o to. Najważniejsze, że nie znaleźli tego, gdyż w przeciwnym razie Vera nie wspominałaby o „czymś jeszcze”.

Usiłowałem przypomnieć sobie wszystkie szczegóły pakowania moich przyborów toaletowych. Ani rusz nie mogłem skojarzyć, czy widziałem ten słoik, czy nie. Ale chyba musi tu być, musiałem go zapakować. Musi być w gabardynowej torbie, stojącej teraz na ziemi między mną a Vera. A torba ta nawet porządnie się nie zamyka...

Wszystkie te myśli przewinięły się przez moją głowę w ciągu kilku sekund. Wciąż jeszcze przyglądałem się owej turystce, której nos oblaził ze skóry. Spojrzałem na Verę i zauważyłem, że i ona się jej przygląda. Była bardzo zaabsorbowana i nie zorientowała się, że ją obserwuję. Miała w oczach jakiś dziwny wyraz, który nagle zmienił się w usilnie opanowywane podniecenie. Zniknął jednak równie szybko, jak się ukazał. Zdradzał jednak jej myśli tak jasno, jak gdyby wypowiedziała je głośno. Opowiadałem jej o tym epizodzie z kremem w Jukatanie. Przypatrywała się teraz tej kobiecie i dałbym głowę, że jej myśli przybrały ten sam obrót, co moje. Ona także zrozumiała ten epizod z kremem.

Moje uczucia mógłbym porównać do naciągniętej do granic

wytrzymałości gumy. Zaplanowałem, że pod byle jakim pretekstem odejdę na bok i sprawdzę zawartość mojej torby w toalecie. Teraz jednak nie mogłem tego zrobić. Jeśli uczyniłbym cokolwiek, co miałyby związek z moim bagażem, zdradziłbym Verze fakt, że miałem na myśli ten krem.

Nie przestawałem ani na chwilę myśleć o stojącej u moich stóp gabardynowej torbie. Miałem wrażenie, że wszyscy na lotnisku pilnują jej jak oka w głowie.

Vera udawała super nonszalancję. To był jej sposób maskowania się. Zaczęła szperać w torebce i wyjęła paczkę papierosów i płaskie pudełeczko zapalek. Włożyła do ust papierosa, potarła zapalną, a potem nagle krzyknęła, gdyż od zapalniczki zapalił się cały kartonik i przez moment to wszystko trzymała w otwartej dłoni.

– Do diabła! – rzuciła palący się kartonik na ziemię i przydeptała nogą.

Zrozumiałem jej grę. Przejrzałem ją tak wyraźnie, jak gdybym to ja sam wszystko obmyślił. Ogarnęła mnie panika.

Zwróciła się do mnie, wysuwając oparzony płomieniem palec.

Oczy jej płonęły pseudogniewem.

– Do diabła, jak mogę być taka głupia! Peter, proszę cię, to boli. Czy masz coś na oparzenie, żeby tak nie piekło?

– Poczekaj – powiedziałem. – Tam jest budka z kosmetykami. Zapytam, czy nie mają czegoś na oparzenia...

– Nie. Jeszcze jest zamknięta. Za wcześnie. Ale zauważyłam, że ty, Peter, miałeś w swojej łazience jakieś smarowidło na oparzenia słoneczne. Masz je chyba w twojej torbie, co?

Mógłbym powiedzieć, że nie mam, że zostawiłem wszystkie przybory toaletowe i kosmetyki w mieszkaniu. To by oznaczało koniec historii z Verą w moim życiu. Bóg jeden wie, jakby się z tego wykręciła, ale nigdy nie odważyłaby się polecieć samolotem, zostawiając tutaj słoik.

Miałem kilka sekund na powzięcie decyzji. Wiedziałem, że w Nowym Orleanie będę musiał stanąć oko w oko z Hallidayem. Lepiej



było więc zatrzymać Verę przy sobie, nawet kosztem pokazania jej słoika z kremem.

Lepiej zatrzymać mojego zakładnika.

– Peter – piszczała przejmująco. – To boli! Zajrzyj do torby! Błagam cię...

Przykucnąłem na ziemi i odsunąłem błyskawiczny zamek gabardynowej torby. Sięgnąłem między koszule i poczułem rękojeść brzytwy, sztywny włos szczotki do zębów.

Jest czy go nie ma? Jeżeli kremu nie ma, to oboje z Verą przegraliśmy. Ale jeżeli jest, to mimo że niebezpieczeństwo było poważne, nie straciłem jeszcze szansy zwycięstwa.

Palce natrafiły na coś okrągłego, gładkiego. Wyciągnąłem to na wierzch.

Słoik z kremem na oparzenia słoneczne był w torbie, jak przypuszczałem. Miałem go w ręce.

# KSIĘGA III

## NOWY ORLEAN

### XX

Nigdy przedtem właściwie nie przyjrzałem mu się dokładnie. Był średniej wielkości. Produkcji amerykańskiej, z hiszpańską nalepką.

Był ciężki. Stwierdziłem to z niejakim podnieceniem. Cięższy, aniżeli normalny słoik kremu.

– Szybko, Peter! – powiedziała nieprzyjemnym tonem Vera. – Daj mi go!

Spojrzałem na nią. Mimo woli, a nawet wbrew mojej woli – podziwiałem ją. Jej cały wypracowany szczegółowo plan powiedzie się, jeżeli słoik przejdzie z moich rąk do jej, ale nie mogłem jej dać tego do zrozumienia. W swej głupocie była wyraźnie rozgoryczona i zaniepokojona moją zwłoką.

– Ja to zrobię – powiedziałem. – Pewnie nie wiesz, ale jestem wręcz specem od udzielania pierwszej pomocy. Daj mi rękę.

Zrobiła to. Oparzenie ograniczało się do jednego palca. Odkręciłem słoik. Musiał być pełny, kiedy Debora nacierała nim moje plecy, teraz bowiem brakowało tylko odrobinę. Zadręczała mnie myśl, że oto trzymam w ręce rozwiązanie całej zagadki, i na razie nie mogę z tym nic zrobić.

Posmarowałem kremem oparzony palec. Ręka jej drżała. Nie wypuszczając słoika z ręki, zanurzyłem drugą rękę w torbie i wyjąłem mały bandażyk, którym obandażowałem palec.

– No widzisz, jak pięknie – pochwaliłem swój opatrunek.

– Co za idiotka ze mnie – skwitowała. – Niezgraba! Peter, daj mi

ten krem. Schowam go do mojej torby, dobrze?

Spodziewałem się tego.

– Nie sądzę, żeby ci się przydał na cokolwiek. To smarowidło jest dobre jedynie na oparzenia słoneczne. Ten opatrunek wystarczy ci do Brownsville. A tam kupimy jakąś lepszą masę.

Wiedziałem, że nie będzie dłużej obstawała przy swoim, gdyż zdawała sobie sprawę, że upieranie się przy takim głupstwie wzbudziłoby tylko moje podejrzenie.

Przez głośniki rozległ się głos:

*Pasażerowie lotu numer 564 do Brownsville, Nowego Orleanu i Nowego Jorku proszeni są o nadanie bagażu...*

Jeszcze raz musiałem powziąć błyskawiczną decyzję. Czy schować słoik do kieszeni, czy włożyć go z powrotem do torby? Był trochę za duży, żeby go wsunąć do kieszeni. Jeżeli go zatrzymam, Vera zaproponuje, że włoży go do torebki, a wówczas nie mógłbym nie zgodzić się na taką słuszną propozycję. Lepiej było zostawić go w torbie. Torba zostanie nadana i zarejestrowana, a ja dostanę pokwitowanie.

Włożyłem więc słoik z powrotem do torby i zaciągnąłem zamek błyskawiczny. Następnie włożyłem ją pod pachę i wziąłem do jednej ręki swoją, a do drugiej walizkę Very.

– Chodźmy.

Po zważeniu nas i bagaży, wręczono mi trzy kwitki. Kwitek na walizkę różnił się tylko o jedną cyfrę od kwitka na gabardynową torbę.

Jeżeli kwity miałyby Vera, obawiałem się, że w Nowym Orleanie zamieni je. Zatrzymałem więc przy sobie wszystkie trzy kwity. Wiedziałem, że nie może zaprotestować. Jest przecież całkiem naturalne, że mężczyzna podróżujący z kobietą ma wszystkie kwity i dokumenty podrózne.

Odprawa celna była czystą formalnością. Kiedy celnik sprawdzał pobieżnie bagaż, ja nie spuszczałem z oka gabardynowej torby. Niebawem bagażowy zaniósł wszystkie trzy pakunki do samolotu.

Dopóki nie dolecimy do Brownsville, krem na oparzenie był tak zabezpieczony, jak gdyby złożono go w podziemiach banku.

Kupiłem całą masę najróżniejszych magazynów i pism ilustrowanych, głównie dlatego, żebym nie musiał rozmawiać w czasie lotu z Verą. Ale ona jeszcze bardziej niż ja udawała zaczytaną. Kiedy samolot odrywał się od ziemi, wzbijał się w górę i krążył nad miastem, udawała ogromne zainteresowanie artykułem na temat, jak uczynić mieszkanie piękniejszym od innych za cenę 40 dolarów tygodniowo.

Nie odrywała nosa od magazynów aż do chwili, kiedy zbliżyliśmy się do Brownsville.

Z niejaką ponurą satysfakcją stwierdziłem, że jej sytuacja jest gorsza od mojej. Ja przynajmniej miałem w posiadaniu słoik, a dla niej było to jak pęczek marchewki przywiązanej przed nosem osiołka.

Dysponowała masą czasu, aby obmyślić plan, w jaki sposób wystrychnąć mnie na dudka w Brownsville. Miałem się podwójnie na baczności, ona jednak nie podejmowała żadnych wyraźnych kroków. Bagaż poszedł na cło, został ponownie zważony przez Zachodnie Linie Lotnicze, na nowo ostemplowany i odniesiony do samolotu, który miał nas zawieźć do Nowego Orleanu. Miałem trzy nowe kwitki w portfelu.

Jak dotychczas – ja byłem górą. Oczywiście nie było to znowu żadne ważne zwycięstwo. Prawdziwe niebezpieczeństwo zacznie się w Nowym Orleanie, z Hallidayem.

Nim samolot wystartował, kupiłem jakąś maść i bandażyk i zrobiłem Verze nowy opatrunek. Kiedy znaleźliśmy się w powietrzu, moja towarzyszka zagłębiła się znowu w jakiś inny magazyn ilustrowany.

Od czasu do czasu odzywałem się do niej, żeby moje milczenie nie wyglądało nienaturalnie, ale przeważnie cały czas rozmyślałem, co też będzie w Nowym Orleanie. Jeżeli będę chciał pójść zaraz do pana Branda, Vera zechce mi towarzyszyć, a ponieważ oficjalnie występuje nadal jako mój sprzymierzeniec, nie będę mógł się wymówić. Lepiej

będzie pójść najpierw do hotelu. Może uda mi się tam coś wymyślić.

Kiedy samolot huczał nad monotonnymi równinami Teksasu, zrodził się w mojej głowie pewien plan. Załatwił on jednak wyłącznie Verę, nie gwarantował natomiast bezpieczeństwa słoikowi z kremem.

O ile się dobrze orientowałem, Halliday zabił pana Branda w taki sam sposób, jak zabił Deborę i Lenę Snood. Jeżeli zabiorę słoik ze sobą, na ulicę Delfina 1462, to może okazać się, że dostarczam go wprost w ręce wroga.

Coraz bardziej denerwowałem się przy obmyślaniu odpowiedniego planu działania. Aż do chwili, kiedy przelatywaliśmy nad bezludnymi obszarami Luizjany i powoli zbliżaliśmy się do lotniska, nie wymyśliłem jeszcze nic konkretnego. Czulem wręcz panikę, kiedy wylądowaliśmy.

Teraz, kiedy byliśmy już na miejscu, Vera wydała mi się niepokojąco pogodna. Wsunęła mi rękę pod ramię i zapytała z radością:

- No i co, Peter? Co robimy najpierw?
- Chyba pójdziemy do hotelu. Musimy mieć przecież jakąś określoną bazę operacyjną.
- Tak, tak! Do St. Charles, prawda?

Wymieniła nazwę hotelu zbyt pośpiesznie. Hotel St. Charles był prawdopodobnie tym, jaki zasygnalizowała Hallidayowi.

– Powiedzmy raczej... Montedoro – zaoponowałem. – Zawsze się tam zatrzymuję.

- Ale przecież St. Charles jest...

Nie dokończyła zdania. Jeszcze raz przestraszyła się zbytniego nalegania. Lęk, żeby nie wzbudzić moich podejrzeń, krępował jej plany. Nadal więc byłem górą.

Byłem tak długo w Meksyku, że przywykłem już do hiszpańskiej mowy, do egzotycznego otoczenia, do kolorowej, barwnej atmosfery, do swobody w zachowaniu. Wydało mi się dziwne, że znalazłem się znowu gdzieś, gdzie nie było żebraków, gdzie nie włóczyły się w

poszukiwaniu pożywienia bezpieczeństwa psy. Przeciskaliśmy się przez ożywiony tłum, który zdawał się składać wyłącznie z ludzi eleganckich i zamożnych. Za niewielkim barem barman sprzedawał amerykańskie drinki. Czuję, że dobrze by mi zrobiła jedna whisky, ale lada chwila mogły nadjechać nasze walizki.

Z uczepioną ciągle mego ramienia Vera, ruszyłem ku bagażowni. Ukradkiem rozglądałem się, czy nie dojrzę gdzieś Hallidaya, chociaż nie posądzałem go o tyle bezczelności, żeby czekał na mnie już na lotnisku. Nie zauważyłem go jednak nigdzie.

Ciągle dręczyła mnie niepewność, co mam zrobić ze słoikiem kremu. Był zbyt pękaty, aby go nosić w kieszeni. Mimo wszelkiej ostrożności Vera mogła znaleźć okazję zabrania go, jak tylko znajdziemy się w hotelu.

Jeden z kolorowo ubranych bagażowych podszedł do nas i zapytał o walizki.

– Tak, mamy bagaż – odpowiedziałem i wyciągnąłem ramię spod ręki Very. – Poczekaj tu, zaraz wracam – zwróciłem się do niej.

Wręczyłem bagażowemu kwitki bagażowe i poszedłem za nim w kierunku bagażowni. Za mną poszła także Vera. Duża grupa ludzi skupiła się przy kontuarze. Widocznie musiało lądować kilka samolotów jednocześnie.

Nadciągnęły walizki i torby. Ludzie zaczęli wykrzykiwać, wskazując poszczególne sztuki bagażu i zrobiło się ogólne zamieszanie, jak zwykle w takich okolicznościach. Pojawiła się walizka Very ze świńskiej skóry i bagażowy zdjął ją z kontuaru.

– To jedna nasza – powiedziałem. Bagażowy odstawił ją na bok, nie sprawdzając kwitka. Następnie pojawiła się moja duża walizka.

Wskazałem mu ją i tę odstawił również na bok. Nadjechała nowa porcja bagażu. Zobaczyłem moją gabardynową torbę, leżała na samym wierzchu. Bagażowy zdjął ją i postawił na ziemi. W tym momencie w stosie innym toreb i walizek zobaczyłem jeszcze jedną taką samą gabardynową torbę i była to następna, jaką wziął do ręki bagażowy.

Postawił ją tuż obok mojej.

Torby były identyczne. Produkuje ich miliony. Ja jednak poznałem moją po niewielkiej plamie z oliwy z boku. Przypomniałem sobie nagle próbę zamiany toreb, jakiej chciał dokonać Halliday w Meksyku. Wiedziałem już, co mam zrobić.

Przecisnąłem się przez tłum i pochylając się nad barierką, podniosłem nie moją gabardynową torbę.

– Proszę – wyminąłem Verę i podałem torbę bagażowemu. Nie spojrział nawet na kwit. Wiedziałem, że nie spojrzy, ponieważ nie sprawdzał i innych kwitów. Już kiedyś raz w swoim życiu zabrałem nie swoją walizkę na lotnisku, wiedziałem więc, jaka jest dalsza procedura. Ktoś, czyją torbę teraz zabrałem, odkryje na pewno pomyłkę i zwróci nie swój bagaż. Kiedy Zarząd Linii lotniczych będzie mnie szukał, torba automatycznie zostanie przechowana w biurze rzeczy zgubionych w Atlancie, w Georgii.

Kiedy bagażowy zanosił nasze walizki do taksówki, czułem dreszcz triumfu. Było wprawdzie głupio sprawiać komuś kłopot zamianą toreb, ale to było najmniejsze zmartwienie. Jeżeli człowiek ten, na skutek wyjątkowego zbiegu okoliczności, pojedzie dalej z moją torbą, słoik z kremem będzie poza zasięgiem Hallidaya. A kiedy się już upewnię co do wuja Debory, mogę zatelefonować na lotnisko i w ciągu kilku godzin moja torba zostanie sprowadzona z Atlanty.

Vera wsiadła do taksówki, ja zaś dałem suty napiwek bagażowemu i podałem kierowcy adres hotelu Montedoro. Po blisko dziesięciu minutach byliśmy w centrum miasta i wjechaliśmy w Baronne Street, mijając po drodze gmach hotelu St. Charles. Vera rzuciła nań przelotne spojrzenie, a potem odwróciła wzrok w drugą stronę. Zastanawiało mnie, czy też Halliday czeka na nas w hallu.

Przejechaliśmy przez Canal Street, na której roiło się od tłumy ludzi, cofnęliśmy do starej dzielnicy francuskiej i w końcu dotarliśmy do Montedoro.

Portier wyszedł nam na spotkanie i zabrał bagaże. Zamówiłem dwa pokoje obok siebie i kiedy pikolak wioził nas na górę windą,

jeszcze raz powtórzyłem w myśli swój plan, opracowany w samolocie. Doszedłem do wniosku, że wszystko powinno się udać. Kiedy podchodziliśmy do naszych drzwi, zaproponowałem Verze:

- Kiedy się już rozpakujesz, przyjdź do mnie na poradę wojenną. Uśmiechnęła się uradowana. Podobało jej się to.
- Tak, Peter, przyjdę prędko.

Pikolak zaniósł jej bagaże do pokoju, a potem wniósł moje walizki. Zapłaciłem mu i zniknąłem drzwi. W każdym pokoju był telefon. Wiedziałem, że Vera zatelefonuje zaraz do Hallidaya. Nie mogłem jej w tym w żaden sposób przeszkodzić, ale w zasadzie nie zależało mi na tym. Nie robiliśmy przecież żadnych konkretnych planów, nie mogła więc powiedzieć nic innego poza faktem, że przyjechalśmy. Nie obawiałem się, że Halliday podejmie coś tak ryzykownego, jak porwanie mnie” z hotelu. Oczywiście, że Vera opowie mu o kremie. A on jej odpowie, że jej zadaniem jest zdobyć ten słoik.

Jeżeli nie myliłem się zbyt, Halliday chwilowo zniknie ze sceny, a Vera pozostawiona będzie własnej pomysłowości.

Mój pokój był normalnym pokojem hotelowym z łazienką. Poszedłem sprawdzić, czy łazienka ma klucz w drzwiach. Owszem, miała. To nie były meksykańskie mury, wiedziałem, że nie będę mógł podsłuchiwać rozmów Very. Otworzyłem więc tymczasem swoją dużą walizkę i zacząłem się rozpakowywać.

Jak się spodziewałem, wkrótce rozległo się pukanie, a kiedy otworzyłem, weszła Vera bez kapelusza i srebrnych lisów. Nadal miała na sobie kostium w kolorze pomidora. Przyczesła włosy i zrobiła świeży makijaż. Wyglądała wspaniale – gwiazda Hollywood w technikolorze. Dziwiłem się, dlaczego nie pojedzie na wybrzeże i nie zrobi sensacji w świecie filmowym, zamiast włóczyć się po świecie z mordercami.

Wyjąłem z walizki pęk krawatów i zacząłem wieszać je w szafie ściennej.

- Ja już się rozpakowałam. Szybka jestem. Chcesz, to ci pomogę – zaszczębiotała.



I tego również się spodziewałem. Najwidoczniej otrzymała już rozkazy od Hallidaya. Wskazałem gestem gabardynową torbę.

– A może zajęłabyś się tym? – spytałem. – Weź ją lepiej do łazienki, są w niej głównie przybory toaletowe.

Sięgnęła gwałtownie po torbę. Tak dobrze już ją poznałem, że czytałem w niej jak w otwartej książce. „Głupi, myślała pewnie w swoim przewrotnym umyśle, sam podaje mi krem na srebrnym półmisku”. Przeniosła torbę do łazienki, a ja szedłem za nią w krawatami w ręce. Kiedy się schylała, żeby otworzyć torbę, wziąłem ją za łokieć i łagodnie okręciłem dookoła.

– Wiesz co, Vera?

Gęste, czarne rzęsy zatrzepotały uwodzicielsko, ale widziałem, że z trudem panuje nad niecierpliwością.

– Co takiego, Peter?

– Masz w sobie coś, co może doprowadzić człowieka do szału – powiedziałem.

Zachichotała swoim niskim, gardłowym śmiechem.

– Naprawdę tak myślisz? Ty, który jesteś tak przywiązany do żony?

– Mogę się... odwiązać...

Pochyliłem się ku niej. Podniosła głowę do góry i położyła ręce na moich ramionach.

– Peter...

Wargi jej niemal dotykały moich. Z bliska wydały mi się groteskowo szerokie, ale doskonałe w rysunku, jak koralowe, wycięte w serduszko usta jakiejś dziewczyny z reklamy.

Zasłoniłem ręką jej usta. Wydała stłumiony okrzyk i zaczęła się wrywać. Wsunąłem jej między zęby chusteczkę. Prawie mnie ugryzła. Wcisnąłem jej głowę pod swoje ramię i zacząłem wiązać krawatem ręce z tyłu.

Nie jest trudno pokonać kobietę, nawet jeżeli kopie i gryzie. W ciągu kilku minut związałem także jej stopy. Zakneblowałem również usta. Mogła oddychać, ale nic ponadto.

Podniosłem ją z podłogi, przerzuciłem przez ramię i posadziłem w wannie. Bardzo trudno jest wydostać się ze śliskiej wanny.

Patrzyła na mnie płonącymi oczami, pełnymi oburzenia.

– Chodzi ci o to związanie i zakneblowanie? – spytałem. – Przecież to numer stary jak świat!

Uśmiechnąłem się do niej i pomachałem przyjacielsko ręką. Potem wziąłem nie moją gabardynową torbę, tak na wszelki wypadek. Wyszedłem z łazienki i zamknąłem za sobą drzwi.

Operacja „Vera” udała się. Teraz należało przystąpić do znacznie niebezpieczniejszej operacji – Operacji „Brand”.

## XXI

W ten sposób rozprawiłem się z Verą, ale nie z Hallidayem, który był znacznie groźniejszym przeciwnikiem. Niemal pewny byłem, że bawił już od sześciu lub siedmiu godzin w Nowym Orleanie. I miał wystarczająco dużo czasu, by pozbyć się pana Branda w podobny sposób, w jaki pozbył się Debory i Leny i w jaki jego przyjaciele pozbyli się prawdopodobnie ojca Debory.

Mój mały sukces nastroił mnie optymistycznie, a colt w kieszeni poprawił samopoczucie. Przecież w końcu i do mnie muszą przyjść szczęśliwsze momenty. Może nastąpi to właśnie teraz. Niewykluczone, że zastanę pana Branda bezpiecznie zakotwiczonego na ulicy Delfina pod numerem 1462.

Wyszedłem z pokoju, zamknąłem drzwi na klucz, a klucz oddałem na dole w portierni. Zabrałem również ze sobą zamienioną torbę gabardynową, którą powinienem teraz zwrócić w biurze Linii Lotniczych.

W hallu hotelowym pełno było ludzi i panował gwar. Idąc w stronę drzwi obrotowych zauważyłem pod ścianą kilka budek telefonicznych. Wydało mi się mało prawdopodobne w tej sytuacji, kiedy wszystko przychodziło z wielkim trudem, żeby numer pana

Branda był w książce telefonicznej. Zaryzykowałem jednak i zacząłem szukać. Ku memu wielkiemu i radosnemu zdziwieniu znalazłem: William C. Brand, ulica Delfina 1462 B.

Tym samym przecucie bliskiego sukcesu niebotycznie wzrosło. To był dobry omen. Jasne, że mądrzej i bezpieczniej było zatelefonować do pana Branda przed przyjściem do jego mieszkania, które może okazać się pułapką. Wszedłem do jednej z kabin i nakręciłem numer. Prawie natychmiast odezwał się szorstki, głęboko męski głos, który na pewno nie był głosem Bilia Hallidaya.

– Pan Brand? – spytałem.

– Tak, przy telefonie – odpowiedział głos.

To mi się wydało zbyt piękne... Mówiłem więc dalej:

– Tu mówi Peter Duluth. Pan mnie nie zna, ale ja jestem przyjacielem Debory.

– Debory!

Pan Brand mówił spokojnie, ale wyczułem w jego głosie hamowane podniecenie.

– Mam dla pana coś ważnego, coś od Debory. Czy mógłbym przyjść zaraz do pana?

– Oczywiście, panie Duluth.

Może to zabrzmiało melodramatycznie, ale uważałem, że mądrzej będzie dodać:

– Może pan o tym nie wie, ale pewni ludzie chcą sprawić nam kłopot. Zadzwoń więc trzy razy. Proszę nie wpuszczać nikogo, zanim pan się ze mną nie zobaczy.

Oczekiwałem zdziwienia, ale głos pana Branda był równie spokojny jak przedtem.

– Tak jest, panie Duluth. Zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Trzy razy, mówi pan?

– Trzy razy.

Odwiśliłem słuchawkę. Ręka mi drżała z podniecenia. Teraz nareszcie nadeszła moja szansa, tak długo oczekiwana. Tu nie chodzi o jakąś walkę, strzelaninę i bójkę. Wszystko skończy się spokojnie w

zwyczajnym mieszkaniu. Może nawet uda mi się złapać nocny samolot i być w Nowym Jorku na umówionym spotkaniu z Iris.

Wyszedłem z budki i zajrzałem jeszcze raz do książki telefonicznej, żeby sobie na wszelki wypadek zapisać numer telefonu pana Branda. Wtedy zobaczyłem, że jego nazwisko podane jest dwukrotnie. Pod jego adresem domowym widniało jeszcze: *William Brand, inżynier górnik* i adres na Dock Street.

A więc wuj Debory był inżynierem górnikiem. Zastanawiałem się nad tym nowym dodatkiem do moich wiadomości, kiedy wychodziłem z hotelu.

Mój zegarek wskazywał 4.30. Rozejrzałem się dokoła chcąc się upewnić, czy nigdzie nie czai się Halliday, ale nie zauważyłem go. Szedłem powoli, przyglądając się twarzom mijanych przechodniów i upewniając się od czasu do czasu, czy nikt mnie nie śledzi. Z pewnością byłbym śledzony, gdyby Vera zdążyła uprzedzić Hallidaya, że wychodzę. Myśl o Verze związanej w łazience i unieszkodliwionej jeszcze bardziej poprawiła moje samopoczucie.

Byłem w Nowym Orleanie kilka razy i znałem to miasto dość dobrze. Teraz znajdowałem się na Royale. Przypomniałem sobie, że ulica Delfina ciągnie się równolegle do Royale. Po obejrzeniu Mexico City ta słynna Dzielnica Francuska w Nowym Orleanie wydaje się raczej sztuczna. Stare domy z delikatnymi, z kutego żelaza wykonanymi balkonikami, mają wiele wdzięku, ale wszystkie są sztuczne. Ameryka nie umie zostawić dobrych rzeczy w spokoju. Kiedy mijałem dziko udekorowaną drogerię, jak z operetki braci Shubertów „Niegrzeczna Marietta”, zacząłem poważnie zastanawiać się nad tym, że pan Brand jest inżynierem górnikiem. Nowa myśl pojawiła się w mojej głowie. Ameryka Południowa jest wyjątkowo bogata w minerały. Ojciec Debory był archeologiem. Archeolodzy prowadzą przecież wykopaliska. Czyżby rozwiązanie tej tajemnicy było związane z jakąś kopalnią?

Doszedłem tymczasem do ulicy Delfina. Była to jeszcze jedna z owych malowniczych ulic. Jakaś kobieta w malarskim kitlu, pozująca

na kogoś z cyganerii, siedziała przed sztalugami na chodniku, malując scenę ze starego, wesołego Nowego Orleanu. A gdyby się tak zdarzyło, że pan Brand w swoich poszukiwaniach archeologicznych natknął się na jakieś złoża mineralne, na jakąś żyłę, która mogłaby mieć olbrzymie znaczenie, ale której autentyczność nie była pewna na sto procent, dopóki nie potwierdził jej zawodowy inżynier górnik? Mógł więc posłać córkę, by skontaktowała się z bratem, i to wysłać ją w sekrecie, ponieważ inni ludzie również interesowali się tym znaleziskiem. A ci inni mogli starać się nie dopuścić do jej spotkania z Williamem C. Brandem. Coś w rodzaju kopalni mogącej przynieść krociowe zyski temu, kto ją posiadał, mogło stanowić dostateczną pokusę i doprowadzić do zbrodni ze strony konkurentów.

Do tego czasu nigdy nie rozwijałem tej najprostszej teorii, która mogła spowodować to wszystko, co mi się przydarzyło. Czy to mogło być to? Bracia Brand i Debora przeciwko Hallidayowi i Verze Garcii?

Na ulicy Delfina znalazłem się w okolicy numeru 200. Minąłem malarkę w kitlu i poszedłem w dół ulicy.

Ta powieść kryminalna mogła zawierać jakieś bardzo ważne informacje o kopalni, informacje zakodowane. A słoik z kremem? Co mógł zawierać? Może próbkę? Próbkę rudy?

Nareszcie moje domysły co do zawartości słoika przestały się obracać wokół fantastycznych klejnotów i drogocенności Inków i weszły w świat brutalnego handlowego prawa konkurencji i przemocy. Ale kim byli rywale Branda? Musiała to być duża organizacja, skoro zdołała uprowadzić ojca Debory w Peru, wysłać Hallidaya za Deborą do Jukatana i zatrudnić Verę jako agentkę w Mexico City.

Agent. Słowo otwierające nawet szersze perspektywy. Czy stał za tym rząd? W dzisiejszych czasach nieoficjalne miniaturowe wojny dla przejęcia kontroli nad jakimś minerałem dzieją się na całym świecie. Czy zostałem przypadkowo wplątany w taką wojnę?

Rozmyślając tak doszedłem do numeru 1462. Byłem pewien, że nikt mnie nie śledził. Nikt też nie kręcił się koło tego domu.

Był to stary budynek, odrestaurowany i zamieniony na dom mieszkalny. Żelazne balkony pomalowane były na czerwono i udekorowane pnącym winem i czerwonym geranium. Na parterze był sklep z wydawnictwami artystycznymi. Okna wystawowe zdobiły sztychy i książki. Tuż przy sklepie były drzwi wejściowe prowadzące do części mieszkalnej budynku. Oznaczone były numerem 1462 B. Wszedłem do środka. Przy guzikach dzwonek umieszczone były wizytówki z nazwiskami mieszkańców. Przy dzwonku do apartamentu nr 4 widniał bilecik z napisem:

William C. Brand.

Czując się niezmiernie podniecony i uradowany, nacisnąłem dzwonek trzykrotnie.

Prawie natychmiast brzęczyk na górze zwolnił zatrząsk u drzwi. Wszedłem do małego holu pomalowanego na delikatny żółty kolor i zacząłem się wspinać po schodach. Po przebyciu trzech pięter znalazłem się na samej górze. Prawdopodobnie Brand zajmował całe piętro. Jego bilet wizytowy przybity był na jedynych drzwiach. Łatwość tego wszystkiego wydała mi się wprost żenująca. Zapukałem do drzwi. Otworzyły się. Na progu stał wysoki, tęgi mężczyzna o rudych włosach i intensywnie niebieskich oczach i uśmiechał się nieśmiało do mnie. Wyciągnął rękę.

– No cóż, panie Duluth. Narobiłem straszliwego zamieszania, ale cieszę się, że nareszcie pana widzę – powiedział.

Spodziewałem się, że ujrzę nieznanego mi pana Branda, spodziewałem się niebezpieczeństwa i Hallidaya, nigdy jednak nie oczekiwałem takiej niespodzianki! Byłem ogromnie i szczerze zdumiony, gdyż człowiekiem stojącym na progu przede mną był pan Johnson, młody żonkoś z Jukatana...

## XXII

W jego przepaszającym uśmiechu widniała znana mi słodycz.

– Szczerze przyznaję, że widok pana sprawia mi wielką ulgę – zaczął. – Gdybym miał więcej oleju z głowie, mogłoby się to stać już znacznie wcześniej. Proszę, niech pan wejdzie.

Zawahałem się chwilę, stojąc w progu. W tej zawikłanej sprawie, gdzie wszystko wcześniej czy później stawało się nie tym, czym było na początku, można było z łatwością podejrzewać, że nawet ów młody żonkoś z Jukatanu stanowił fragment układanki. Ale wydawało się wręcz nieprawdopodobne, że on właśnie mógł być wujkiem, do którego Debora tak się śpieszyła.

Widocznie odgadł moje myśli, gdyż powiedział: – Widzę, że pan mi nie ufa. Przypuszczam, iż fakt, że jestem wujem Debory, musi się wydać panu nieprawdopodobny. – Tu skinął głową w kierunku znajdującego się za jego plecami apartamentu. – Pan z pewnością myśli, iż zastawiłem tu na niego pułapkę. Moglibyśmy więc wyjść gdzieś do miasta i obgadać całą sprawę w jakimś barze czy kawiarni...

Jego szczerość i prostota mogły być, oczywiście, grą, ja jednak nie posądzałem go o to. Poza tym miałem przecież broń. Odpowiedziałem więc, że wolę raczej porozmawiać na miejscu.

– Doskonale – ucieszył się i odwróciwszy się ruszył swoim ciężkim, ale pełnym gracji krokiem atlety przez mały hall do wąskiego, długiego i nieporządnego pokoju. Ja szedłem za nim.

Pod oknem stało duże biurko, zarzucone papierami i małymi buteleczkami, prawdopodobnie próbkami jakichś minerałów. Półprzymknięte drzwi prowadziły do następnego pokoju.

– Mój warsztat pracy – wyjaśnił. – Cała zasadnicza i najważniejsza praca odbywa się w biurze, ale tutaj przeprowadzam pewne doświadczenia indywidualne. Mam dom na przedmieściu, gdzie urzęduje moja żona. Tutaj to po prostu taka dziupla, moje dawne kawalerskie lokum. Proszę, niech pan usiądzie.

Wskazał dość zniszczone krzesło, obite niebieską skórą. Usiadłem i postawiłem gabardynową torbę na dywanie przy moich nogach. On zaś obszedł biurko dokoła i usiadł na stojącym za nim krześle.

– Tak więc, panie Duluth – zaczął – teraz, kiedy się nad

wszystkim zastanawiam, rozumiem postępowanie biednej Debory. Ale wtedy, w Jukatanie, nie miałem pojęcia, że pan jest kimś innym, niż zwyczajnym turystą – spojrzał na mnie prawie podejrzliwie. – Pan chyba wie, co mam na myśli?

– Że Debora została zamordowana – powiedziałem. – Że zamordowano ją z powodu czegoś, co wiozła z Peru.

– Właśnie – potwierdził i odetchnął z ulgą.

– Czy nie było to coś w związku z kopalnią? – zasugerowałem. Położył swoje duże ręce na biurku i uważnie im się przyglądał.

– Przypuszczam, że Debora miała do pana pełne zaufanie i powiedziała panu.

– Nic podobnego. Ja sam doszedłem do takiego wniosku po tej tragedii z Deborą, między jednym a drugim zamachem na moje życie. Ale może pan zechce mnie teraz wtajemniczyć w tę całą sprawę? Może to dziwne, ale jestem ciekawy...

Jego ujmujący uśmiech wrócił.

– Wcale nie mam panu tego za złe – odparł i zrobił krótką pauzę. – Ale przede wszystkim powiedział mi pan przez telefon, że coś mi przyniesie, tak? Ma pan książkę i... tę próbkę?

A więc miałem rację, jeśli chodzi o słoik z kremem na oparzenia.

– Nie, nie mam książki. Halliday ją ma. Nie mam także próbki, ale ją mogę mieć w każdej chwili. Jest absolutnie bezpieczna.

Spojrzał mi prosto w twarz swymi niebieskimi oczami. Nie mogłem zorientować się, czy wiadomość, że książka znajduje się u Hallidaya, była dla niego ciosem, czy nie.

– Czy jest pan gotów dać mi tę próbkę, jeżeli zapewnię pana o swej uczciwości?

– Tak – odpowiedziałem.

– A zatem najlepiej będzie, gdy opowiem panu wszystko od początku. Gdy dowie się pan wszystkiego, sądzę, że upewni się pan o mojej uczciwości. Natomiast nie wiem, czy będzie się panu podobał sposób mojego postępowania. Wszystko bardzo zagmatwałem, ale to dlatego, że jestem amatorem, jeżeli chodzi o konspirację. Obawiam



się, iż miało to tragiczne następstwa.

Poczęstował mnie papierosem z pudełka na biurku, ale podziękowałem.

– Wszystko zaczęło się od mojego brata – kontynuował. – Joseph też był inżynierem górnikiem. Potem zainteresowała go archeologia i już nic poza tym. W ciągu ostatnich piętnastu lat przebywał w Południowej i Środkowej Ameryce, w Gwatemali, Ekwadorze, Peru. Przed trzema miesiącami Joseph i drugi uczoney...

– Frank Liddon – przerwałem mu, przypomniawszy sobie notatkę w gazecie. – Ale à propos, czytałem, że pański brat zaginął?

Spojrzał na mnie poważnie.

– Czytał pan? Tak. Joseph i Liddon podjęli tę ekspedycję w głąb Peru. To dziki kraj, tysiące mil od cywilizacji. Joseph przypuszczał, że jest na drodze do odkrycia jakiegoś starożytnego miasta Inków. Nigdy jednak tego miasta nie znalazł. Natomiast przez dłuższy czas on i jego ekipa prowadzili w tamtych stronach prace wykopaliskowe. Aż pewnego razu, mniej więcej trzy tygodnie temu, Joseph natknął się na tę żyłę rudy. Miał na tyle wykształcenia geologicznego, że zrozumiał, iż ruda ta może zawierać coś o niesłychanym znaczeniu. Ściślej mówiąc, podejrzewał, że zawiera ona wysoki procent toru.

– Toru... – powtórzyłem jak echo, nie zastanawiając się głębiej.

– Pan nie wie, co to jest tor? To bardzo bliski kuzyn uranu, tyle tylko, że o wiele rzadszy. Wartość jego na dzisiaj trudno nawet opisać. Joseph natychmiast zorientował się w sytuacji i w tym, jak olbrzymie znaczenie ma jego odkrycie, i podjął wszelkie możliwe środki, aby fakt ten zachować w tajemnicy. Mimo że od dawna pracował z Liddonem i ufał mu jako staremu przyjacielowi, tylko ogólnikowo wspomniał mu o tym odkryciu. Natomiast od razu pomyślał o mnie. Wiedział, że jeżeli przekaże mi wszelkie potrzebne informacje i jeżeli przypuszczenia jego są słuszne, to za moim pośrednictwem kontrola i rozporządzanie tym skarbem będzie we właściwych rękach. Rząd Peru za pomocą rządu Stanów Zjednoczonych podejmie eksploatację tego surowca. – Zapalił papierosa i ciągnął dalej. – Wszystko mogło

pójść zupełnie gładko, ale niestety, stało się inaczej. A to dlatego, że na bardzo krótki czas przedtem, przybyła w tamte strony inna, dość dziwna ekspedycja archeologiczna. Pewne pogłoski o odkryciu brata wzbudziły zainteresowanie tej grupy. Musiały nastąpić jakieś przecieki. Joseph nie miał pojęcia, jak to się mogło stać, upewnił się jednak, że podejrzania jego są słuszne, kiedy parę dni później dokonano na niego zamachu i próbowano go porwać.

Słuchałem teraz z niesłychanym zainteresowaniem.

– Jeszcze jeden zamach? – zdziwiłem się. – Wcześniej?

– Tak. Ale był zorganizowany bardzo nieudolnie i spalił na panewce. Wystarczyło to jednak, by się zorientować, że ta druga ekspedycja była fikcyjna, szpiegowali tylko jego prace wykopaliskowe i górnicze. Kiedy więc Debora, która studiowała w Buenos Aires, przyjechała niespodziewanie w odwiedziny do ojca, Joseph zdawał sobie sprawę, iż jej pobyt tam, w tych warunkach, jest niesłychanie niebezpieczny i chcąc załatwić dwie sprawy za jednym zamachem, powziął pewne postanowienie. Nie sądzę, żeby wyjawił wszystko Deborze, powiedział tylko tyle, żeby zdała sobie sprawę z powagi sytuacji. Zrobił szkic, czy też mapkę okolicy, w której żyła się znajduje, i wkleił to pod okładkę powieści kryminalnej, którą następnie wręczył córce. Dał jej także próbkę rudy z poleceniem, żeby dostarczyła ją do mnie, do Nowego Orleanu.

A więc tak wygląda sprawa! Całkiem prosto!

Miałem rację przypuszczając, iż wkraczam w wojnę.

– Nim jednak Debora ruszyła w drogę – mówił dalej pan Brand – nadeszła depesza do Liddona, że jego brat z Argentyny jest umierający. Musiał więc natychmiast wyjechać. Dopiero po odjeździe ich obojga, to znaczy Debory i Liddona, Joseph dowiedział się, w jaki sposób przeciekła wiadomość o jego odkryciu. Znalazł jakiś papier czy coś, co stanowiło dowód, że Liddon, któremu ślepo ufał, sprzedał tę informację jakiejś prywatnej ogromnej firmie. Nie znał położenia żyły ani dokładnie tego, co mogła zawierać, ale wystarczyło to, co wiedział. Ale co gorsza, Liddon wiedział także o misji Debory do

mnie – pochylił się przez stół i kontynuował swoją sensacyjną opowieść. – Joseph doskonale wiedział, że uczynią wszystko, żeby przeszkodzić Deborze w skontaktowaniu się ze mną. Było za późno, żeby ją ostrzec. Pojechał więc do najbliższego miejsca, gdzie był telefon, zadzwonił do mnie i opowiedział mi wszystko to, co ja teraz panu opowiadam. Szalał wprost z niepokoju o Deborę. Pomyślałem wtedy, że jeżeli ją ścigają, to na pewno będą się starali dopaść ją w Nowym Orleanie. Zaproponowałem mu, że polecę najbliższym samolotem do Meridy, gdzie Debora będzie musiała przesiadać się na samolot i stamtąd będę ją eskortował. Tu więc zaczęła się moja rola... i tu zaczęło się wszystko komplikować. – Zgasił papierosa. – Natrafiliśmy przede wszystkim na jedną wielką trudność. Debora nie była od dzieciństwa w Stanach i nie miała pojęcia, jak wyglądam. Jedyne, co o mnie wiedziała, to tylko to, że niedawno ożeniłem się z młodą Meksykanką. Postanowiłem więc, jak się potem okazało, całkiem niepotrzebnie, zabrać Lupe ze sobą, po pierwsze, żeby Debora łatwiej mogła mnie zidentyfikować, a po drugie, żeby cała moja wyprawa wyglądała jak wakacyjna wycieczka. Przyjechałem do Meridy na czas. Oboje z żoną byliśmy na lotnisku, kiedy miał lądować samolot z Balboa, wiozący Deborę. Tu zaczął nas prześladować pech. Bo widzi pan, ja nie wiedziałem, jak wygląda Liddon. Cała ta historia z umierającym bratem w Argentynie była oczywiście wymysłem. On właśnie był tym, kogo wysłali za Deborą. Był na lotnisku w Mendzie, żeby jej przeszkodzić w dalszej podróży.

Śluchając z uwagą pana Branda, przejrzałem nareszcie całą prawdę, którą niemal przeczuwałem od początku opowiadania.

– Liddon to Halliday – powiedziałem.

William Brand skinął głową.

– Od tamtej pory mogę już tylko dedukować, co się wydarzyło później. Liddon musiał dowiedzieć się, jak wyglądam. W każdym razie zobaczył mnie na lotnisku i zrozumiał, że Joseph dowiedział się prawdy o nim i skontaktował się ze mną. W momencie, kiedy Debora wysiadła z samolotu, zanim nawet miałem czas ją zidentyfikować, on

do niej podszedł. Ponieważ ufała mu bez zastrzeżeń jako staremu przyjacielowi ojca, z łatwością przyszło mu wymyślić jakąś bajeczkę. Musiał jej powiedzieć, że ojciec wysłał go za nią, aby ją ostrzec, iż jakiś oszust udający jej stryja czeka na nią na lotnisku, żeby ją porwać. Prawdopodobnie poradził, że najbezpieczniej będzie wymknąć się do Chichén-Itzâ i tam na niego czekać, a on tymczasem zajmie się oszustem. Jego plan polegał oczywiście na tym, żeby zwabić ją w miejsce, gdzie wpadnie w pułapkę i gdzie będzie mógł ją zabić.

Patrzyłem w jego zafraszowane, chłopiące, niebieskie oczy. Wszystko było teraz jasne. Debora, ostrzeżona przed człowiekiem, który przyjechał ją ratować, Debora prosząca mnie o podwiezienie do Chichén-Itzâ, bojąca się każdego zjawiającego się w polu naszego widzenia samochodu, szukająca u mnie pomocy przed wymyślanym niebezpieczeństwem, podczas gdy prawdziwe niebezpieczeństwo czyhało tuż za jej plecami.

– Resztę może pan zgadnąć, panie Duluth. Wprawdzie nie znalazłem jej na lotnisku, ale udało mi się wpaść na jej trop w Chichén. Wtedy jednak rozpaczliwie się mnie bała. Nie dała mnie i mojej żonie najmniejszej szansy skontaktowania się z nią owego pierwszego wieczoru – rozłożył bezradnie ręce. – Zanim zrozumiałem, że grozi jej niebezpieczeństwo, Liddon strącił ją do *cenote*.

Od tego miejsca wiedziałem więcej od niego. Ową tajemniczą postacią przyczajoną pod oknem Debory był Liddon-Halliday. Najwidoczniej umawiał się z nią na spotkanie przy *cenote*, prawdopodobnie przekonując ją, że jej ojciec życzył sobie, aby jemu wręczyła książkę i próbkę rudy, ponieważ w tej sytuacji sprawa staje się zbyt niebezpieczna dla młodej dziewczyny. Ale nie mógł jej przekonać, w każdym razie – nie całkiem, gdyż słoik z kremem na oparzenia został u mnie, a w ostatniej chwili dała mi także książkę. Debora była bardziej przebiegła niż przewidywał Liddon i zaczęła go także podejrzewać. Była na tyle sprytna, żeby nie przekazać mu informacji o kopalni, ale nie na tyle sprytna, żeby ocalić własne życie.

Spokojnym głosem Brand opowiadał dalej:

– Może pan mnie nazwie beznadziejnym durniem, ale w pierwszej chwili tam w Chichén, nie podejrzewałem, że chodzi o morderstwo. Dopiero potem zacząłem się domyślać, że człowiek, który podawał się za Hallidaya, jest prawdopodobnie Liddonem. O panu absolutnie nie myślałem, nie przyszło mi do głowy, że Debora mogła dać panu książkę i próbkę rudy. Byłem pewien, że obie te rzeczy posiada Halliday. Zrozumiałem również wtedy, że sytuacja staje się niebezpieczna również dla mojej żony, odesłałem ją więc do domu. Kiedy pani Snood natknęła się na mnie w hotelu Reforma, wymyśliłem całą tę historię ze szpitalem i operacją ślepej kiszki. Dalej śledziłem Hallidaya, licząc na szczęśliwy przypadek i odebranie mu podstępnie przywłaszczonych sobie rzeczy. Nie muszę panu mówić, że przechytrzone mnie na każdym kroku. A z wczorajszej notki w gazecie zrozumiałem, że dotarli już i do Josepha w Peru. Wiedziałem, że zrobią wszystko, aby wydobyć z niego potrzebne im informacje i że w takim razie nie ma sensu ścigać w dalszym ciągu Hallidaya. Sytuacja stawała się zbyt poważna. Wróciłem więc tutaj i opowiedziałem wszystko właściwym władzom.

– Tak więc rząd wie już o wszystkim?

Brand uśmiechnął się swoim rozbrajającym uśmiechem.

– Tak jest, panie Duluth. W każdym razie sprawa znajduje się w bardziej kompetentnych rękach niż moje. Skontaktowano się już z ambasadą peruwiańską. W najbliższym czasie wszystko się dobrze skończy.

– No tak, ale Halliday ciągle jeszcze pozostaje na wolności – powiedziałem. Już miałem napomknąć o Verze, ale nie zrobiłem tego.

William Brand pokiwał głową.

– Niech pan się o to nie martwi. Władze federalne zatrzymały go, kiedy wczoraj wylądował na tutejszym lotnisku.

A więc taki jest koniec Hallidaya... Niebezpieczeństwo, które czułem tak blisko od chwili lądowania w Nowym Orleanie, okazało się wyimaginowane. Pomyślałem o Verze, związanej w mojej

łazience, i zrobiło mi się jej prawie żal. Jeżeli nawet usiłowała połączyć się z Hallidayem, to był on nieosiągalny. W tych ostatnich chwilach, kiedy musiała czuć się tak blisko celu, została zdana na własne siły.

Historia dobiegła więc końca. Czułem jedynie niewielką, czysto osobistą satysfakcję. Może nie będę już w ogóle potrzebny i uda mi się złapać samolot dzisiaj o dziesiątej wieczorem do Nowego Jorku, do Iris.

– Tak to wszystko by się przedstawiało – zakończył swoją opowieść Brand. – Musiał pan przeżyć kilka bardzo podniecających momentów w ciągu ostatnich dni, panie Duluth. Chciałbym usłyszeć o wszystkim, co się panu przydarzyło. Ale przede wszystkim, czy ma pan do mnie dostateczne zaufanie, żeby mi zdradzić, gdzie jest próbka?

Cieszyła mnie perspektywa pozbycia się wreszcie tego kłopotliwego skarbu. Im prędzej dostanie się on do państwowych laboratoriów, tym bardziej będę się cieszył. Opowiedziałem mu o zamianie toreb i zadzwoniłem na lotnisko. Ku mojemu szczeremu zadowoleniu dowiedziałem się, że moja torba nie została jeszcze odesłana do Biura Rzeczy Zagubionych. Właściciel torby, którą zabrałem, zrobił piekielną awanturę. Otworzyli moją, znaleźli nazwisko i wiedząc, że podróżowałem do Nowego Orleanu; złożyli tymczasem torbę w miejskim biurze i gorączkowo szukali mnie po wszystkich hotelach. Kiedy powiedziałem, że mam ze sobą pomyłkowo wziętą torbę, zapewnili, że w tej chwili odsyłają mi moją przez specjalnego posłańca.

Podczas oczekiwania na tego posłańca, opowiedziałem panu Brandowi wszystko, co się wydarzyło w międzyczasie w Mexico City.

Jeszcze nie skończyłem, kiedy zabrzączał dzwonek. Obaj rzuciliśmy się do drzwi. Na progu stał umundurowany posłaniec z moją gabardynową torbą w ręce. Oddałem tę nie moją. Razem z Brandem wróciliśmy do saloniku. Postawiłem torbę na biurku,

otworzyłem ją, znalazłem słoik i wsunąwszy palce w tłusty krem, wyciągnąłem niewielką, lepką grudkę.

Ręce Branda drżały z podniecenia, gdy brał ją ode mnie. Potem pobiegł natychmiast do swojej pracowni i obmył pod zlewem. Kiedy dał mi grudkę do obejrzenia, cudo to wydało mi się po prostu błyszczącym kawałkiem rudy, czymś absolutnie niegodnym tylu kłopotów, komplikacji i zabójstw. Ale Brand wpadł w jakiś trans. Domyśliłem się, że chciałby jak najprędzej móc rozbić grudkę młotkiem, skruszyć, włożyć do próbówki czy zrobić coś, co zrobiłby każdy znawca, każdy inżynier górnik.

I ja także się niecierpliwiłem, ale z całkiem innego powodu. Chciałem stąd odejść. Spełniłem swoje nie wypowiedziane zobowiązanie. Nie było już nic, co mogło mnie zmusić do dalszego uczestnictwa w tej prywatnej wojnie, która miała teraz znacznie ważniejszych ode mnie adwersarzy. I rzecz dziwna – chociaż w moim sercu powinna dominować radość z powodu zobaczenia wkrótce Iris – myśli moje były teraz przy Verze.

Oszukiwała mnie i zwodziła na wszelkie możliwe sposoby. Była takim samym niebezpieczeństwem jak Halliday. I miałem ją w tej chwili w swojej mocy. Ale nie wiem dlaczego, nie wymieniłem ani razu jej imienia w rozmowie z Brandem. Sam nie wiem dokładnie, co chciałem z nią zrobić. Wiem tylko, że pragnąłem jak najprędzej znaleźć się w swoim pokoju hotelowym.

Pan Brand ciągle jeszcze pogrążony był w fachowym badaniu próbki rudy.

– Widzę, że to jest właśnie to, o co chodziło – zauważyłem. – Czy będzie mnie pan jeszcze potrzebował?

Spojrzał na mnie z roztargnieniem.

– Ma pan coś jeszcze do załatwienia? – spytał.

– Umówiłem się z żoną, że będę dzisiaj w Nowym Jorku – wyjaśniłem. – Muszę złapać samolot.

Odłożył grudkę na stół.

– Nie widzę właściwie powodu, żeby pan tu jeszcze tracił czas –

powiedział. – Kiedyś, później, nastąpi na pewno jakieś przesłuchanie w Waszyngtonie. Oczywiście będzie pan musiał być na nim obecny. Jeżeli więc zechce pan zostawić mi swój adres...

Napisałem na kartce mój adres. Brand odprowadził mnie do drzwi. Na pożegnanie wyciągnął do mnie swoją wielką rękę i uśmiechnął się:

– Kiedy rząd dowie się, co pan zrobił, panie Duluth, będzie panu na pewno niesłychanie zobowiązany.

Uściskałem jego rękę.

– Proszę nawet o tym nie wspominać. Mnie jakoś tak ciągle spotykają różne, niecodzienne przygody!

– Kiedy pan wyjedzie na następne wakacje, życzyłbym coś mniej emocjonującego. Żegnam pana, panie Duluth.

– Do widzenia, panie Brand.

## XXIII

Zbiegłem ze schodów na ulicę. Zapadał już wieczór, a wraz z nim ulice zaludniały się coraz bardziej. Z przeciwległego domu, z filigranowego balkoniku przystrojonego różowym geranium i białymi begoniami, dochodziły dźwięki skrzypiec. Na rogu ulicy dwóch tęgich policjantów dyskutowało z ożywieniem. Ulica była tak malownicza, jak dekoracja w jakimś musicalu na Broadwayu.

Minąłem policjantów i wyszedłem na następną przecznicę wiodącą do Montedoro. Naprzeciwko mnie szła jakaś dziewczyna. Ubrana była w czerwony kostium, który przypominał kostium Very. Ponieważ myśli moje przez cały czas były przy niej, przyjrzałem się nadchodzącej dziewczynie szczególnie uważnie. Nie była tak efektowna jak Vera, niższa i o ciemnej skórze, w typie latynoskim. Ale uderzyło mnie w niej coś znajomego – ruchy, trochę za grube nogi, jakaś bijąca z niej nieśmiałość. Kiedy była najwyżej o kilka kroków ode mnie, poznałem w niej żonę pana Branda, którą widziałem przelotnie w Chichén-Itzâ.



Przystanąłem i uśmiechnąłem się do niej.

– Dzień dobry, pani Brand! Wracam właśnie od pani męża.

Drgnęła i spojrzała na mnie przenikliwie, jak gdyby widziała we mnie jakieś niebezpieczeństwo. Przycisnęła mocniej białą torebkę i poruszyła się, jakby chciała mnie wyminąć i pójść dalej. Zawróciłem i szedłem obok niej.

– Pani mnie sobie nie przypomina? Jestem Peter Duluth. Poznaliśmy się w Chichén-Itzá.

Ciągle jeszcze nie odpowiadała. Przypomniałem sobie, że nigdy nie słyszałem jej głosu. Może nie rozumiała po angielsku?

– *No me recuerda?*... – zacząłem.

Przechodziliśmy właśnie obok sklepu z pamiątkami, którego witryny były już o tej porze oświetlone. Jaskrawe światło ukazało mi wyraźnie jej postać. Moje oczy wchłonęły jej tęgawe nogi, zbyt płaskie piersi, czerwoną spódnicę. Czarne włosy, sztywne, natapirowane, mało atrakcyjne, pokryte były małym, białym kapeluszem. Ale pod rondem kapelusza ciemna, indiańska twarz z wielkimi, błyszczącymi oczami, była spokojna i piękna jak kwiat.

„Piękna jak kwiat”... Porównanie to kojarzyło mi się z czymś uparcie w moim mózgu. I nagle cały świat zawirował mi w oczach. Sparaliżowało mnie uczucie paniki.

Nie, to było niemożliwe. A jednak tak było.

Jeszcze raz, najzręczniejszy i najdrastyczniejszy w całej tej przeklętej historii zostałem wystrychnięty na dudka! I to jak!!! „Żona” pana Branda, zaufanego człowieka rządu Stanów Zjednoczonych, wuja Debory, któremu właśnie przed chwilą powierzyłem próbkę rudy – nie była wcale jego żoną.

Była ona owym drobnym chłopcem w dżinsach, chłopcem z workiem na ramieniu, chłopcem z klatką na papugi, chłopcem w jasnoniebieskim sedanie i z rewolwerem w kieszeni!

Nie szedłem wcale obok jakiejś pani Brand. Szedłem obok Juniora, przebranego za skromną panienkę...

Zrozumiałem wtedy, dlaczego chłopiec z płóciennym workiem na

ramieniu wydał mi się taki znajomy, kiedy ujrzałem go po raz pierwszy przed moim mieszkaniem w Mexico City. Zrozumiałem nagle tysiące innych rzeczy. Ale najbardziej przejmująca była myśl, że wpadłem w tak okropną pułapkę! Zdradziłem Deborę Brand. Wręczyłem próbkę oszustowi, pryncypałowi Juniora, mordercy Debory i Leny Snood, najsprytniejszemu łotrowi, jakiego kiedykolwiek spotkałem w życiu. WROGOWI.

Junior dreptał szybko obok mnie, starając się ukryć przede mną twarz. Wiedziałem, że konieczna jest gwałtowna, natychmiastowa akcja. W przeciwnym razie zginę. Przechodnie mijali nas śmiejąc się i rozmawiając. Przed nami, na rogu ulicy, dwaj policjanci ciągle jeszcze rozmawiali zawzięcie.

W mgnieniu oka zdecydowałem, jak mam postąpić.

Junior tymczasem prawie już biegł. Ja nie odstępowałem go na krok. Przeszliśmy na drugą stronę. Kiedy byliśmy tuż obok policjantów, wyrwałem Juniorowi torebkę spod pachy i rzuciłem ją daleko na chodnik. Wiedziałem, że ma tam rewolwer. Junior zawsze nosił broń. Obaj policjanci obejrzel się z niedowierzaniem. W tej samej chwili schwyciłem mały, biały kapelusik Juniora i szarpnąłem mocno sztywne, natapirowane włosy. Zostały mi w ręce, ukazując czarne, lśniąco, prawdziwe włosy Juniora. Odrzuciłem perukę i kapelusz. Junior skręcił w boczną ulicę.

Krzyknąłem do policjantów:

– To oszust! Przebrany za kobietę! Ma ukrytą przy sobie broń. Łapcie go!

Rzuciłem się w pogoń za Juniorem i sam dostałem go. W jednej chwili byli przy mnie obaj policjanci. Pchnąłem Juniora w ramiona jednego z nich. Po całej ulicy porozrzucane były drobiazgi, jakie wypadły z jego torebki. Przechodnie zaczęli się gapić, potem zgromadzili się wokół nas. W ciągu kilku chwil byliśmy otoczeni chaotycznym, rozpychającym się tłumem.

Właśnie tego pragnąłem: zamieszania. Podczas gdy jeden z policjantów dopytywał się, co się tu dzieje, a drugi, schwytawszy

Juniora za ramię, przyłożył do ust gwizdek, wymknąłem się z tłumu i ruszyłem biegiem z powrotem pod numer 1462.

Junior był w dobrych rękach. Co do tego nie było żadnych wątpliwości. Żaden policjant na świecie nie wypuści chłopaka przebranego za dziewczynę, zanim nie zaprowadzi go na posterunek. Swoje porachunki z Juniorem mogłem więc zostawić na później.

Teraz myślałem wyłącznie o rudzie i „panu Brandzie”.

Frontowe drzwi domu 1462 B były uchylone, widocznie tak je zostawiłem odchodząc. Zdziwienie i upokorzenie z powodu mojej łatwowierności zmieniły się teraz we wściekłość. Biegąc po schodach na górę kipiałem ze złości.

Wpadłem jak burza na czwarte piętro. Zapukałem. Junior wracał z pewnością do domu – „pan Brand” czeka na niego. Na to liczyłem.

Usłyszałem kroki. Drzwi się otworzyły. Wielka, rudowłosa postać „pana Branda” stanęła na progu.

– O... cóż to, pan Duluth?... – jękał się.

Nie zdążył jednak powiedzieć nic więcej. Zebrałem wszystkie siły i zadałem mu gwałtowny cios w szczękę. Zamrugał głupkowato i zakręciwszy się jak fryga na miejscu, runął w tył, na podłogę.

Zamknąłem kopniakiem drzwi i podszedłem do niego. Słyszałem jego ciężki oddech, kiedy grzebał się niezdarnie na podłodze. Skoczyłem do niego i doprawiłem go jeszcze raz i drugi, dopóki nie przestał się poruszać.

Zaciągnąłem go do saloniku. Był całkiem wykończony. Obmacałem jego kieszenie w poszukiwaniu broni. Znalazłem rewolwer i przełożyłem go do swojej kieszeni. Zerwałem mu z szyi krawat i związałem ręce. Potem odpiąłem pasek na brzuchu i zrobiłem mocny węzeł na kostkach.

Pobiegłem do pracowni. Czuję jakież oszałamiające podniecenie i niemal ekstazę. Próbką rudy była tam wciąż jeszcze, lśnić w świetle okna.

Wydarzenia nastąpiły po sobie tak błyskawicznie, że nie było czasu na myślenie. Dysząc ciężko z wysiłku, wyjąłem paczkę

papierosów i zapaliłem.

Ruda była zabezpieczona. Przynajmniej to miałem za sobą. Ale co jeszcze mam zrobić? Z niepokojem pomyślałem o Juniorze. Co miał tu do roboty Junior? Nie zaryzykowałby publicznego występu w kobiecym przebraniu, gdyby nie miał ku temu poważnej przyczyny.

Czyżby był w Montedoro? Może miał za zadanie zająć się Vera? Nie chciałem tracić zbyt dużo czasu na zastanawianie się, kiedy należało działać. Podbiegłem do telefonu w saloniku i wykręciłem numer do hotelu Montedoro. Kiedy zgłosiła się centrala hotelowa, powiedziałem tylko:

– W łazience w pokoju 617 jest związana kobieta. Proszę ją wypuścić i powiedzieć, żeby zaraz przyszła na ulicę Delfina 1462 B.

Odwiesiłem słuchawkę.

Teraz, po tym telefonie niebezpieczeństwo grożące Verze było mniejsze. Może Junior był w jej pokoju, ale jej tam nie zastał. Jasne, że nikt nie mógł zgadnąć, iż Vera znajduje się związana w łazience mojego pokoju. Prawdopodobnie przez ten zbyt pospieszny atak na nią ocaliłem jej życie.

Poczułem się dużo lepiej, bo chociaż byłem jeszcze skołowany, zorientowałem się, że Vera działa po właściwej stronie, w każdym razie po stronie prawdziwego Branda.

Prawdziwy Brand. Stałem pośrodku dużego, nie posprzątanego pokoju z fałszywym Brandem u moich stóp. Byłem w mieszkaniu prawdziwego Branda. A jednak fałszywy Brand potrafił wykorzystać to mieszkanie jako pułapkę mającą na celu wyciągnięcie ode mnie próbki rudy. Ale co się stało z prawdziwym Brandem?

Stać się mogło tylko jedno. Brand, albo ciało Branda było w tym mieszkaniu. Pospieszyłem do małego hallu. Prowadził on do sypialni. Było już prawie ciemno. Zapaliłem małą lampkę na stoliku przy łóżku. Nie było tu nikogo. Drzwi w tym pokoju wiodły do łazienki.

I tutaj żywego ducha. Już miałem wyjść i przeszukać pracownię, kiedy zauważyłem dużą szafę w ścianie. Podeszedłem i spróbowałem ją otworzyć. Drzwi były zamknięte, ale klucz tkwił na zewnątrz.

Przekręciłem go i otworzyłem szafę.

Gdy drzwi się rozchyliły, z wewnątrz wytoczyło się jakieś ciało i upadło u moich stóp. Mężczyzna ręce i nogi miał związane, usta zaklejone plastrem. Zdarłem mu ten plaster. Musiało to boleć, ale było mi wszystko jedno. Ten człowiek z zaklejonymi ustami przebywał przecież nie wiadomo jak długo w tym dusznym pomieszczeniu, a w dodatku ubrania tamowały mu oddech.

Mógł w ogóle nie żyć. Najprawdopodobniej udusiłby się, gdybym nie przyszedł tu po raz drugi. Ale kiedy pochyliłem się nad nim, usłyszałem słaby oddech. I poruszył się. Ramiona mu zdrząły.

W półmroku nie byłem w stanie zobaczyć jego twarzy, więc podciągnąłem go bliżej światła. W tym momencie otworzył oczy. Patrzył na mnie, a ja patrzyłem na niego. Powinienem już wcześniej zrozumieć, a jednak był to dla mnie prawdziwy szok. Fałszywy Brand był oczywiście prawdziwym Frankiem Liddonem. A prawdziwy pan Brand patrzył tymczasem zdumiony na mnie.

Prawdziwym Brandem był... Bill Halliday.

## XXIV

Była ósma godzina. William Brand, Vera Garcia i ja siedzieliśmy razem w nie posprzątanym saloniku mieszkania Branda. Próbką rudy leżała na biurku przy oknie. William Brand, którego znałem w Meksyku jako Bilia Hallidaya, przyszedł już prawie całkowicie do siebie po nieprzyjemnej godzinie spędzonej w szafie. Vera, której nastrój zmieniał się błyskawicznie, nie była już wściekła. Prawdę mówiąc, była znowu nastrojona entuzjastycznie w stosunku do mnie. Dowiedzieliśmy się od portiera, że Junior wcześniej był też w hotelu Montedoro. Dzięki moim wysiłkom Vera, podobnie jak pan Brand, uniknęli prawdopodobnie śmierci.

Bardzo dużo się zdarzyło w tak krótkim czasie. Zjawił się człowiek z FBI i zabrał Franka Liddona, którego my poznaliśmy jako pana

Johnsona, młodego małżonka z Jukatanu. Przy okazji zabrał też Juniора z posterunku policji. Obaj znajdowali się teraz w bezpiecznym miejscu.

I Brand także opowiedział mi swoją historię. Jak się spodziewałem, wersja podana mi przez Franka Liddona o początku całej sprawy w Peru, była jak najbardziej prawdziwa. Odwrócił jedynie role grane przez siebie i prawdziwego Branda. To Brand, jako Halliday, przyjechał z Nowego Orleanu, żeby zaopiekować się bratanicą, a Liddon, jako pan Johnson, który ostrzegł ją przed Hallidayem, zwabił ją do Chichén-Itzâ i zabił. Młody żonkoś był na tyle sprytny dzisiejszego popołudnia, kiedy mnie zwabił tutaj, do mieszkania Branda, żeby zrozumieć, iż prawdziwa wersja będzie jak najbardziej przekonująca i celowa, aby mnie omamić i skłonić do przekazania mu próbki.

Ale oczywiście, od momentu śmierci Debory, prawdziwa historia była wręcz różna od wersji Liddona, spreparowanej na moją intencję. Nie znając Liddona, Halliday widząc Deborę ze mną w Chichén-Itzâ, popełnił logiczną pomyłkę, posądzając, że to ja jestem tym zagrożeniem. Widział nas wczesnym rankiem wychodzących do *cenote* i poszedł za nami. Usłyszał krzyk i dopadł do studni, jednak zbyt późno, żeby złapać żonkosia na gorącym uczynku, ale był tam wcześniej niż ja i kierownik zajazdu. Miał zaledwie tyle czasu, żeby porwać czerwoną torebkę i uciec, zanim my zjawiliśmy się na polance.

Torebkę zabrał dlatego, że miał nadzieję, iż nawet jeżeli Debora nie żyje, ocali mapkę i próbkę rudy. Ani on, ani Liddon nie mieli pojęcia, że mapka wklejona jest w kryminałek, dopóki gadulstwo Leny Snood w Reformie nie pomogło im wpaść na to, ale żaden z nich oczywiście, nie domyślił się nawet, że Debora ukryła rudę w słoiku z kremem na oparzenia słoneczne. Jednak szczęśliwy przypadek sprawił, że Liddon nie przetrząsnął łazienki w czasie przeszukiwania mojego mieszkania w Mexico City.

Kiedy Halliday stwierdził już, że czerwona torebka nie zawiera nic

ważnego – chociaż był zbyt ostrożny na to, żeby ją wyrzucić, dopóki nie będzie przeprowadzona analiza na niewidzialny atrament – był nie tylko przekonany, że to ja zamordowałem Deborę, ale prawie pewien, że zdobyłem również mapkę i rudę. W pierwszej chwili całkiem zignorował Johnsona, koncentrując wszystkie podejrzenia na mnie. Dlatego też usiłował zamienić moją torbę na lotnisku.

Później, w Mexico City, nasłał na mnie Verę. Dopiero kiedy Junior okradł mnie w klasztorze Los Remedios, zrozumiał swoją pomyłkę i odgadł, że „nowożeniec” to prawdziwy Liddon, a „młoda żona” to jego wspólnik. Od tamtej pory właściwie nie wiedział, kim ja naprawdę jestem, czy działającym na własną rękę oszustem, czy też niewinnym turystą, który został przypadkowo zamieszany w całą awanturę. Ale skoro Liddon i jego kompani ścigali mnie, było dla niego jasne, że to ja właśnie mam mapkę i rudę, które tak rozpaczliwie pragnął zdobyć. W każdym razie ja stanowiłem klucz.

Po epizodzie w Los Remedios stosunek „Hallidaya” do mnie bardzo się skomplikował. Przyświecały mu wówczas dwa cele: jeden – to starać się albo zyskać moje zaufanie, albo podstępem zdobyć mapkę i rudę ode mnie, drugi – nie dopuścić, abym wpadł w ręce Liddona i Juniora. Zadaniem Very było oczywiście zdobycie mojego zaufania. Sam „Halliday” zaś skoncentrował swoje wysiłki na bronieniu mnie przed wrogami. Dlatego właśnie uratował mnie przed Juniorem w taksówce i dlatego udawał pijanego w swoim mieszkaniu, żebym czuł się na tyle bezpieczny, aby zdecydować się spędzić noc w jedynym wolnym od Juniora miejscu.

To, że podejrzewałem jego i Verę, wszystko niesłuchanie utrudniało. Vera była prawie pewna, że byłem tym, za kogo się podawałem i radziła, żeby wtajemniczyć mnie w całą historię. Ale zważywszy na ogromną wagę sprawy i to, że czuła, iż chyba za bardzo byłem w stosunku do nich podejrzliwy, aby uwierzyć w ich słowa, zdecydowali, że mądrzej będzie, jeżeli nie zdradzą mi nic i wyciągną ode mnie rudę jakimś fortem.

Nic dziwnego, pomyślałem, skoro partia rozgrywała się pomiędzy

Liddonem i Juniorem a Vera i Hallidayem. To było jak gra w badminton, w której Lena Snood i ja byliśmy tylko lotkami.

– Gdyby pan był trochę mniej inteligentny, panie Duluth – powiedział Brand z trochę krzywym uśmiechem – wszystko byłoby znacznie łatwiejsze. Ale pan przejrzał mnie na tyle, żeby mnie podejrzewać i wiedziałem, że to sprawa beznadziejna zwierzać się panu ze wszystkiego. Tak samo miała się rzecz z Verą. W chwili gdy podслуchał pan jej rozmowę telefoniczną ze mną, czuła, że cokolwiek panu powie, pan w to nie uwierzy. Jak długo byliśmy w Meksyku, nie miała wyboru. Na szczęście rozszyfrował pan kryptogram Debory o Joannie d'Arc i postanowił pojechać do Nowego Orleanu. Skoro już raz pan się znalazł tu, na naszym terytorium, byliśmy pana pewni. Gdyby nie to, że Liddon włamał się do mojego mieszkania, napadł na mnie i zajął moje miejsce, sam powiedziałbym panu całą prawdę.

Spojrzałem na niego uważniej. Zmiana, jaka nastąpiła w nim od chwili, kiedy zrzucił maskę, była zaskakująca. Wyraz twarzy pozostał ten sam, ale nerwowy sposób bycia gdzieś bezpowrotnie zniknął. Wyglądał teraz na inteligentnego, wielkiego duchem, budzącego zaufanie mężczyznę. Poza tym głęboko podziwiałem go jako aktora.

– Jedno jest pewne – przyznałem – że wspaniale odegrał pan swoją rolę.

– Nie zgodziłbym się z pana opinią – odparł – ponieważ nie zdołałem pana oszukać. To Liddon odniósł sukces. Trzy razy próbował pana porwać, a pan ani przez chwilę go nie podejrzewał. Nigdy nawet nie rozpoznał pan w tym chłopcu jego młodej „żony”.

– Jednego jeszcze nie mogę zrozumieć – przyznałem. – Po co ta cała maskarada i przebranie kobiece w Chichén-Itzá i tu, w Nowym Orleanie. Czy jedynie po to, żeby bardziej wszystko pogmatwać?

– Nie, nie. To było konieczne. FBI już zidentyfikowała chłopca w Ambasadzie Peruwiańskiej. To jeden z notorycznych przestępców z Limy. Ścisłej mówiąc, w tej chwili jest poszukiwany przez policję za morderstwo. Kiedy Liddon zdecydował się wynająć go jako swego rewolwerowca, jedyną drogą przeszmuglowania go przez granicę



było przebranie. Trzeba panu wiedzieć, że organizacja, dla której pracuje Liddon, jest potężna. Załatwienie paszportu dla chłopca jako żony i Liddona nie przedstawiało dla nich trudności.

– To dlatego nie przebierał się za kobietę w Mexico City. Czerwony kostium potrzebny był mu tylko do przekroczenia granicy i do paszportu.

– Właśnie! – Twarz Branda stała się teraz bardzo poważna. – No cóż, wszystko to w sumie ponura i koszmarna historia. Biedna Debora i pani Snood... – zrobił krótką pauzę. – Rząd peruwiański przygotowuje się właśnie do zlikwidowania całej tej grupy. Mam nadzieję, że zdążą uratować Josepha. – westchnął. – Nie możemy myśleć o jego sytuacji w czarnych barwach. Jeżeli miał rację odnośnie odkrycia tego toru, a sądzę, że miał, to najważniejsze jest, żeby złoże znalazło się w dobrych rękach. No, ale ostatecznie po tych wszystkich klęskach mamy to, do czego zmierzaliśmy: próbkę rudy i mapkę.

– Mapkę? – zdziwiłem się. – To znaczy, że odzyskał pan ten kryminałek?

– Tak.

– Ten człowiek z FBI znalazł ją przy Liddonie?

Brand zamrugał i uśmiechnął się tajemniczo.

– Nie, panie Duluth. Miałem już tę książkę od paru dni.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął kieszonkowe wydanie „Niewłaściwej zbrodni”. Przerzucił kartki aż do ostatniej strony i pochylony nad biurkiem podał mi książkę do obejrzenia. Rogi okładki pokazywały wyraźnie, gdzie były klejone. Na wewnętrznej stronie rozdwojonej okładki narysowany był delikatnie ołówkiem szczegółowy plan.

– Okolica żyły – powiedział. – Znamy już w przybliżeniu otoczenie. A przy pomocy tego szkicu nietrudno będzie zlokalizować dokładnie to miejsce.

– Ale jakim cudem ma pan tę książkę już od paru dni? Przecież Lena miała ją jeszcze wczoraj. Liddon porwał ją i zamordował z powodu tej książeczki...

– Obawiam się, że egzemplarz, jaki miała pani Snood, nie był konkretnie tym – uśmiechnął się lekko. – Przypomina pan sobie to przyjęcie w Ciro, na które przybyłem w stanie wskazującym? W samolocie z Meridy Lena w rozmowie ze mną wspominała, że książka, którą czyta, należała do Debory. Domyśliłem się natychmiast, jakie to może mieć znaczenie. Przyszedłem na to spotkanie z innym egzemplarzem, który nabyłem w mieście. Kiedy wchodziłem do łazienki, zabrałem ten, który leżał przy łóżku Leny, i położyłem inny.

Mój podziw dla Williama Branda, wspaniałego aktora, jeszcze bardziej wzrósł. Nawet w najdrobniejszych szczegółach stanął na wysokości zadania. Biedna Lena! Porwawszy ją, Liddon skonstatował, że książka nie jest tą, o którą tak walczył. Nic dziwnego, że usiłował zwabić mnie do Cuicuilco i złapać.

– Tak, panie Duluth – ciągnął Brand. – Miałem już tę książkę. Brakowało nam jedynie próbki rudy. Dzięki pańskiemu talentowi, no i powiedzmy, uporowi, mamy teraz i to.

Wszystko było już teraz dla mnie jasne. Niemal wszystko.

– Jeszcze jedna rzecz mnie intryguje. Jakim cudem zdobył pan to mieszkanie na Dinamarca? – zapytałem.

Brand uśmiechnął się porozumiewawczo do Very.

– To bardzo proste. Vera jest posiadaczką wielu nieruchomości w Mexico City. To jeden z umeblowanych i wyposażonych domów, jakie wynajmuje. Akurat był wolny, a nowi najemcy wprowadzili się dopiero następnego dnia. Dała mi klucz.

Spojrzał na zegarek i wstał, wsunąwszy próbkę rudy do kieszeni.

– No, na mnie już czas. Mam wyznaczone spotkanie ze specjalistami w laboratorium FBI. Zaraz zajmiemy się analizą tego kawałka.

– Wyciągnął do mnie rękę. – Zdaje się, że pan zamierzał złapać wieczorny samolot do Nowego Jorku?

– Tak jest.

– Wydaje mi się, że nie ma potrzeby, żeby zostawał pan tu dłużej,

jeżeli nie ma pan ochoty. Może później będziemy pana jeszcze potrzebowali. Nie muszę chyba specjalnie zastrzegać, że powinien pan wszystko zachować w największej tajemnicy. Docenia pan chyba znaczenie tego odkrycia dla całego świata – uśmiechnął się. – Proszę się pięknie kłaniać żonie.

Pożegnał się też z Verą i wyszedł.

Vera wstała, podobnie jak i ja. Ciągle jeszcze miała na sobie ten kostium w kolorze pomidora. Nie mogłem pojąć, w jaki sposób ktoś, kto tyle godzin tkwił związany w wannie, mógł wyglądać tak kwitnąco.

Uśmiechała się do mnie swoim ciepłym uśmiechem. Podeszedłem bliżej i otoczyłem ją ramieniem.

– Napadanie na kobiety w łazienkach nie jest moim hobby – wyjaśniłem. – Mam nadzieję, że mi przebaczysz...

Odrzuciła do tyłu ciemne włosy.

– Przebaczyć? Mówisz o przebaczeniu, kiedy ja przez cały czas kłamię i oszukuję, i robię niemożliwe tricki? To ja jestem ta, która powinna powiedzieć: przepraszam.

– I przed tobą należy zdjąć kapelusz, Vero! Niewątpliwie zagrałaś tę rolę najlepiej ze wszystkich swoich ról.

– Rolę? – wydawała się oburzona. – Co to ma znaczyć: rolę? Uważasz, że ja jestem inna, niż jestem?

– No... ten akcent... te...

– Ciągle mówisz o moim akcencie – gniew pojawił się w jej oczach. – Ciągle uważasz, że ja udaję? A to właśnie jest sposób, w jaki zawsze mówię. Naprawdę zawsze. Jeżeli umiałabym mówić lepiej, to bym mówiła...

– I podobno jesteś także tancerką?

– Naturalnie, że jestem baletnicą. Artystka baletu. A krytycy mówią, że jeżeli będę dużo pracować...

– I wyszłaś za mąż za starego, bogatego Meksykanina?

– A co ty myślisz? Że jest moim sennym marzeniem? Naturalnie, że wyszłam za tego staruszka dla jego majątku. A on umiera.

Dlaczego... jak myślisz, dlaczego ja noszę na jego grób tuberozy i lilie?

– A na boczkach pracujesz jeszcze dla rządu Stanów Zjednoczonych? Co za dziewczyna!!!

– Kto mówi, że ja pracuję dla rządu Stanów Zjednoczonych? – oczy jej nadal groźnie błyszczały, ale roześmiała się swoim szerokim, szczerym uśmiechem. – Czy myślisz, że oni potrzebują takich dziewczyn jak ja? Z ptasim mózdzkiem? No nie! Śmieszne jest to, co mówisz!

– To skąd się wzięłaś w ogóle w tej całej łamigłówce? Do tej pory nie potrafię zrozumieć!

– Skąd się wzięłam? – wzruszyła ramionami. – Bo pan Brand zawołał mnie w Meksyku do telefonu i powiada: Vera, potrzebna mi twoja pomoc. I stąd się wzięłam.

– To twój przyjaciel?

– Pan Brand? – widocznie sprawiało jej przyjemność takie posądzenie. – Czy ty może jesteś zazdrosny! Masz na myśli tę jego nogę, co dotykała moją pod stołem? To szaleństwo! Nie ma żadnych nóg pod stołem. Wiesz, moja matka, mówiłam ci o niej, prawda? Ona także jest tancerką. Wielką tancerką...

– Tak, wiem.

– No więc to jest tak. Moja matka rok temu wyszła za pana Branda.

Zamrugalem oczami ze zdziwienia.

– To znaczy, że pan Halliday jest twoim ojczymem? Przyrodnim ojcem?

– Przyrodnim? Wy to tak nazywacie? Przyrodnim? – przysunęła się trochę bliżej do mnie i podniosła ku mnie twarz. – Ale to nonsens rozmawiać dłużej o tych sprawach. Wiem, że ty już myślisz o Nowym Jorku. Myślisz o tej... tej sexy pani, która na ciebie czeka.

Była tak czarująca i tak bardzo blisko mnie. Przychodziło mi do głowy mnóstwo rzeczy, które nigdy się nie spełnią.

– Tak – odpowiedziałem. – Chyba tak...

– No, to zadzwoń do niej – uśmiechnęła się. – Bo wy, atrakcyjni mężczyźni zawsze jesteście jak takie bestie dla kobiet. Skąd ona może wiedzieć, że ty przyjeżdżasz do Nowego Jorku? Wyślesz telegram? O, nie. Ona ma siedzieć i czekać, dopóki temu wielkiemu panu spodoba się przyjechać! – Wskazała zdecydowanym ruchem aparat. – Dzwoń.

Vera jako obrończyni żon była znowu kimś nowym dla mnie. Pomysł z telefonem był niezły. Podeszedłem do aparatu i podałem nasz nowojorski numer. Było to przedziwne uczucie, kiedy tak czekałem na połączenie. Miałem wrażenie, jakbym przechodził do zupełnie innego świata.

A potem usłyszałem głos Iris: – Halo?

– Halo! – odpowiedziałem.

– Peter! – jej głos był pełen radości, a to uczucie udzieliło się i mnie. – Peter, gdzie jesteś? W Meksyku?

– Nie, w Nowym Orleanie. Czekam na nocny samolot o dziesiątej.

– W Nowym Orleanie? A co się stało? Przymusowe lądowanie? Spojrzałem na Verę.

– Nie, nie żadne przymusowe lądowanie. To bardzo długa historia.

– Mam nadzieję, że podniecająca.

– I to jak!

– Poznałeś jakiś ciekawych ludzi?

Znów spojrzałem na Verę.

– Cudownych ludzi. Wprost nie z tego świata.

– Trudno mi będzie wytrzymać z ciekawości. Już się nie mogę doczekać twojego powrotu.

Pomyślałem o niej tam, na drugim końcu drutu. Już sama myśl usuwała w cień wszystko inne.

– I ja nie mogę się doczekać, Iris.

– To się śpiesz, masz niewiele czasu. Odłóż tę słuchawkę. Szybko! Do zobaczenia, kochanie!

– Do zobaczenia!

Odłożyłem słuchawkę. Vera podeszła do mnie. Pod czarnymi, gęstymi rzęsami oczy jej były rozmarzone.

- Cudowni ludzie... – powtórzyła. – To ja?
- To ty – uśmiechnąłem się.

Cień podejrzenia przemknął po jej twarzy.

- Ale co to znaczy: „Nie z tego świata”?

Otoczyłem jej plecy ramieniem i pocałowałem. Był to smutny pocałunek, na pamiętkę rzeczy, które się nigdy nie spełniły.

- „Nie z tego świata” to znaczy cudowna, piękna, czarująca, mądra. Największa artystka baletu na czterech półkulach.

\* \* \*

W dwa tygodnie później leżeliśmy z Iris w łóżku, popijając kawę i przerzucając niedzielne gazety. U dołu strony, którą właśnie czytałem, zauważyłem małą notatkę:

*Amerykański archeolog powraca z dżungli* – tak brzmiał tytuł. A dalej była mowa o tym, że Joseph Brand, znany amerykański archeolog, w tajemniczy sposób zjawia się znowu w obozie swojej ekspedycji. To wszystko, o czym napisane było w gazecie. Ale ja między wierszami odczytałem znacznie więcej. Rząd peruwiański nie tracił czasu. Wspólnicy Liddona na pewno byli już za kratkami.

- Kochanie – Iris wyrwała mnie z zamyślenia. – Dział kroniki teatralnej zamieścił tu znakomite moje zdjęcie. Zobacz! To jedno z najnowszych. Czyż nie wyszłam doskonale?

Objąłem ją ramieniem i spojrzałem.

- *Lindissima* – powiedziałem.
- Co to znaczy *lindissima*? – spojrzała na mnie podejrzliwie.
- Piękna – odpowiedziałem.

☒☒☒